

TOMASZ STALIŃSKI

137

LUDZIE W AKWARIUM

Powieść

1074 / p

INSTITUT
PARYŻ



LITTÉRAIRE
1976

1977 W 348/6

1978 W 958/15

LUDZIE W AKWARIUM

BIBLIOTEKA KULTURY

TOM 10

WYDAWCA: WYD. KULTURY

WYDZIAŁ KULTURY I SZKOLNICTWA

WARSZAWA 1955

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 263

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

TOMASZ STALIŃSKI

LUDZIE W AKWARIUM

Powieść

Wszystkie postacie i fakty opisane w tej książce są wymyślone. Prawdziwe są tylko cytaty z warszawskiej prasy, za których łaskawe udostępnienie bardzo Autorom dziękuję.

Tomasz Staliński

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1976

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Widziane z góry, powieść. 1967 (wyczerpane)

Cienie w pieczarze, powieść. 1971

Romans zimowy, powieść. 1972

Sledztwo, powieść. 1974

I

Ciepły, lipcowy deszcz osnuł wszystko wokół wilgotną mgiełką, która prószyła z góry na krążący po chodnikach i jezdni, niezwykajny tutaj w dni powszednie tłumek, na czerwone i białoczerwone chorągiewki, transparenty i obnoszone na kijkach powiększone fotografie wodzów. W dole pod Alejami łyskała mokrym lśnieniem asfaltowa jezdnia nowej Trasy, tam również mrowili się ludzie, bo ruchu kołowego na razie nie puszczono — autobusy i samochody pojechać miały tędy dopiero za trzy dni, gdy nadejdzie Święto Narodowe, obchodzone w rocznicę wydarzenia, jakiego zresztą nikt w Warszawie już nie pamiętał — była to odezwa, ogłoszona niegdyś w mało znanym wschodnim polskim mieście przez mało znanych ludzi, co przybyli z mało znanych a dalekich miejsc wraz z Czerwoną Armią. Odezwa też była mało znana, zwłaszcza dzisiaj, po trzydziestu latach, ponieważ od dawna już jej tekstu nie drukowano ani nie cytowano, szybko okazał się nieaktualny, powstał przecież w całkiem innej epoce dziejowej czyli politycznej: historia to polityka, kamieniejąca w pomniki w miarę, jak czas płynie naprzód. W pomniki faktów nieznanych, gestów i słów zapomnianych — tak właśnie, jak zapomniana została owa Odezwa, w imię której jednakże nader skutecznie i arbitralnie po dziś dzień tutaj rządzono. Nie wiadomi ludzie z niewiadomego Wschodu ufundowali tu bowiem władzę nader trwałą — jednostki przemijały, system trwał. A dlaczego trwał? Bo ludzie, co go ufundowali, sami z siebie nic nie znaczący, wyczuli jednak zakręt Historii, zrozumieli dokąd wieje wschodni huragan i zawczasu, choćby nawet trzęsąc się z trwogi, odpowiednio ustawili żagle. W zgodzie z Historią można trwać i rządzić, przeciwko Historii nie da się tu nawet żyć, zwyczajnie żyć. I oto, jako symbol tryumfującego trwania, odbywało się właśnie doroczne święto: święto w rocznicę i ku czci Odezwy, której słów nikt już nie znał i nie chciał znać, boć

nie o nie przecież chodziło, były tylko pretekstem. To tak, jakby Pan Bóg dał Mojżeszowi na górze Synaj tablice z tekstem, tekst zaś szybko zatarto i zapomniano, choć od tych tablic wszystko się zaczęło. Zatrzeć w pamięci sam początek, ha, może to nie takie znów dziwne: wszak człowiek też nie pamięta chwil swego narodzenia. A i o śmierci myśleć nie lubi, odstręcza go i własny początek i własny kres. Pewno ma rację — tylko życie się liczy, gdy trwa, chociaż zarazem wciąż niedostrzegalnie przemija. Przemijanie nieważne, dopóki życie trwa — tak myślą dziś następcy owych protoplastów ze Wschodu, są dumni, podnieceni, ich faza właśnie rozkwita, dowodem to miasto, które wyrosło oto z absolutnie nieprawdopodobnych ruin, gruzowisk, popielisk, panujących tutaj wszechwładnie trzydzieści lat temu. Miasto to wzbogaca się akurat o nową Trasę, szarą Trasę, wijącą się teraz ku Wiśle pod i nad ulicami wśród zwilgotnionej deszczową mgiełką lipcowej zieleni. Miasto się wzbogaciło, miasto znów wypiękniało! Hosanna, hosanna Miastu, chodzi o Miasto, kogóż obchodzi słowa, wypisane przez kogoś i zatarte przez kogoś na starych tablicach. W dodatku są to tablice z papieru, innych już w naszej epoce nie ma. *Scripta volant* — tak by powiedział dziś młodzieńczy nad wiek pięćdziesięcioletek z pliką papierów pod pachą, który wychyla się przez barierę, aby zobaczyć, czy z tunelu pod Marszałkowską nie wyjeżdża przypadkiem orszak Gościa, jedynego, który już dzisiaj przejechać może Trasę. Ale oto trzymane gdzieś przez kogoś ręczne radio tranzystorowe, gadające sztucznie podnieconym szybkim głosem donosi, że Gość skręca dopiero ku Alejom z Placu Lotnika. Jedzie powoli, razem z naszym Towarzystwem w otwartym aucie, tłumy zebrane na Trasie potrząsają pewno chorągiewkami, trochę klaszczą, może rzucają kwiaty. Tłumy, oddelegowane na tę okazję z biur i fabryk, niezbyt przejęte ale raczej rade temu zbiorowemu spacerowi w lipcowym deszczyku. A jeszcze w perspektywie trzy dni wolne, bo dodano jutro wolną sobotę, potem niedzielą i — Święto, trzydzieste święto. Nie ma wprawdzie słońca, ale i tak nieźle. Konsumujemy jakoś to życie, konsumujemy i Święto. Miasto udekorowane, czerwono, białe, kwieście, portrety, napisy, transparenty, na ulicach staną od jutra bufety, stoiska z napojami, na razie ofiarowują się publiczności tylko powszednie „saturatory” z wodą sodową, może być z sokiem, może bez. Młodzieńczy pięćdziesięcioletek czyli Krzysztof przypomina sobie Paryż sprzed paru tygodni — tam to zawsze na ulicach pełno wszystkiego, bardziej, niż u nas w Święto. No cóż, inny obyczaj, inna skala, inna historia. Ale u nas obecnie też bywa możliwie, choć tłumek mdły, obojętny, to przecież nieźle ubrany, uspokojony, w do-

datku po zachodniemu już prawie kolorowy — towarzysze radzieccy zazdroszczą nam tego, zwłaszcza jak sobie wypiją. Dla nich tu jest Paryż, cóż, wszystko okazuje się względne. I nagle widzi Krzysztof przez chwilę buro rude, cuchnące ruiny Warszawy, zasypane gruzem jezdnie, którymi wyruszyli z miasta po Powstaniu — do niewoli. Właśnie niedawno opowiedział coś o tym Izabelli, słuchała nad maszyną, niby grzecznie, ale wyraźnie przez chwilę roztargniona. Rzeczywiście, cóż ją to obchodzi, dla niej to schemat, banał — zawsze takie same opowiadania starsuszków. Trzeba z tym skończyć, to nie jest droga: dwadzieścia lat różnicy robi swoje, ona niczego nie pamięta, a historia ją nudzi. Zwłaszcza historia niezbyt prawdziwa, taka, jakiej uczą w szkołach.

Tłumek z chorągiewkami mrowi się leniwie w różne strony, poprzegradzany milicją, natkany z lekka tajniakami. Nikt się za bardzo nie przejmuje, czy to obojętność czy taka już po latach natura? Zagadkowy tłumek, a Glebowicz, Krzysztof Glebowicz, w nim, w środku, lecz odosobniony. Odosobniony nie tylko swoją funkcją, lecz właśnie ową niedawną myślą o Izabelli. Może ona tu gdzieś jest, biuro też powinno przyjść, bardzo mają niedaleko. Czy myśli o nim, choć dopiero niedawno zwrócił na nią uwagę? Ale w takich sprawach istnieje magnetyzm, zwłaszcza, gdy zaczyna się coś nienazwanego. Wzajemne przyciąganie na odległość, wczoraj jeszcze nic nie było, dziś dzieląca ich przestrzeń wypełnia się wibrującą emocją. Wypełnia się bez jego czynnego udziału, sama, czas pracuje automatycznie, jeśli w Izabelli coś współdzwięczy oczywiście, ale chyba tak, nie czuł wszakże psychicznego jej oporu, choć opowiadanie o Powstaniu stworzyło lukę. Jeśli więc magnetyzm zaczął działać, to nadal funkcjonuje i tutaj, pod lipcowym deszczykiem, wśród tłumu nudnawego, rozgadanego obojętnie, nowego. Ona tu jest, a jeśli tak, to szuka go bezwiednie. Odnajdą się, może po przejeździe Gościa pójdą razem na Trasę?

Nagle tłum wahał się bardziej zdecydowanie i oblepił narożne chodniki w Alejach Ujazdowskich, o mało co nie przewracając kamiennej krzyży z przepięknymi, świeżymi kwiatami — to pomyśl nowych, hojniejszych Sekretarzy. Z chodnika Alej lepiej będzie widać, Gość ma wyjechać z dolnej Trasy ślimakiem, gdzie jest tylko sama jezdnia, okolona świeżą trawą. Glebowicz pchnął się do pierwszego rzędu, nie napotykając na specjalny sprzeciw. Milicjant otarł się o niego wzrokiem — ale bez wrogości, obojętnie. Wszystko tu obojętne, ludzie przymilkli, czekają, tyle że bez emocji. — Czy na Drixona też było przymusowe przyjście? — pyta nagle ktoś obok Krzysztofa. — Też — odpo-

wiada głos drugi. Krzysztof zwraca się ku nim, to dwaj faceci z czerwonymi chorągiewkami, wyglądają na robotników, może z Trasy. Stoją bez uśmiechu, nie podnoszą oczu na Krzysztofa, choć czują jego spojrzenie. A przecież to wyraźne kpiny! Amerykański prezydent Drixon przyjechał tu przez rokiem, wracając z Moskwy. Wożono go bocznymi ulicami, żeby się ludzie nie podniecali, a jak miał jechać przez Aleje, to było całkiem pusto, tylko na ławkach siedzieli kolorowo poprzebierani tajniacy z dziewczynami, udając flirt i nie patrząc na przejeżdżający szereg czarnych samochodów, że to niby Warszawa zaabsorbowana własnym życiem i wcale ją jakiś tam Drixon nie obchodzi. Więc ci dwaj żartują? Nic na to nie wskazuje, twarze mają z drewna, jakby się nigdy w życiu nie śmiali. Czy to niedobita, dawna drwiąca Warszawa, czy nowa, apatyczna, twarda, chłopsko zobojętniała? Kto to może wiedzieć i po co? Przecież...

— Jadą! Lekkie ale wyraźne drgnięcie przeszło przez tłumek chorągiewkowiczów, biurowych paniuś, dziewcząt z kwiatami, zmarszczonych i siwych warszawskich aligatorów w nieprzemakalnych płaszczach (płaszcz takie zwano tu dziwnie „prochowcami”), a także młodszych беретowców, zbrojnych w parasole. Istotnie, najwidoczniej, nie ma wątpliwości: jechali. Najpierw jakieś auto bez oblicza, potem, w wachlarzyki rozstawieni milicjanci w białych hełmach na motocyklach, znowu auta, znów zmotoryzowana Służba Wewnętrzna i wreszcie, w otwartym samochodzie, stoją oni dwaj, bez kapeluszy, pozdrawiając tłum rękami. Swojski Sekretarz, wysoki, kościsty, ze schematycznym nieco uśmieszkiem, a tamten, Konstantyn Leonidow, niższy, tłuśszy, krępy, czarnowłosy choć z lekka siwawy. Bardzo opalony, do tego z wypiekami, potem się okazało, że przyjechał niezgorzej podпиты i na lotnisku sobie podbłaznowywał, co nawet dało się widzieć w telewizji. Polscy towarzysze bardzo byli zgorzeleni — że ich lekceważy... Oczywiście nic mu nie mówili, minę zrobili dobrą, nie czas na takie pretensje.

Orszak przejechał, z tyłu jeszcze jakaś eskorta i — już po wszystkim. Tłum zaczął się rozpraszać, przekształcać, odpływać leniwie w strugach już teraz nieźle zacinającego deszczu. Niejasny zawód czy niesmak owłada Krzysztofem Glebowiczem. Cudów się nie spodziewał, prawda, historia nie jest na pokaz, ale jakoś za szybko to przeszło, śladu napięcia, niczym obojętna dekoracja, czy banalna pantomima. Nieco oklasków, ktoś rzucił różę, plasnęła o bruk niedaleko kół samochodu, sekretarz Leonidow błado się uśmiechnął, no cóż, on też musi trwać w swojej roli, nie wypadać z niej, choćby nawet po wódce. To także ludzka mario-

netka, wszędzie tu marionetki umocowane na ukrytych sznurkach, tylko kto pociąga za te sznurki? Kto pociąga, aby nastawić figurynki pod właściwym kątem, wskazywanym przez wiadomy kompas i wiatromierz Historii? O Leonidowie i jego grupie różnie ostatnio mówiono: że są zachwiani z powodu swego zbytniego liberalizmu, że wprawdzie dogadali się z amerykańskim prezydentem Drixonem, ale sytuacja ich budzi wątpliwości, sukcesów mają za mało, w Izraelu dalej grozi wojna a Arabowie Leonidowowi nie ufają, bo właśnie nazbyt się zbliżył z owym Drixonem i zgodził się nawet wypuszczać z Rosji po parę tysięcy żydowskich emigrantów. Tak mówili koledzy z akredytowanych w Warszawie agencji zagranicznych, Francuzi, Anglik, ale nie wiadomo, czy można im wierzyć, bo oni lubią sensację, muszą ciągle podawać coś takiego do swojej prasy, inaczej nikt by jej nie czytał. Oczywiście, dziennikarze radzieccy milczą za to jak ryby, nikt się zresztą nie odważył pytać ich o takie sprawy. No a polskie władze przygotowały dla Konstantyna Iljicza przyjęcie na najwyższy połysek — przybywał tu przecież w Rocznicę, inaczej być nie mogło.

Glebowicz odczuł naraz potrzebę przeczytania sobie swojego wstępniaka z „Trybuny Socjalizmu” — miał pismo ze sobą, trzeba tylko znaleźć jakiś ustronny kącik. Jednocześnie nabrał pewności, że w rozpraszającym się wśród ciepłych fal deszczu tłumie na pewno nie ma Izabelli. Taką rzecz się czuje, licha wie jak, ale się czuje. Rusza więc w stronę zielonego wzgóрка, przytykającego do Parku Ujazdowskiego, dość wysoko ponad Trasą. Ustawiono tam z racji Święta parę ławek, a nad nimi, bardzo przeźornie, przenośne daszki na metalowych patykach, ściekała z nich teraz woda. Szło się w ich stronę dosyć skomplikowanie, podziemnym przejściem, schodami w dół i zaraz znowu w górę. Wszędzie mokro, na kamiennej posadzce podziemia długie strużki wody, ludzie wykłuwają sobie oczy parasolami. Ale oto redaktor Krzysztof wyłazi stamtąd, dobrnął wreszcie do zbawczych ławek, skąd widać w dole, na Trasie, falę różnobarwnych parasoli, rozsiadł się na ławce i czyta zmoczoną nieco pierwszą stronę „Trybuny Socjalizmu”:

„... Jest starym i dobrym zwyczajem rodzinnym, że na doświadczone uroczystości zaprasza się najlepszych przyjaciół. Gościem Polskiego Ludu jest na jej 30 urodziny jest Konstantyn Iljicz Leonidow. Naród polski wita w osobie sekretarza generalnego KC PZPR wybitnego przywódcę bratniego Związku Radzieckiego, czołowego działacza międzynarodowego ruchu komunistycznego, wybitnego światowego męża stanu. Obecność Konstantyna Leo-

nidowa wśród Polaków w czasie naszego święta, pozwala raz jeszcze wyrazić uczucia, które na naszej ziemi od Bałtyku do Tatr, od Bugu do Odry kierowane są wobec Kraju Rad; pozwala wyrazić szacunek, uznanie i sympatię, jaką wybitny syn narodu radzieckiego cieszy się wśród ludzi pracy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

O tym, jak bardzo popularny jest wśród społeczeństwa polskiego sekretarz generalny KC PZPR, przekonać się można podczas każdej wizyty przywódcy radzieckiego w naszym kraju. Szacunek i powszechna sympatia Polaków ma swoje źródła także i w osobistych kontaktach Konstantego Leonidowa z naszym krajem i narodem, kontaktach, które datują się jeszcze z okresu drugiej wojny światowej, kiedy to nasz dzisiejszy gość znalazł się po raz pierwszy na ziemi polskiej jako żołnierz Armii Czerwonej”.

Dobrze napisane, tak właśnie trzeba! Glebowicz wspomina w tej chwili z satysfakcją, jak stary i złośliwy Naczelný Rajkowski chciał go podejść. W ostatniej chwili dopiero ten wredny aligator powiedział mu, że Leonidow otrzyma w Warszawie najwyższe odznaczenie wojskowe, krzyż orderu Virtuti Militari, więc cały artykuł ma być w duchu żołnierskim. Myślał, chytrzec i zawistnik, że Krzysztof Glebowicz nie da sobie z tym rady i zrezygnuje ze wstępniaka, nie podpisanego zresztą, ale tym ważniejszego, bo wyrażającego swą anonimowością opinię całej redakcji centralnego organu Partii. Istotnie, problem był nowy i nie tak prosty. „Virtuti Militari” to stare, przedwojenne odznaczenie, związane z czasami Sanacji: nadawano je przecież, poczynając od zapomnianej dziś wojny Polsko-Bolszewickiej 1920. Dawny, poprzedni Szef, Baryłka, nigdy by po takie odznaczenie nie sięgnął, nienawidził wszystkiego, co się wiązało z burżuazyjną Polską. Ale obecny Sekretarz, śląski Oraczyk, nie miał takich oporów, przeciwnie, wykombinował sobie, że to będzie właśnie coś nowego a odpowiedniego, pojednanie wobec wspólnego zwycięstwa nad faszyzmem, a także akt zapomnienia dawnych, przemilczanych, waśni. Problem nowy, jednakże Glebowicz się podjął. W ostatniej chwili i proszę — mucha nie siada! Sekretariat Partii i Biuro Prasy zaaprobowało ten nowatorski tekst, jasne, że musiano go skontrolować zawczasu: wstępny artykuł w centralnym organie Partii z takiej okazji jest ważnym aktem politycznym, Rosjanie analizować tu będą każde słowo. Którzy Rosjanie są dziś najważniejsi, to się okaże, ale tekst świadczy sam za siebie, gdyż sprzęgnięty jest ściśle właśnie z ową dekoracją, z orderem Virtuti. Rajkowskiemu w pięty poszło, bo artykuł jak drut,

znający się na dobrej taktyce Leonidow będzie na pewno ukontentowany.

Mignęła mu w wyobraźni krępa, opalona sylwetka, nienaturalne rumieńce, spocone czoło, mdły uśmiech i czyta dalej, za niego i za siebie usatysfakcjonowany:

„Konstantyn Leonidow witany jest w Polsce gorąco, jako uczestnik walk o wyzwolenie narodu polskiego z jarzma faszystowskiego. Jakże wielu ludzi pielęgnuje we wspomnieniach dzień, godzinę nawet, w której zetknęli się ze swymi wyzwolicielami. Dominowało wówczas uczucie ogromnej radości i nadziei. Rodziła się radość ze wspólnego zwycięstwa i nadzieja na serdeczne współzycie i współpracę narodów. Nadzieja ta była realna — cała polska lewica pod przewodnictwem polskich komunistów przedkładała narodowi program nowej Polski — ojczyzny ludu pracującego, żyjącego w przyjaźni z narodem radzieckim.

Żywym dowodem słuszności tego programu była postawa żołnierzy Armii Czerwonej w wyzwolonej Polsce. Ich umiłowanie radzieckiej ojczyzny, proletariacki patriotyzm i internacjonalizm, szacunek dla bratniego narodu polskiego a jakże często poświęcenie życia za wyzwolenie braci — tworzyło trwały historyczny fundament przyjaźni”.

Wszystko tu jest napisane, każde słowo potrzebne i na swoim miejscu, że naprawdę mucha nie siada. Nagły refleks gorzkiego niesmaku na myśl, co powie ojciec: że to wszystko nieprawda, że wśród ogólnej grozy Czerwona Armia wkraczała do trupio pustej Warszawy, zniszczonej dzięki ich rozmyślnej nieinterwencji, a z nimi armia Berlinga złożona z Polaków wywiezionych do łagrów i więzień, że towarzyszyła im świadomość klęski i utraty Niepodległości, że żołnierze Armii Czerwonej przynębiali swą dziwaczną, posępną egzotyką, że napadano, rabowano i strzelano po nocach, że... Ojca nic nie przerobi, to inna epoka, Legiony, absurd — szkoda, że Janusz małpuje dziadka, Janusz, zupełnie wykołejony uniwersyteckimi zajęciami 1968, które o mało co, a pozbawiłyby go matury. Ojca nic nie przerobi, a przecież historia jest w ciągłym ruchu, produkując niespodziewane skoki i zwroty, które ocenić i zinterpretować można dopiero później, gdy miną pierwsze, powierzchowne nastroje. Owszem, Krzysztofa nie było tutaj w czasie Wyzwolenia, tkwił w niemieckiej popowstaniowej niewoli, ale gdy wrócił, mimo przeszkód włączył się natychmiast w pracę nad przestawieniem narodowej świadomości. Nowa polityka to przecież nic innego jak właśnie historyczne przestawienie się z nieaktualnej koncep-

cji jagiellońskiej na aktualizującą się oto powtórnie koncepcję piastowską. Ze wschodniej antyrosyjskiej koncepcji na zachodnią, antyniemiecką. Trzeba było chyba oślepnąć by nie widzieć, że losy wojny i nowy układ sił w świecie wskazały nieodparcie na odrodzenie się starej koncepcji „Polski Piastów”: granica na Odrze, Nysie, szerokie oparcie o Bałtyk, Polska jednolita narodo-wo, bez problemów i misji na Wschodzie, które to sprawy nie-opatrzenie wskrzesić próbował po Pierwszej Wojnie pogrobowiec Jagiellonów — Piłsudski.

Tak, to renesans „Polski Piastów” sprawił, że redaktorem naczelnym „Trybuny Socjalizmu” mógł zostać stary endek Rajkowski, człowiek Dmowskiego jeszcze. Ale to tylko pozorny paradoks: endecy w istocie zawsze wierzyli w Chrobrego i w oparcie o Rosję, dlatego, gdy przyjęto ich do Partii, służyli wiernie, jak, obok Rajkowskiego, niesłusznie oczerniony i znienawidzony komentator telewizyjny Mentelewski. Gorzej mogło się wieść w partyjnej prasie bezpartyjnemu synowi piłsudczyka i ojcu chłopca, skompromitowanego w „syjonistycznych rozruchach” — Glebowicz wiedział, że czyhający na jego stanowisko redakcyjni młodoturcy spod znaku Brygadiera wysuwali przeciw niemu tego rodzaju argumenty. Ale właśnie ostatnim artykułem o Leonidowie pokazał, że można na niego liczyć nie gorzej niż na Rajkowskiego. Do tego wykazał własną inicjatywę, ustawił Leonidowa na tle wojny, czego nikt dotąd nie robił, wynalazł nie cytowane źródła. Bo oto:

„Charakterystyczne, jak wówczas, w godzinach wojny, Konstancy Leonidow umiał dalekowzrocznie wybrać fakty z historii naszych narodów, które...”

Lecz nagle tekst się urwał, jakby zamarł, rozplątał się w powietrzu, bo nie wiadomo dlaczego, choć, jak się okazało, wiadomo, Glebowicz rzucił okiem w dół, na jezdnię Trasy, a tam, w tłumie rozmaitych parasoli, przesunął się w stronę Wisły jeden czerwony, w różnobarwne, koncentrycznie od środka rozchodzące się promienie. Takiego drugiego parasola nie ma w całej Warszawie, przywiózł go Izabelli z Londynu ten stary Harpagon Waczkowicz, przekłety jej mąż, o siedem lat starszy od Krzysztofa. A więc Izabella spacerowała po Trasie, tak jak się spodziewał!

Duże, ciemne, rozsądnie uwodzicielskie oczy spojrzały nań bardzo uważnie. — Byłam pewna, że pan tutaj gdzieś jest! Oczywiście — to jedyne odpowiednie słowa — magnetyzm obustronny, on nie zawodzi. Trzymała się pod rękę z jakąś tam irytującą

przyjaciółką, ale od razu staje się jasne, że przyjaciółkę nieznacznie lecz skutecznie się posieje. Glebowicz potowarzyszył paniom, deszczyk mu zmywał gęstą i nie siwiejącą czuprynę, cierpliwość nagrodzona, bo po godzinie przyjaciółki już nie było, zostali z Izabellą sami. I cały dzień do dyspozycji, aż do wieczornego dyżuru Krzysztofa w redakcji, gdyż ona, mimo wzdragań, już do biura nie wróci. A mąż, stary, demonstracyjnie głośny reakcjonista, traktujący redaktora Glebowicza jak psa czy sprzedawczyka, jest teraz oczywiście, jeśli łaska, w Madrycie. Pracuje w handlu zagranicznym, spec nad spece, siedzi w Partii, a urąga Polsce Ludowej przy każdej okazji. Znów gorzkawy refleks na myśl o tym człowieku trudnym, obleśnym, ale nic to wszystko: dzień z Izabellą, dzień dla nas, dzień wolności.

Obiad w Bristolu, „dla Pana Redaktora zawsze stoliczek się znajdzie”, znane gesty, spojrzenia, rytuał. Rytuał Don Juana? Takiego, co chce wybierać ciągle na nowo, nie ponosząc kosztów, ciężarów jednego wyboru — stąd wzięta się tragedia jego małżeństwa, odejście Anny, historia z Januszem. Puste, rutynowane gesty, banalnie uwodzicielskie w banalnie secesyjnej, choć dla zniszczonej Warszawy kusząco egzotycznej scenerii „Bristolu” — egzotycznej, bo przetrwała kiedyś wśród potopu ruin? Nie, to nie są tylko puste gesty — za każdym razem ożywia je utajony dreszcz, nadzieja, że teraz misterium odbywa się naprawdę, że to wyskoczył nareszcie ów upragniony numer w życiowej ruletce, miłość — może na zawsze?! Bez tego prawdziwego dreszczu nie byłoby wszakże Don Juana, dreszcz decyduje o wszystkim, nadaje magię, upiększa, uszlachetnia pospolite otoczenie. „Te banalne walce kawiarniane urastają w tragiczne psalmodie...”. A właśnie w dużej sali Bristolu grali takie walce, znajomy, przyjezdny Francuz powiedział mu kiedyś, że tylko w krajach Europy Wschodniej jest jeszcze podobna muzyka w restauracjach. Komplement, nie komplement?

Jakaż piękna w istocie ta Izabella, jak wspaniale błyszczą jej oczy, naturalny luksus ludzki, ale cenny, bo przemija: najcenniejsze w świecie okazuje się nie to co trwa, lecz to, co przemija. Glebowicz prowadzi ją pod rękę, dotykając piersi, ona się nie wzbrania, jeszcze się przytula. Dwadzieścia lat różnicy się nie liczy, przeklęty Marian starszy jest od niej o dwadzieścia siedem, niemal trzydzieści! Lata nie istnieją, lata to pojęcie mgliste, umowne. Liczy się magia miłości, „gwiazda miłości”, o której śpiewa w Warszawie telewizyjna piosenkarka. Dzień z Izabellą i rozbujany marzeniami nocny dyżur w „Trybunie Socjalizmu”. „Polityka i miłość”, było coś takiego, powieść nie powieść. Redaktor Krzysztof rad z siebie, och, jakże bardzo rad.

Zapomniał o niesmakach, irracjonalnych goryczach, obrotowe myśli, takie, co to każą patrzeć na siebie na przemian to z zewnątrz to od wewnątrz cofnęły się gdzieś, stępiły, nie boi się ich już — czy to alkohol sprawił, czy Izabella? Ale jest konkretny dowód: wszak ów fluid, magnetyzm działał skutecznie, działał na odległość, sprzegnął ich obustronnie, przecież się wcale nie umawiali, mogła nie przyjść na Trasę, mogła przeczekać przejazd Leonidowa w biurze, w sekretariacie maszynistek „Trybuny”. „Byłam pewna, że pan tutaj gdzieś jest” — to decyduje!

II

Izabella wróciła bardzo zmęczona, więc nie myśli. Nie myśli, ale wie: to ten człowiek ją zmęczył, widzi się go ciągle na wskroś, jakby obserwować przezroczystą rybę w akwarium, wszystkie wnętrzości na wierzchu i to w ciągłym ruchu — okropne! Sam nie zna spokoju i innym go nie daje, w dodatku wcale nie przypuszcza, że widoczny jest aż do dna. Z jednej strony gryzie go sumienie, pisze głupstwa w „Trybunie” więc dla rehabilitacji ciągle nawiązuje do swojej akowskiej i powstańczej młodości, mógłby już sobie darować te historyjki, kogóż to dziś obchodzi — a znowu z drugiej strony dumny jest, że pisze, że odgrywa rolę w nowej polskiej polityce, że wytycza rzekomo linię partyjnym, choć sam jest bezpartyjny. W rzeczywistości nic nie wytycza, trzęsie się ze strachu, żeby nie narazić się choćby jednym, jedynym słowem i nie wylecieć za burtę, a tu Chrapiec, Kafarski i Podkowiak czy inne wygłodniałe redakcyjne psy na dorobku tylko czekają, aby się nań rzucić, sytuację ma trudną, choć o tym nie wie, bojąc się tylko najmniej w istocie groźnego Rajkowskiego. Hoduje nawet naprawdę jakąś swoją wewnętrzną rację (a raczej przekonanie o niej — co wychodzi na jedno), działa niby w dobrej wierze, lecz nie budzi współczucia, bo za bardzo galaretowaty, drży wewnątrz, wszystko to po nim widać. A już jak wypije parę kieliszków, wtedy istne nieszczęście — zwierza się i przymila, jednocześnie chce imponować, traci kontakt ze światem zewnętrznym, sądzi, że wszystko idzie po jego myśli i to właśnie wtedy, gdy jest akurat najbardziej bezbronny i zdany na bezceremonialne ludzkie spojrzenia, sięgające brutalnie aż do samego wnętrza, do dna. Mieć dno na wierzchu — cóż to za kalectwo! On niby o tym nie wie, a zwłaszcza jak wypije, jednak ma jakiś wrażliwy, odstonięty nerw, gdy go potrącić, niechcący choćby, właściciel nerwu spada nagle ze swego nieba na samo dno upokorzenia — tak było

kiedyś, gdy przez chwilę nie słuchała jego opowiadań o tym nieszczęsnym Powstaniu. Bardzo się wtedy zmieszał, przykro mu było, w oczach bolesny namysł, jakby mierzył nagle rozmiar swej porażki i jej głębsze znaczenie. Współczuła mu w takich momentach, ale to niebezpieczne, bo natychmiast się odprężył, zapominał o całym incydencie, a współczucie brał za tkliwość typu erotycznego. Zaś erotyzm jego...

Tu Izabella wstrząsnęła się na myśl, że będzie się z nim musiała przespać. Erotyzm Glebowicza był najgorszy ze wszystkich: to jego natrętne zaglądanie w oczy, uśmieszek ni to próżny ni to prosząco czuły, uśmieszek „podrywacza”, człowieka który za każdym razem sądzi, że jest zakochany i że robi tym kobiecie ogromną przyjemność, wywołuje w niej emocje, takie, jakie akurat jemu się podobają. Zaglądanie w oczy, branie pod rękę, miękkie ale tak zaokrąglone, żeby dotknąć piersi, a jeśli ona się nie cofnie, uważa, że już wygrał, tryumfuje, sapie z cicha, sapaniem starego mężczyzny. Bo wychodzi z niego podstarzałość, o czym nie wie, myśli że on właśnie się nie starzeje, dlatego, że nie siwieje, że prosto się trzyma, jest sprężysty na pokaz. Tymczasem wcale nie przypuszcza, że jakaś zwiędła starość emanuje z niego wszystkimi porami, nie wiadomo jaką drogą, lecz emanuje. On wcale pojęcia o tym nie ma, choć taka z niego niby skomplikowana mimosa, tego jednego właśnie nie wie. Fe, jakież to bezbronny człowiek — aż wstydy.

— Będę musiała się z nim przespać! Wiedziała o tym od początku, gdy zaczął coraz częściej przychodzić do sekretariatu redakcyjnej hali maszyn. Koleżanki żartowały, że on leci na nią, jak szafa o trzech nogach. I rzeczywiście — leciał uderzająco, tryumfalnie, był rozwiedziony, miał swobodę, opinię uwodziciela. Aż się prosiło, żeby go odwalić, dać mu kosza, ukarać jego zakompleksione w istocie natręctwo. Ale nie mogła sobie na to pozwolić: co zrobi, jeśli Marian...

Westchnęła ciężko, ustawiając na nocnym stolicku małe, japońskie radio. Mama już spała, całe szczęście, znów zaczęłyby się rozmowy jałowe, w których wszystko z góry wiadomo. Między Marianem a Mamą trwał antagonizm, to właśnie na pewno jest przyczyna „rozkładu pożycia”, jak nazywano rzecz w sądzie, nie zaś małe zdrady Izabelli, małe, bo przesypiała się z różnymi facetami bez przyjemności i także bez żadnego uznania dla siebie w tej roli i sytuacji — ot, po prostu, tak się zdarzało: trzeba przecież coś robić, jak mawiała wtajemniczana czasem Irena. Marian o te zdrady nie miał wcale pretensji, za to Glebowicza nie znosił, choć nic przecież dotąd się nie stało... Nazywał go

gnidą, jeździli niedawno razem do Paryża w delegacji, znienawidzili się tam jeszcze bardziej.

Ta niechęć była irracjonalna, inna sprawa z Mamą: młodsza jest od Mariana o rok, on 57, ona 56, to nienormalne i od początku musiało go irytować, a tu właśnie jak na złość wspólne mieszkanie, od którego nie można w żaden sposób się wyzwolić. Marian miał spore, w starym budownictwie, w jednym z niewielu ocalałych domów na Koszykowej. A one nic nie miały, latami tkwiły kątem u dalekich krewnych w Leśnej Podkowie. I tak jakoś wprowadziły się tutaj razem. Po ślubie, to był rok 69, wyjechała z Marianem do Zakopanego, gdy wrócili, Mama była już zadomowiona na dobre. I zaczęło się przykre życie, zresztą niekoniecznie z winy Mariana. Z Mamą szło rzeczywiście bardzo trudno, wtedy właśnie chyba rozstała się na dobre ze swoim panem Konradem i zaczęła powoli zdawać sobie sprawę, że w jej życiu nic już czysto osobistego, własnego się nie zdarzy. I oto przyłączyła się, przyssała do ich życia małżeńskiego, od początku niezbyt udanego — Marian był już kiedyś żonaty, miał swoje urazy, zresztą jest znacznie starszy, choć to nie najważniejsze, z początku to nawet miało urok. Mama pracuje w Ministerstwie, zapisana jest niby do mieszkaniowej spółdzielni, po ilu latach z tego coś wyjdzie i jak właściwie, przy swoim towarzyskim i nerwowym usposobieniu miałyby sama mieszkać? Tutaj przecież są trzy spore pokoje. Ale gdy Marian rzeczywiście...

Izabella była dzieckiem Powstania, tragicznym dzieckiem, choć niczego oczywiście nie pamiętała. Dlatego pewno, sprawił to czarny kłęb spraw okropnych, o których słyszała całe lata młodości, tak irytowały ją niby skromne a rozmyślnie brawurowe opowiadania Glebowicza o Powstaniu. Bo ich, to znaczy Ojca i Matki historie powstańcze były okropne, żałosne i głupio niepotrzebne — przez to wszystko przecież nigdy nie poznała swojego ojca. Mieszkali na Czerniakowskiej Sadybie, tam w ogóle Powstania miało nie być, nie figurowało w planie Komendy, nie przewidziane. Nie toczono żadnych walk, Niemcy siedzieli w Forcie Czerniakowskim, trochę stamtąd strzelali, ale za odważni nie byli, bali się zapuszczać w kręte uliczki między jeziorkami. Nawet głodu specjalnego nie odczuwano, bo z Sadyby blisko już do wsi, dawało się w nocy przynieść to i owo — kartofle, chleb. Lecz oto — Izabella знаła te historie z nieskończonych opowiadań Matki, jej samej przecież nie było jeszcze na świecie — znalazł się na Sadybie jakiś „kozak”, młody oficer AK, który nie mógł się doczekać swojej roli. Jakże to? — Powstanie wokół się toczy, cały dzień z miasta dochodzą huki, wybuchy, warkoty, w nocy łuny pożarów na niebie, a jemu miałyby to wszystko

przejsć koło nosa, miałby strawić ten wielki czas w bezczynności?! Tyle, że zamiast zgłosić się do walki, w Śródmieściu czy na Mokotowie, postanowił podzielać na miejscu, na Sadybie. Zebrał grupę młodzieży, uzbrojenie zresztą mieli żadne: trochę granatów, parę karabinów — i „uderzyli” w nocy na Fort Czerniakowski. Skutki natychmiast okazały się okropne: prawie wszyscy wyginęli, po czym Niemcy wtargnęli do dzielnicy i po wielu godzinach grozy zebrali i wywieźli ciężarówkami znalezionych po mieszkaniach mężczyzn. Potem zaczęły się rabunki, pożary, historie — w parę dni później Matka, w ostatnim miesiącu ciąży, przekradła się na wieś, w okolice Jeziorny, stamtąd do Piaseczna i wreszcie — do Leśnej Podkowy. Tam, w październiku 1944 urodziła się Izabella — w istocie nie skończyła więc jeszcze 30 lat, choć Glebowiczowi powiedziała dla fasonu, że już. Kobieta trzydziestoletnia, to podobno kiedyś było dużo — Izabelli wydaje się, że w ogóle jeszcze dotąd nie żyła, nie miała żadnego życia, tylko przykrości, kłopoty i nudę, och cóż za nuda! I nic nie zapowiadało że jakieś prawdziwe życie się zacznie, przeciwnie, kłopoty zapowiadały się, kłopoty coraz gorsze, zwłaszcza jeśli Marian zrealizuje swój zamiar. Zresztą Marian, poza mieszkaniem, wiele jej nie dał, choć to człowiek niezgorszy — ale ta konstelacja z Matką okazała się fatalna — już pięć lat przysługać się musi bezsilnie, jak stosunki między mężem a Mamą pogarszają się konsekwentnie, pożerając ich całe życie. Stąd pewno zaczęły się te ciągłe służbowe wyjazdy Mariana najpierw w kraju, od 1971, gdy ruszył eksport jego przedsiębiorstw, za granicę.

Ojca nie zobaczyły już nigdy. Transport mężczyzn z Sadyby wywieziono do obozu koncentracyjnego w Gross Rosen. Nie wiadomo jednak, czy do samego obozu dotarli: widziano ich ostatnio na obozowej bocznicy kolejowej, po wyjściu z pociągu SS-manni kazali im ustawić się na peronie w dwuszeregu i stać na baczność w ciągu 16 godzin, na chłodzie, bez jedzenia, kto upadł, tego dobijano na miejscu. Ojciec tam był podobno, a co dalej? Żaden Czerwony Krzyż, żadne źródła nie potrafiły udzielić informacji — człowiek znikł bez śladu, jak miliony innych zresztą. Izabella nie miała więc Ojca, zaledwie jedno zdjęcie jej zostało, zdjęcie, na którym widnieje twarz nieogolonego młodego człowieka, młodszego, niż ona w tej chwili. A Mama zajęła się panem Konradem, tyle, że on miał żonę i dzieci i wcale nie zamierzał zastąpić Izabelli jej własnego ojca — własnego, choć nieznanego i nie do poznania.

No a potem zaczęły już płynąć jej z kolei własne lata — szkoła w Leśnej Podkowie, po maturze uniwersytet, nieskończo-

ny, kiedy przez dwa sezony mieszkała w Domu Akademickim na Pradze. Wtedy przyszły też pierwsze przygody z chłopakami — dosyć wcześnie, choć, zdarza się i jeszcze wcześniej. Puszczając się — cóż za śmieszne określenie, to mężczyźni wymyślili owo głupie słowo, dla kobiet oczywiście, u siebie zupełnie inaczej to określają. Puszczać się — na swobodę, na wolność? Tak kiedyś, na początku, myślała, zaczęła to robić jako wyzwanie światu, jako wyzwolenie, przekroczenie pewnych granic, lecz szybko się okazało, że żadnych granic i więzów się przez to nie obala, natychmiast tworzą się granice nowe, bo dno jest blisko a mężczyźni w całej tej sprawie zachowują się okropnie schematycznie. Szybko się znużyła, dopiero Marian ją podniecił, bo był starszy, liczyła na coś innego, na siłę, która się jej narzuci, ośwładnie nią, jakoś ją w końcu ukierunkuje. Przerwała studia, pracowała, lat miała niespełna dwadzieścia pięć a on pięćdziesiąt dwa — to mogło się okazać ciekawe, wziął ją przecież jak swoją, po paru dniach znajomości zaledwie, nie pytając o przeszłość, o zdanie nawet i zgodę. Mogło się okazać ciekawe, ale życie sprawę też zepsuło: Mama, mieszkanie, komunizm, nuda. No i teraz Marian zdecydował...

Nie, nie będzie nastawiać radia, ani na Wolną Europę ani na nocny program warszawski. Jest cisza, przy otwartych oknach pachną jakieś kwiaty, trzeba pooddychać w spokoju, nacieszyć się tą miejską, letnią, nocą, zanim w sklepie na dole zacznie się przywóz towaru, uprzykrzone brzęczenie bańkami z mlekiem, głośne rozmowy. Cóż za hałas był tam w „Bristolu”, orkiestra rżnęła nad głową jakieś wulgarne waltze, nieoceniony Glebowicz tym się rozczulał, dopatrywał się nastrojów, wspomnień, coś tam nucił, podpity na uczuciowo.

Ach ten Glebowicz, żał jej go było i potrzebuje go, wobec tego, na co się zanosi, ale jakież on jest niemądry, choćby w tym, że współczucie bierze za dobrą monetę, za erotyzm czy tkliwość. I ten jego artykuł, do którego ciągle z lubością wracał, cóż to za idiotyzm. Sama mu go przepisywała, niańczył się z każdym słowem, że to niby takie ważne...

Izabella bierze ze stolika numer „Trybuny Socjalizmu” i czyta piąte przez dziesiąte: „... fakty z historii naszych narodów, które łączyły losy polskich i rosyjskich rewolucjonistów, a które dziś już na trwałe... W 1945 roku Konstanty Iljicz Leonidow przywołał w pamięci czasy, gdy wódz Rewolucji Październikowej Włodzimierz Iljicz Lenin żył i pracował na ziemi polskiej, gdy nawiązał żywe... polskiego ruchu rewolucyjnego... wspomina towarzysza broni Konstantyna Leonidowa generała lejtnanta Nikita Demina w pamiętnikach czasu... Konstantyn Leonidow bywał

wówczas na froncie jako szef zarządu politycznego 18 Armii... zimą 1945 roku korpus jego znalazł się u samego podnóża Tatr... generał Leonidow wygłosił przed żołnierzami korpusu prelekcję o pobycie Włodzimierza Lenina w Polsce. Na miejsce... Konstantyn Iljicz Leonidow... wioskę Poronin, w której nie było wtedy jeszcze ani muzeum ani pomnika Lenina... W swoim wystąpieniu już wówczas zwrócił uwagę na fakt... że... mieszkańcy Poronina i Nowego Targu... z niezwykłą pieczołowitością kultuwają wszystkie miejsca i pamiątki, związane z pobytem"... kukuryku, kukuryku, kic, kic, kic...

Gazeta z szelestem opada na podłogę. Boże, cóż to za nieludzkie bzdury! I jak może dorosły człowiek cieszyć się i rozkoszować, że coś takiego napisał! Izabella przymyka oczy i widzi pod powiekami Poronin, gdzie była kiedyś na zimowych wczasach. Na tle górskiej scenerii, wśród zalanego słońcem śnieżnego przestworu tkwi mały, czarny, pokurczowaty pomnik z kozią bródką, który kazano zbudować parę lat po wojnie. Pomnik, ośmieszony na całym Podhalu, miał wiele razy na głowie nocnik, umieszczany tam pośród ciemnej nocy przez Nieznaną Rękę. Zwozi się tutaj, owszem wycieczki, tłum zbaraniałych, nic nie rozumiejących dzieci i wygłasza się zawsze jednakowe mowy bez treści. Takie same właśnie, jak ten artykuł Krzysztofa Glebowicza, kic, kic, kic... Który ona właśnie własnorecznie przepisywała kic, kic, kic, a potem wspólnie opijali rzecz w „Bristolu” — kukuryku, kukuryku...

... mamy cywilny, więc rozwód dostaniesz łatwo... rozkład małżeństwa, gorzej niż rozkład... ucieczka, zdrada ojczyzny... ogólne oburzenie... nie chcesz jechać... zdecydować się... nie mam czasu... marnować życia... nie młody... nie będę gnić... gnić... jeszcze parę lat... zrobię... przyszłość...

To okrucy słów Mariana. Stawiał problem uczciwie, zdecydował się ją zabrać i rozwód przeprowadzić za granicą. Dlaczego nie chciała wyjechać? Sama nie wie — może jednak nie lubi postępować tak jak wszyscy, już się zresztą na tym poparzyła, choćby na owym powszechnie doradzanym i przyjętym „puszczaniu się”. Ale żeby się tu utrzymać, żeby nie wylecieć z „Trybuny” i nie stracić mieszkania, do tego wszystkiego potrzebny jej jest redaktor Glebowicz. Musi się z nim przespać i to prędko, przed faktem, zanim Marian... Bo potem Glebowicz może się spłoszyć. Trzeba iść do niego, przyspieszyć sprawę, uwieść go i prędko, prędko z nim spać... Nie za dużo, ale trochę, żeby myślał, żeby...

Ale to wszystko bardzo jest jednak złożone. Izabella zamyka oczy i kontempluje, nie myśląc ale wiedząc, całą panoramę tru-

dności, przykrości i niesmaków, w jaką wtrąci ją decyzja Mariana i jej postanowienie, aby dla ratowania się pospać z Glebowiczem. Należy sobie to wszystko dokładnie wyobrazić i odtwarzać wewnętrznie to wyobrażenie tak często i dokładnie, aż ulotni się z niego gorycz i lęk, aż stanie się czymś normalnym, po prostu okolicznościami życia, jak wszystkie inne, takimi, których nie da się obejść czy ominąć, lecz trzeba je rozwiązywać w sposób przewidziany, biorąc pod uwagę konkretne argumenty za i przeciw. Więc przede wszystkim Glebowicz może tak czy owak się spieszyć i ochłodzić, zwłaszcza gdy coś zagrozi jego redakcyjnej karierze, którą ceni ponad wszystko. — Inni AK-owcy siedzieli kiedyś po więzieniach a ten piękniś i ancymonek od razu po obozie jeńców trafił do rządowej prasy — ta pogardliwa refleksja przewija się gdzieś pod spodem, ale nie ma na nią czasu, nie o nią chodzi. Jasne, że on może się spieszyć i wycofać, nie jest jeszcze dostatecznie omotany a czasu zostało bardzo mało. Trzeba działać szybko, bo przecież nie wiadomo, czy Marian zrealizuje swój zamysł już teraz, w Madrycie, czy następnym razem... Szkoda, że ten Glebowicz miał dzisiaj nocny dyżur, pojechałaby od razu do niego, po rozwodzie z żoną mieszkał w kawalerce na Mirowie — byłoby po krzyku i bardzo wygodnie, bo przed historią z Marianem. Izabella widzi teraz, że podświadomie była już zdecydowana na wszystko, dlatego poszła na Trasę z Ireną, wiedziała przecież, gdzie on będzie — tylko ten dyżur przeszkodził...

Dalej: założywszy nawet, że sypia już z Glebowiczem, są zaprzyjaźnieni, on chce dla niej zrobić wszystko a w każdym razie dużo, wówczas jednak sytuacja w redakcji też może się okazać nie najłatwiejsza. Miała tam kiedyś romans z młodym Kafarskim, był jej wtedy potrzebny. Wprawdzie od dawna nic już między nimi nie ma, tak, jakby w ogóle zapomnieli, ale kiedy zacznie się historia z Glebowiczem i tamten coś wyczuje, wtedy może być gorzej — zbudzi się zawiść, niechęć, irracjonalna niby, bez sensu, ale realna, tak często między mężczyznami bywa. Poza tym ci młodzi nie znoszą Glebowicza, tkwi on w redakcji jeszcze od czasów Dyrektora, od zamierzchłych czasów żydowskich, a tego oni nie lubią. Przejściowo redaktorem po dymisji Dyrektora był Podkowiak, ale że wyjątkowo głupi i niezdolny, więc sięgnięto po starego neofitę — endeka Rajkowskiego, którego Glebowicz nie wiadomo dlaczego nie lubił, choć był to naturalny jego sojusznik wobec drapieżnych młodoturków. No cóż, mężczyźni nie bywają rozsądni, niechętnie słuchają rad, chyba, że osiągnie się na nich wpływ przez łóżko. Dlaczego tak to jest urządzone, że aby coś z facetem zrobić, trzeba się z nim prze-

spać? Cóż znaczy te parę łózkowych ruchów, czy to naprawdę takie ważne? W dodatku nie zawsze skuteczne: ten młody Kafarski pospał z nią, wykorzystał, jak to się mówi, choć ona nie sądzi, aby mu cokolwiek dała, i — nic dla niej nie zrobił. Poszedł sobie lekceważąco — chamowaty szczeniak!

Więc wariant z Glebowiczem może się nie udać; kiedy na Izabellę po ucieczce Mariana, przyjdą ciężkie tarapaty, to ona, wiążąc się z tym Krzysztofem, może go wciągnąć za sobą w topiel. Nim się nie przejmowała, ale własny jej los bardzo ją wzruszał, zwłaszcza, że tyle się zapowiadało niesmaków i niewygód. Będą ją oczywiście przesłuchiwać, bądź co bądź pracownica partyjnego pisma, wszyscy się przestraszają, odsuną — czyż mogła nie wiedzieć o zamiarach Mariana? A potem najważniejsze — sprawa mieszkania. Mogą je w ogóle zabrać, przydział był na Mariana, mogą kogoś dokwaterować, żeby obrzydzić życie. I jak się wtedy zachowa Mama, ileż będzie awantur, historii, przecież to wszystko spadnie na nią zupełnie niespodziewanie, a system nerwowy ma taki słaby. Kara Boża, naprawdę!

Może jednak trzeba było skorzystać z oferty Mariana, wyjechać z nim, tam się rozwieść i zacząć nowe życie? Był wielkoduszny, właściwie jedyny facet z klasą, jakiego znała, ułatwiłby jej start, miał tam stosunki, pieniądze chyba.

Lecz nie, na samą myśl o zaczynaniu od początku opadła ją fala znużenia: to niemożliwe, już dostatecznie naharowała się tutaj, żeby powtarzać to samo w nieznanach, dziwnych krajach. Jest bardzo zmęczona, niby młoda a bardzo zmęczona. Nim zorientuje się w tamtejszych kabałach i w tamtejszych mężczyznach — boć wszędzie i wszystkim kierowali chciwi łóżka mężczyźni, nie ma cudów — więc nim się zorientuje i jakoś urządzi, okaże się za stara, to już będzie, jak mówiono, „po herbacie”. Stara i obca, w dodatku źle władająca językami — to obrzydliwe. No i przecież nie można zostawiać Mamy samej — Mama to wariatka, ale dlatego właśnie nie może zostać sama. Izabella nie znała ojca, tym bardziej nie darowałaaby sobie nigdy, gdyby pozostawiła własnemu losowi Mamę. Wyrzuty sumienia zamęczyłyby wyrodną córkę tam, na tej jakiejś dziwacznej obczyźnie, wszak trochę sumienia jeszcze miała. Była z Marianem parę razy za granicą: w Brukseli i Amsterdamie, potem w Kolonii. Dziwne to jest bardzo, długo by się musiała przyzwyczajać, drzewo wyrosłe w Leśnej Podkowie nie aklimatyzuje się łatwo gdzie indziej. Trudno, zostanie w tej idiotycznej Polsce Ludowej, tylko trzeba wreszcie urządzić sobie jakieś możliwe życie. Trochę swobody, wyzwolenia od ludzkiej niedorzeczności, minimum warunków materialnych. Z tym, co zostawiał jej Marian, nie będzie źle,

zresztą pracowały i ona i Mama. Aby tylko ocalić mieszkanie — to jest w dzisiejszej Warszawie istota rzeczy.

Złe myśli i przewidywania zostały już, przez dłuższe użycie — bo zrobiło się bardzo późno, a raczej chyba wcześniej — oswojone, zneutralizowane, nie mają teraz żądła. Przeciwnie, w Izabellę wstępuje oto konstruktywny i nawet marzycielski optymizm. Może jednak wszystko przejdzie gładko, czasy są dziś przecież liberalniejsze, coś ona winna, że Marian postanowił zostać za granicą, pewno to przemilczą, nie zrobią przecież prasowej i ubeckiej hecy jak dawniej, sekretarz Oraczyk nie lubi rozgłosu, skandali, sensacji. Jakoś to przyschnie, Glebowicz pomoże jej przetrzymać pierwsze uderzenie, ulegalizować sprawę mieszkaniową, a potem, potem zaczną się stopniowo rozchodzić, on ma opinię kobieciarza, lubi podobno skakać z kwiatka na kwiatek, chyba odejdzie w końcu bez specjalnego żalu. Zresztą da mu z siebie, jako nagrodę wszystko co będzie mogła, to znaczy, będzie udawać że daje, ale to wyjdzie na jedno, oni nie umieją w tych sprawach odróżnić prawdy od udawania, całe szczęście. Niezbyt się jej podobał, cały na wierzchu, pozer co pozuje i przed sobą samym, słaby, niemądry — ale w końcu człowiek dosyć porządny, nie bandyta jak Chrapiec czy Kafarski. Trzeba tylko szybko z nim działać, nie ma czasu przecież. Chociaż chyba Marian jeszcze nie...

Na dole coś się zaczęło, jakieś auto, ciężarówka, głośy. Dziś świąteczna, wolna od pracy sobota, ale pewno mleko przywieźli. Tak oto Izabella doczekała do świtu, letniego, warszawskiego świtu. Jak to dobrze, że nie trzeba nigdzie iść, można sobie leżeć przy otwartym oknie i wdychać zapach kwiatów z balkonu, kwiatów hodowanych przez Mamę — to jedno ona lubi i potrafi. Izabella uśmiecha się do siebie, uspokojona całkiem, wie że zaraz zaśnie i będzie bezpieczna.

III

„Trzydziestolecie Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, które w tych dniach obchodzimy, uświadamia skalę i odpowiedzialność zadań, jakie na funkcjonariuszy bezpieczeństwa i porządku publicznego nałożyła władza ludowa. Od pierwszych dni działalności organa MO i SB podjęty energiczną walkę o jej ochronę i utrwalenie, o zapewnienie ludziom pracy, spokoju i bezpieczeństwa”.

„Wykonując swe codzienne zadania, funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa zawsze pamiętają o tym, że zgodnie z polityką Partii, podstawowym naszym celem jest realizacja hasła budowy socjalizmu, dla człowieka i przez człowieka. Umacniamy łąd, bezpieczeństwo i porządek społeczny... Z inicjatywy Partii systematycznie doskonalimy obowiązujący w naszym Państwie system prawny. Sprzyja to rozwijaniu socjalistycznych stosunków międzyludzkich, umacnianiu zasad praworządności. Następstwem przemian, którym przewodzi partia, są korzystne zmiany, zachodzące w świadomości społecznej. Wzrosło zdyscyplinowanie i poszanowanie prawa.

Notujemy ogólny spadek przestępczości. Zdecydowanie coraz mniej jest przestępstw o wysokim stopniu niebezpieczeństwa społecznego, czy też jaskrawo godzących w porządek prawny. Tutaj rzecz najbardziej znamienna: zanikły zupełnie przestępstwa polityczne, popełniane z pobudek pseudoideowych. Nie mamy w tej chwili w Polsce więźniów politycznych. To może być miarą tryumfu idei socjalistycznej praworządności w społecznej świadomości, a także totalnego bankructwa, wrogich nam systemów ideologicznych. Pozbawione społecznego oparcia systemy te uległy degeneracji i rozkładowi, a resztki ich eksponentów znikły z życia naszego socjalistycznego państwa na zawsze...”.

— Cóż ty za bzdury nam czytasz, Edziu, jakaś drętwa mowa z „Trybuny Socjalizmu”?

— To jest przemówienie Ministra Równowagi Jakubczyka na Trzydziestolecie milicji. I w tym wypadku on ma rację: brak przestępstw ideowych, brak więźniów politycznych to najsmutniejszy objaw naszego życia, to najbardziej znamienne, tak właśnie, jak on gada. Myśmy byli ostatnimi więźniami politycznymi, o których mówiono jeszcze w prasie i radio. Grupa „Walki” i afera braci Jakubczyków — nomen omen — przeszły już później po kryjomu, niezauważone. A teraz, jak ich również amnestionowali, wypuścili, to już nic nie będzie — te sprawy są skończone. Minister Jakubczyk ma swoją rację; nie wiadomo kto on jest, nikt go nie zna, jakiś Ślązak bez twarzy, ale to właśnie też jest symptomatyczne, czyli, jak oni mówią, znamienne. Nie ma kontrowersyjnego życia politycznego, nie ma nawet politycznego podziemia, to i niepotrzebny jest minister Równowagi o określonym obliczu, jakiś silny człowiek, indywidualność niczym Brygadier czy Grabicz. Przykład Grabicza, raczej przypadek Grabicza jest charakterystyczny. Każdy szef policji w kraju pozabawionym życia politycznego nabiera w końcu chętki, aby samemu odegrać rolę. Taki facet postanawia się jakoś rozwinąć, uwszechstronnić, zhumanizować, zaczyna gadać z literatami, aktorami, demonstrować szerokie zainteresowania, liberalizm, opowiadać dowcipy. To są znamiona nieomyślne, drugorzędne ale nieomyślne. Oraczek od razu się na tym poznał i zadziałał bezbłędnie: spławił gościa, wyrzucił na mordę, wykorzenił jego ludzi z Partii i Rządu, wykorzenił do ostatniego. Oraczek wie, czym pachnie konkurencja, on chce mieć monolit, samych śląskich technokratów, zimnych, brutalnych grubasów bez twarzy, co najwyżej z mordą. Znam te typy z Degańska, oni rządzą wszystkim, Komitetem, sekretariatami powiatowymi, przemysłem. Społeczeństwo też jest bez twarzy, w niecałe cztery lata po Grudniu już jest bez twarzy, nie ma oporów politycznych, rządzi „konsumpcja”, dążenie do dobrobytu, ludzie nie widzą żadnego związku między życiem politycznym, a wahaniami tej konsumpcji, zresztą w ogóle nie wiedzą już, co to życie polityczne, gdzie niby mieliby je widzieć? O Grudniu zapomniano, o Grudniu na Wybrzeżu, pomyślcie sobie, a co dopiero o nas, o „Marcowcach 68” sprzed sześciu już lat. Tu nie ma prywatnych archiwów, gdzie jakiś maniak zbierałby dowody, dokumentację tego co było — wszystko idzie w zapomnienie. Małe mieszkania w wielkich blokach, akustyka przewodząca każdy dźwięk, życie powszechnie widoczne, jak na patelni. Byt określa świadomość, prawdą jest to, co się teraz mówi, my jesteśmy niebytem, co najwyżej szczątkiem, reliktem, jak chcecie, minionych spraw. Na nas wystarczy, to znaczy, dla neutralizacji nas, dla unieszkodliwienia, wystarczy wojewódz-

ki Komendant Milicji, ale, co ja mówię, jakiś wojewódzki referent i paru szpicli, bo, jak właśnie mówi ten Minister, nie mamy zaplecza, oparcia społecznego, jesteśmy wyizolowani i, co gorsza, niepopularni, już niepopularni, raczej po prostu zapomniani. To się prędko odwraca, diabelska karuzela nastrojów, umarli szybko jadą, nieobecni nie mają racji. Jak ministrem był Brygadier, jak nam przegrażał i wymyślał od syjonistycznego spisku, jak kazał bić i z hukiem zamykać, to to było coś — dowód, że jemu to jest do czegoś potrzebne, że więc on czegoś chce, i, jak z tego wynika, coś sam może. Tymczasem teraz nie ma już takich luksusów: jest minister bez twarzy, nikt go nie zna, on zasuwa drętwą mowę, ale nie taka ona drętwa, jak się wydaje, bo jest w niej coś bardzo istotnego, coś ważkiego a prawdziwego, najprawdziwszego. Co? Ano właśnie stwierdzenie, że nie ma polityki poza Partią, nie ma oporu ideowego, ani podziemnego ani nadziemnego, że te kategorie minęły, przestały się liczyć, taksamo jak i jego stanowisko przestało się liczyć, liczyć politycznie, teraz ten resort to sprzątanie, wywożenie śmieci, pilnowanie automobilistów i pijaków. Brygadier, nie bez zgody Szefa oczywiście, wymiotł kiedyś z resortu Żydów, potem Grabicz z Oraczykiem wymietli brygadierowców, no i w końcu Oraczyk wywalił tworzącą się sitwę Grabicza wraz z nim samym — mało kto wyleciał tak dokładnie i bezpowrotnie jak ten Grabicz. No i na placu zostały ślaskie grubasy, które Rosjanom nie przeszkadzają, bo nie mają żadnych ideowych ambicji, po prostu się na tym nie znają, oni chcą przemysłu, inwestycji, dobrego życia. Spoza ich sitwy ocalił się tylko warszawski Trawa: ten przyszedł do nich, przybrał barwę ochronną, zajął się stołecznymi inwestycjami a miał tu oparcie w elicie przemysłu. Ocalił się jak technokraci z ZAMPU, jak Ajchma, Krupiński, Marcinkowski czy ten krętacz prasowy Gałęcki. Ale ocalił się na krótko, warszawski sekretariat, to za ważna sprawa, można by powiedzieć, kluczowa, a Oraczyk nie lubi, jak ktoś ma tam jakieś myśli, ma czy ewentualnie mógłby mieć, nigdy nie wiadomo, co się komu snuje po głowie. Trawa wyleci, prędzej czy później wyleci, choć wielki spryciarz i ostrożniak, Oraczyk będzie miał sitwę jednolitą, technokratów z Zampu też pospławia na drugorzędne ambasady, tak jak kiedyś wypchnął intryganta Leszczyńskiego na Sprawy Zagraniczne. Będzie sitwa jednolita i bezpolityczna, to odpowiada sytuacji społecznej i psychologicznej kraju, mówiłem Wam, jak jest dzisiaj w Degańsku, a to dobra retorta dość wiarygodna. Jakubczyk mądrze gada, a raczej odtwarza, wyraża, dlatego Wam przeczytałem kawałki. Zebyście zrozumieli gdzie jesteśmy, gdzie żyjemy, że to już inna Polska, niż przed sześciu laty. Bo i Europa inna, świat inny, dziś Ame-

rykanom nie zależy, żeby tu był zamęt, żeby dokuczać Rosji, przeciwnie, oni chcą za wszelką cenę poprzeć i podtrzymać Leonidowa, chcą poprzez niego załatwić sprawy z Arabami, z ropą, z Izraelem, a także handel ze Związkiem, inwestycje, wymianę. Słusznie czy niesłusznie, ale chcą. Leonidow też na to idzie, pewno boi się Chin, może Japonii, chce kredytów, chce zachodniej technologii. I ci i ci zainteresowani są w zachowaniu fasady, w spokoju, w scalaniu a nie rozbijaniu. Zimna wojna się skończyła, to nie frazes, to dialektyka wydarzeń, zimna dialektyka. Minister Jakubczyk to wie, o, na przykład co mówi:

„Okres zimnej wojny niósł za sobą zagrożenia, o których także trzeba było pamiętać, nie wolno było zapominać o obronie państwa przed wrogimi działaniami, podejmowanymi zarówno przez siły rodzimej jak i zagranicznej reakcji...”

— A dziś, posłuchajcie jak dziś inaczej śpiewa, inną melodię, inną tonacją. I pamiętajcie, że on jest tylko płytą, gra, jak go nastawiono, nic od siebie nie doda, to ważne:

„Pokojowemu kierunkowi rozwoju stosunków międzynarodowych zapewnia powodzenie stopniowe lecz ciągłe i pomyślne rozwiązywanie spornych kwestii, oddalanie niebezpieczeństwa wojny. Przywódcy Związku Radzieckiego i całej Wielkiej Wspólnoty Socjalistycznej są zdecydowani uczynić wszystko co w ich mocy, aby nadać historycznie nieodwracalny charakter nie tylko samemu odprężeniu międzynarodowemu, ale także konkretnemu zwrotowi w kierunku długofalowej, owocnej i wzajemnie korzystnej współpracy państw o odmiennych ustrojach społecznych na zasadzie całkowitego równouprawnienia i wzajemnego szacunku. Jest to daleko idący program socjalistycznych mocarstw, które...”

— Przestałbyś już Edek truć i cytować bzdury!

— Jak ochroniarz mówi o szacunku do kapitalistów, to chyba coś znaczy, nie? Zresztą mogę już skończyć, zobaczę, co Wy na to, a potem rezerwuję sobie replikę...

— Dla podłuchy, co?!

— Henek, zamknij twarz, bo cię rąbnę! Frajdy im nie robię, oni chcą mieć tylko pochlebców.

— Spokój, panowie! Do rzeczy.

Po nieuchwytnie semickiej, chudej twarzy Henka przebiegały nerwowe skurcze, Edzio, postawny blondyn, też był wyraźnie zdenerwowany, drżącymi rękami składa notatki, na twarzy

ma ciemne rumieńce. Najspokojniejszy i najstarszy wśród nich jest jak zawsze Witold, który z ironicznym uśmieszkiem gładzi obfitą brodę. Ma najdłuższy staż więzienny, blisko pięcioletni siedział dwa razy, pierwszy raz za głośny w pewnych kołach rewizjonistyczny Memoriał do Partii, napisany wraz z drugim kolegą, socjologiem, synem byłego ministra. Pod zasłoniętym kotarą oknem tkwiło jeszcze dwóch niezbyt określonych, milczących osobników, jeden chyba semicki, drugi mniej. No i świadek, arcy ważny świadek, najmłodszy tutaj Janusz Glebowicz, przycupnięty na tapczanie i wodzący zachwyconym wzrokiem od jednego mówcy do drugiego.

Bo Janusz jest oddanym wielbicielem tego towarzystwa wykojeńców, jak je określał bardzo z tej adoracji niezadowolony Ojciec. Istniała taka, antyreligijna w swych utajonych celach książka „Bajeczny świat Summerów”, Janusz parafrazował sobie ten tytuł jako „Bajeczny świat Marcowców”. Przecież naprawdę w brudnawo szarym brzasku nudy, jak określał swoją młodość i w ogóle życie w Polsce Ludowej, ci ludzie okazali się czymś bajecznym. Oderwani od codziennego kieratu i jego wymagań, co już stanowiło wielką sztukę, opromienieni chwałą Marcowego Buntu i więzienia, nawiedzani przez szpiclów, podsłuchiwani, wzywani na milicję — żyli w swoim kręgu, dla swoich spraw i idei, bez pracy, często z niepokńczonymi studiami, zarazem bez trwogi, nonszalancko, czysto. Niejednego wzywano do Komendy Milicji i częstowano ośliżym pytaniem, kiedy wreszcie zamierza wyjechać? Oczywiście do Izraela, bo byli wśród nich Żydzi, nieraz zbuntowani synowie dawnych dostojników partyjnych, co opuścili Polskę. Ale oni, ci tutaj, wyjeżdżać nie zamierzali, trwali w cudownym oderwaniu, choć długo nie było wiadomo, czy Żyd a zwłaszcza tego rodzaju Żyd może tu normalnie żyć i pracować. Ale po co żyć normalnie, jeśli udaje się i ciekawiej jest żyć nienormalnie? Nienormalność ich sytuacji nieopatrznie podkreślały władze, gdy na przykład, w czasie wizyty amerykańskiego prezydenta Drixona internowano paru z nich w prowizorycznym areszcie, w Domu Akademickim na Polnej, razem w dodatku ze studiującymi w Warszawie Wietnamczykami. Bano się, że Marcowcy złożą Drixonowi jakiś memoriał o prawdziwym życiu w Polsce. Było to zresztą naiwne: gangstersko bystry Drixon wiedział o komunistach wszystko, tylko udawał że nie wie, wygodniej mu tak było!

Żyli więc w oderwaniu — jedyne w Polsce Ludowej zjawisko — ze swymi dziewczynami, spotkaniami, przygodami, dyskusjami, często bez forsy. Henek pewien czas pracował z przydziału w wielkiej fabryce imienia Bohaterów Rewolucji, teraz kończył

zaocznie spóźnione studia, wszyscy coś tam pisali, najczęściej „do szuflady”. Z czasem najbardziej związał się z życiem właśnie Edek: inżynier mechanik dostał po Grudniu pracę w budującym się nowym, wielkim porcie koło Degańska. Mieszkał tam w domu robotniczym w Olszówce, obcował z prawdziwą klasą robotniczą, teraz akurat przyjechał zasuwać drętą mowę. Robił to zawsze, ostrzegawczo, dla próbowania kolegów, lubił hipotetycznie bronić sprawy diabła, choć był w całym towarzystwie „pochodzeniowo” najbardziej reakcyjny, rodzinę miał kiedyś zamożną, obszarniczą, ojciec tak zwany bezet czy Be-Zet (Były Ziemianin). Lubiono się z tym Edkiem przekomarzać, gdy, pełen swady, wykazywał beznadziejność sytuacji całej grupy — ale dziś chyba przesadził i naprawdę zdenerwował Henryka.

— Uwierzyłeś w siłę — to Witold mówił, cicho ale autorytatywnie, ze spokojem pewności. — Uwierzyłeś w siłę, paraliżując wszystko. Jesteś bałwochwałcą tej siły. Ale gdzie jej źródło, skąd się ona bierze? Podejrzewam, że u ciebie kult siły wynika po prostu z przekonania o skrajnej bezsilności, o absolutnej niemożności społeczeństwa. Bo przecież nie ma takiej siły, która mogłaby przeciwstawić się prawdziwemu zrywowi społecznemu — to pokazał Grudzień na Wybrzeżu. A ty już nie wierzysz...

— Marksista przez ciebie mówi! Emerytowany marksista *in partibus infidelium*. Tymczasem marksizm, jeśli jeszcze w ogóle istnieje, to przestarzała teoria, nieadekwatna, chociaż zatrzęśła światem — przez pomyłkę. Pomyłka, płodna w nieprzewidziane skutki, ale pomyłka. Tu teraz mamy inne społeczeństwo!

— Jakież?!

— I nie zapominaj Edek o naszym hasle marcowym: „Nie ma chleba bez wolności”. Hasła się liczą, hasła to pokarm dla chcącego się buntować ludu!

To ostatnie wygrzytał, wtrącając się, Henek — daleko mu do niewzruszonego spokoju Witolda. A Edzio też czerwony, trochę wciąż drżący z emocji. Bierze na serio to, że go posądzają o jakieś odchylenie, dewiację wynikłą z naiwności czy z odmiennych dziś warunków jego życia, bo wszakże byt określa świadomość. Zaraz się wezmą za czuby, wybuchnie jedna z nieskończonych konfrontacji ideowych, będą się penetrować do dna, bezwzględnie, bezkompromisowo, jakby byli w Warszawie sami i bardzo ważni. Janusz wstrzymuje oddech, aż się zadyszał z emocji, gdzież indziej nad Wisłą toczą się takie dyskusje? „Bajeczny świat Summerów”, „Bajeczny świat Marcowców”. Jakby to uwiecznić, takie to piękne? — tylko talentu literackiego brak, ale można być choćby kronikarzem. Dla tych, co nie wiedzą, dla przyszłych pokoleń!

— Mówisz: nie ma chleba bez wolności. Ale wolności, takiej, jak Ty ją pojmujesz, nikt już dzisiaj u nas nie rozumie: wolności narodowej, politycznej. Nikt jej nie rozumie, bo nikt jej nigdy nie widział, kto w życiu swoim nie jadł mięsa, ten nie pragnie mięsa, nie tęskni za mięsem. Zrozumcie jedno: choć ludzie tutaj nienawidzą Ruskich, to wcale nie zdają sobie sprawy, jaka jest dzisiejsza Polska, że nie jest wolna politycznie, czy niepodległa. Oni...

— Co Ty bredzisz, Edek, to już za dużo bzdur! Tutaj panuje niewolnictwo, gospodarcze i polityczne niewolnictwo. Każdy najciemniejszy człowiek to wie, ludzie są wściekli jak głodne psy, młodzież napalona, tylko rzucić hasło a pójdzie...

— Wcale nie tak bardzo, jak Ci się zdaje, Witold. Owszem, ludzie są napaleni, kiedy nie mają mieszkań czy jest złe zaopatrzenie. Ale, powtarzam, nie kojarzą tego ze sprawami politycznymi, nie wiedzą w ogóle, co to są sprawy polityczne — no bo skąd mogliby wiedzieć, jak ich nigdy nie widzieli. Dla nich polityka to fabryczna masówka, gdzie się jednomyślnie uchwała drętą mowę...

— A Grudzień na Wybrzeżu, Grudzień 1970 nie pokazał niczego innego przypadkiem?! Nikt nic nowego wtedy nie zobaczył?! Rzeknij no, Edek, Tyś z Degańska! I nic się tam nie wydarzyło, nic zaskakującego?!

— To, co się wtedy stało na Wybrzeżu potwierdza moją tezę, moje tezy. Że wysuwano tylko postulaty gospodarcze, ekonomiczne, a nikomu się nie śniło o jakichś sprawach ideowych. Mówisz, Witek, że tu jest niewolnictwo, gospodarcze i polityczne. A skąd się ono wzięło? Z ustroju, z socjalizmu. Marks mówił, że wolny jest ten, co posiada środki produkcji. Tu nikt, oprócz państwa, środków produkcji nie posiada, więc nikt wobec państwa nie jest wolny. To niewola socjalizmu, socjalizm niesie niewolę dla wszystkich. A czy wtedy na Wybrzeżu bąknął ktoś chociaż jedno złamane słówko przeciw socjalizmowi? Toż w ogóle do głowy by nikomu nic takiego nie przyszło! Zapomniano o tych rzeczach, zapomniano zupełnie.

— To dobrze, że zapomniano, bo nie chodzi o obalenie socjalizmu, to byłoby działanie z zewnątrz, czysta destrukcja, skierowana przeciw samym sobie. A tu idzie o opozycję wewnętrzną, rozumiesz, wewnątrz socjalistyczną, o drugą rewolucję, oczyszczającą, poprawiającą, najważniejszą jaką by mogła być, jaka musi być i będzie. Środkami produkcji nie powinno władać państwo, czyli grupa menagerów-biurokratów lub partyjnych aparatczyków. Socjalizm nie skończył się na upaństwowieniu produk-

cji, on się tym zaczął, ale walka wewnętrzna, rewolucyjna walka trwa dalej, choć minął pierwszy etap przeobrażeń.

— Walka? Kogo z kim?

— Walka z Nową Klasą, jak mówi Dżilas, z warstwą funkcjonariuszy, którzy uzurpowali sobie rządy nad wszystkim i szybko zastygli w swej stęchłej atmosferze egoistycznej kliki. Nowy egoizm grupowy — cóż to ma wspólnego z socjalizmem?! To narodził, chorobliwa narodził, która musi być i będzie wycięta!

— Nie widać jakoś tego wycinania. W Związku Radzieckim też nie. A tam przecież największa klika i sitwa. Po prostu kosmiczna klika i sitwa.

— I tu właśnie przypomnieć trzeba znaczenie sprawy narodowej, jako narzędzia rewolucjonizowania sytuacji od wewnątrz. I to sprawy narodowej nie tylko w Polsce, na Węgrzech czy w Czechach. W Związku Radzieckim też, Edward, w każdej Związkowej Republice narodowej poszczególnie...

— Wielkie złudzenia, chłopcy, ogromne złudzenia! Weźmy Polskę, przed kilkudziesięciu laty jeszcze, anormalną, ziemiańsko-szlachecko-chłopską, wyrosłą z rozbiorów, z nieliczną klasą robotniczą i z niepolskim w dużej części mieszczaństwem. Kto...

— Aha, chcesz powiedzieć, że teraz mamy Polskę normalniejszą, bo jednolitą nie tylko klasowo lecz i narodowo, bez mniejszości. Brawo Edek, uczniu Dmowskiego: neonacjonalizm, neoendecja. Prędko jedziesz, nie ma co!

— To już demagogia, nie przerywałbyś Henek, wiesz o co mi chodzi!

— O co?!

— O to, że nosicielem idei niepodległości, mesjanizmu, państwowości polskiej, patriotyzmu w końcu, była inteligencja, ziemiańsko-szlachecka inteligencja. Ta inteligencja niepodległościowa prawie wyginęła, elita piłsudczykowska wyciekła na Zachód przez Zaleszczyki w 1939, resztę wykorzenili i wytępilli Hitler ze Stalinem, każdy na swój sposób. Nie ma społecznej grupy niepodległościowców, nie ma bazy dla państwowego patriotyzmu, to nie ma i patriotyzmu. Trzeba by czekać na wytworzenie się nowej elity...

— To antydialektyczne, antyhistoryczne co mówisz, Edek — jakbyś na siłę stał w miejscu i jeszcze zasłonił sobie oczy. Istotny, nowoczesny patriotyzm jest zjawiskiem ludowym. Lud przejmuje patriotyzm dla siebie, nie z rąk jakiejś anachronicznej „inteligencji”, lecz ponad nią, poza nią. Lud, który...

— To są właśnie marksistowskie i lewackie mrzonki, Witold. W dodatku inteligenckie, klasycznie inteligenckie! Tyś typowy inteligent...

— Mój ojciec był działaczem robotniczym, a twój...

— Tak, tak, wiem. I dlatego właśnie zamieniliśmy się rolami. Działacz robotniczy sprzed wojny, to samo przez się brzmi inteligencko, to dziś pojęcie czysto inteligenckie, elitarne. A mojego ojca wyrzucili z majątku, ja od dzieciństwa jestem wykorzeniony, typowy, najtypowszy obywatel Polski Ludowej. I pracuję jak wszyscy inni, nie mędrkuję...

— Ledwo, z łaski dostałeś pracę, już jesteś po ich stronie?!

— Nie, kochany Henku, mój przyjacielu złośliwy! Ja nie pracuję dla zarobku, choć jestem inżynier, to dostałem robotę papierkową, zarabiam na rękę niewiele więcej niż trzy i pół kawałka. Ale ja pracuję dla satysfakcji, bo widzę, że Wielki Port rośnie, na moich oczach, że, tak czy owak, nowa Polska rośnie.

— Aha, neopozytywizm, praca organiczna. Znamy to, jużemy nieraz brali...

— Nie spłycaj, nie upraszczaj, daj powiedzieć. Ja myślę właśnie dialektycznie, bo jestem z ludem, z nowym ludem, tym z Wybrzeża, gdzie wszyscy są wykorzenieni, spędzeni z czterech stron świata. I mówię Wam, nie ma tam społecznych podstaw do snucia mrzonek czy kontynuowania marcowych akcji. Czy chcecie doprowadzić do tego, co stało się w Czechach, żeby spotkało nas to, co Czechów w 68?! Im gorzej tym lepiej?! To już na pewno czysto inteligencka postawa, z ludem nic ona wspólnego nie ma!

— A jednak boisz się, żeby nie było to, co z Czechami! Więc znalazłby się materiał palny, wybuchowy na Wybrzeżu, wśród tego wykorzenionego, jak mówisz, tamtejszego ludu.

— Owszem, młodzież bywa wściekła, bo widzi z bliska samowolę i niedołęstwo prowincjonalnych kacyków, powiatowych sekretarzy, różnych ciemnych bonzów. Ale to o co innego chodzi, nie o kwestionowanie samej zasady rządów Partii, gdy nie ma żadnej alternatywy. Nic innego oprócz Partii nie ma na placu. Kościół?! Wolne żarty!

— Ale co to jest Partia i kto nią kieruje?

— No właśnie, sami daliście mi na to odpowiedź: Oraczkowcy przyszedli ze Śląska i wyrzucili obsiadłych już po stanowiskach Brygadierowców. Grubasy ze Śląska, wychowane jednak w kulturze przemysłowej, bo w dawnym pruskim zaborze, przyszedli i wyrzucili szykujących się do władzy chłopskich synów z Mazowsza. Czyli po prostu jedna polska klika wyrzuciła inną polską klikę, oto zwykła treść całej sprawy! A my, z całym naszym ładunkiem ideologicznym nie mamy na to wszystko najmniejszego wpływu. Dlaczego?! Bo widocznie tkwimy nie tylko poza polskimi klikami ale i poza samą Polską w ogóle.

— Aha, syjoniści, kosmopolici, zdrajcy. Brawo ten pan, prędko się nauczył!

— Dam ci w mordę Henek, nie korzystaj z sytuacji...

— No pewno, bić Żyda, czemużby nie?!

— Spokój koledzy!

— No, ale powiedz Henek, mieliśmy jakikolwiek, najmniejszy choćby wpływ na rządy w Partii?! Od lat, od czasu gdy odszedł Twój ojciec i ojciec Witolda? No, powiedz...

Po chudej twarzy Henka latały nerwowe błyski, skurcze, skrzywienia.

— Jeden udany skok i wszystko staje na głowie w tym kraju!

— Skok? O ile rozumie chodzi o zamach, porwanie, spisek? Nowa anarchia, grupa Baader-Meinhoff, to ci dopiero. Jak na byłych, o ile nie aktualnych marksistów...

— Czemuż by nie? Są dziś czasy neoantyczne, czasy cezarów, konsulów, zamaskowanych grup nacisku. Jeszcze nigdy tak niewielu nie rządziło tak wieloma. Ta sytuacja sprzyja akcjom pojedynczym, terroryzmom indywidualnym, choćby przypominającym anarchię. W antyku morderstwo polityczne, usuwanie przeciwnika, było formą przeobrażenia strukturalnego, często jedyną formą. Na Zachodzie już na to wpadli, bo tam większa swoboda, mają broń, huk wystrzału odbija się echem. Czemużby i nie u nas?

— Na Zachodzie jest echo, huk, udają się porywania i zamachy, bo tam jest prasowa reklama, jest demokratyczna praworządność, którą boją się stracić. A u nas inaczej, zduszą rzecz w zarodku i bez żadnego echa. Pamiętacie ten skecz „Sarajewo” w Satyrycznej Piwnicy, co to go po paru razach zakazali? To była czysta prawda, dobra diagnoza.

— Nie bądź prorokiem. „Co było, nie wróci”, jak mówi Okudźawa.

— Mogę próbować być prorokiem, bo mam bazę: żyję w konkretnym, na Wybrzeżu. W końcu, co tu gadać, nigdy nie mieliśmy w Polsce takiego rozmachu, i, jednak, takiego dobrobytu — w skali masowej. Zobaczcie, ile światowych statków stoi w Gorynii — kiedy to było u nas coś takiego? No i na tym tle a także na tle nowego społecznego rodowodu, powstał inny typ Polaka: bez kompleksów. Może to typ nudniejszy, tępszy, ale może i zdrowszy? Kto mu chce odebrać niedawno nabyte ludowe zdrowie i to w imię celów niepewnych? Niepewnych historycznie i ideowo. Zapytuję.

Ciemnawo już się robiło światła nie zapalano, lipcowy zmierzch zapadał daleko, za przysłoniętymi oknami. — Chwila osobliwa, Anioł Dyskusji przeleciał, bajeczny świat Summerów

— myśli Janusz. Tkwiący już od pewnego czasu nieruchomo w głębokim fotelu Witold, senior, oczy ma przymknięte i oto już mówi — cicho, żartobliwie nieco, gładzi brodę.

— Rzeczywiście chłopcy, istnieje, jak mówiłem na początku, jedno niebezpieczeństwo: nie popaść w mechaniczny kult siły, to także przecież pewnego rodzaju opium. W swoim czasie lubili rzecz endecy, dziś neoendecja, neonacjoniści, z tego wynikają pochodne, teoria przetrwania narodowego, neopozytywizm, praca organiczna, państwowość stawiana ponad wszystko, jak u Hegla i tak dalej. Dobrze, że mamy Edwarda, on sprawę wyjaskrawia, ale pokazuje i odwrotną stronę medalu. Odpowiedzialność czy anarchia, Edek czy Henek, toć już o tym myślał Dostojewski albo Razumow z conradowskiego „W oczach Zachodu”.

— Sprawy nie rozstrzygniemy, myślimy głośno. Ja, dla wszechstronniejszego naświetlenia sięgnąłbym po przykłady, cytaty... karykaturalne może cytaty... przez to przestrzegające... Bo skoro sięgamy po naszych ojców...

Ktoś westchnął, ktoś się poruszył, Witek zapala małą lampkę obok fotela, w jej świetle objawia się, wyłania z niebytu, długa broda, duże, nieprzeniknione oczy.

— Mówiliśmy tu o naszych ojcach. No cóż, ojcowie jak ojcowie, nie wszystkiemu są winni, ale to dawna, prawdziwa Polska. Mój ojciec, działacz robotniczy, przez to, zgadzam się, nobilitowany na inteligenta, przystał do Partii z natury rzeczy a także z naiwności i — zbankrutował, wyleciał. Ojciec Henka, stary mieszczański Żyd, zagubiony w wojennej Rosji, po powrocie przystał do Partii, bo co miał robić i — też wyleciał. Ojciec Edka wyleciał, ale z majątku, bo to wróg klasowy. Wtopił się jednak niedostrzegalnie w nowe życie a Edek przystał do nas — dziś, jak powiada, do nowego proletariatu Wybrzeża. *No comment* — bardzo dobrze.

— Ale jest jeszcze jeden ojciec, tu dotąd nie wzmiankowany. Tak Januszu, Twój właśnie. Nie protestuj, my za ojców nie odpowiadamy, my rozpatrujemy ich czyny *sine ira et...* Ten ojciec znikąd nie wyleciał, wyszedł z polskiej inteligencji niepodległościowej (nie wszyscy wyginęli, nieprawdaż Edek?), walczył w Powstaniu, pojechał do obozu, a jak wrócił, chciał być w porządku wobec Narodu, takiego Narodu, który jest dziś, między Bugiem a Odrą, w sytuacji konkretnej, jak się lubi mówić.

— Idea neonarodowa, neopozytywna, odpowiedzialna. Dokąd ona prowadzi? Znamy Polskę Ludową, dużo o niej wiemy, znamy jej historię, etapy, jej urzędowy styl. Więc posłuchajmy: pisze dziś Krzysztof Glebowicz, bezpartyjny, inteligencki publicysta „Trybuny Socjalizmu”, centralnego organu Partii. Pisze na

pewno z przekonania, lub też łudzi się, że tak pisze: wbrew sobie by nie pisał, to uczciwy człowiek. Posłuchajmy, a nuż nam to coś powie? Coś użytecznego dla naszych celów? Może nas odrzuci, a może przekona?

„Na przestrzeni całego 30-lecia Polski Ludowej — od zarania jej narodzin poczynwszy, przez lata mozolnej odbudowy ze zniszczeń, a następnie w okresie rozwoju kraju aż po dzień jutrzejszy łącznie — nadzieje i wszystkie aspiracje naszego narodu były i są nierozzerwalnie związane z Partią, z Jej programem i działalnością. Również i wtedy, gdy przychodziły chwile trudne, zawsze myśli i uwaga narodu kierowały się w stronę Partii, widząc w niej nadzieję i dostrzegając siłę, zdolną sprostania trudnościom, od przewyżczenia słabości, do nakreślenia jasnego celu oraz jego osiągnięcia.

To właśnie Ona — Partia — na VI Zjeździe wytyczyła kierunki rozwoju kraju, kreśląc kształt drugiej Polski oraz precyzując zadania, stojące przed narodem. Ich realizacja umożliwia szybkie nadrobienie powstałych w minionym okresie zaniedbań, służy zaspakajaniu ludzkich potrzeb oraz zapewnia z każdym rokiem coraz lepszy byt całemu polskiemu narodowi.

Wokół tego programu i wynikających z niego zadań Partia i Jej Kierownictwo potrafiły zespolic wysiłki całego Narodu, wszystkich rzetelnych i uczciwych patriotów, wyzwalając morze ludzkich inicjatyw, żarliwości, pomysłowości, trudu.

Olbrzymi ten i bezprecedensowy w całej naszej historii wysiłek po raz pierwszy w dziejach społecznie i politycznie wyzwolonego Narodu Polskiego, który to Naród po straszliwych cierpieniach...”

IV

Gdy tylko pierwsze echo sprawy Waczkowicza obito się o redakcję, Krzysztof natychmiast, bez myślenia czy analizowania, wiedział wszystko: jakie z tego wynikną, lub wyniknąć mogą komplikacje, przykrości, niesmaki i jak, automatycznie, zepsuje się sprawa z Izabellą, straci swój wdzięk, urok intymności, przygody przeżywanej we dwoje a tajemnej dla świata, przygody, przez którą wyzwała się utajona energia życia, zdolna do osiągnięcia rezultatów daleko wykraczających poza drętą rutynę codzienności. Miłość przetwarza monotonię istnienia w nieprawdopodobnie emocjonującą fabułę filmową, ale zarazem miłość jest czymś ogromnie delikatnym, mimozowatym, najłżejszy niesmak po trafi unicestwić jej magię, zniweczyć jej skuteczność, a jeśli nawet zniweczyć tylko jednostronnie, to od razu udzieli się to stronie drugiej, bo sprzężenie jest tu absolutne i oddziałuje dwukrotnie na obie zmieniające się struktury psychiczne, wywołując reakcję łańcuchową, coraz bardziej, w miarę wymiany podejrzeń i niesmaków, niszczącą. Nie trzeba nawet przekazywać sobie bezpośrednio owych stanów rodzącej się niechęci, to dokonuje się samo w postaci wymiany fluidów, rzecz jest wszakże magiczna i dysponuje magicznymi sposobami wzajemnego oddziaływania, nawet wtedy, gdy rezultatem tego oddziaływania stanie się w końcu unicestwienie wszelkiej magiczności i przywrócenie monotonnego smaku a raczej niesmaku codziennej szarżyzny. Nie chce się wtedy wierzyć, że w życiu naszym któreś tam chwili naprawdę zagościła magia — nie chce się wierzyć aż do następnego razu, tymczasem zaś traci się w ogóle wiarę, że coś podobnego może się jeszcze kiedyś odrodzić.

Tak więc, Krzysztof Glebowicz po tygodniu czy dziesięciu dniach pełnej miłości, utracił nagle wiarę w Izabellę i w życie, w smak życia, jaki mu ona przyniosła czy też przypomniała. Zamiast żeby ich sprawa rosła, ogromniała przechodziła przez

wszystkie fazy, okazuje się ni stąd ni zowąd, że może ona zbankrutować w jednym momencie, przynosząc w dodatku unicestwienie wsteczne, bo gdy rozpatruje się niedaleką przeszłość przez pryzmat tego, co się potem stało, można postawić pod znakiem zapytania wszystko, na przykład ów świąteczny poniedziałek 22 lipca, kiedy, niepomna na otwarcie Trasy i wszelkie patriotycznopartyjne uroczystości, Izabella niespodziewanie przyszła do niego i w szaleńczy sposób pozostała aż do zmierzchu. To był wspaniały dzień, dzień liczący się w dorobku życia, dzień do wspominania długie lata, a teraz nagle szczerłość i wartość tego dnia miała być zakwestionowana lub wręcz zanegowana. Cóż za niesmak, katastrofalny niesmak — czyż nie ma już na niego rady?

Oczywiście, Glebowicz, choć nie myśląc, wiedział, jaki będzie rezultat, mógł szukać ratunku w odwołaniu się do dowodów rzeczowych, zawartych we wspomnieniach zdarzeń, rozmów, faktów, jakie miały miejsce tak niedawno, lub też, jeśli chodziło o Wackkowicza, dawniej, zresztą w dawności nieokreślonej, bo trudno przypomnieć sobie jej początek. Miał więc Glebowicz dwie taśmy, dwie szpule pamięciowe do odwijania wstecz. Jedna tyczyła się Izabelli, druga obrzydłego Wackkowicza. Teraz, po niewczasie, rozpatrywać trzeba każdy szczegół, każdy odcień i światłocien, nabierający znaczenia w perspektywie tego, co zaśzło później. Roztrwoniło się niebacznie te wszystkie znaczące szczegóły, nie wiedząc, że okażą się niedługo tak potrzebne. Tym więcej dzisiaj jest roboty, niezbyt miłej roboty, jak dłubanie w bolącym zębie, w bolesnym przewodzie pamięci. Zabieg konieczny, lecz przewidzieć można, że mało użyteczny, przy tym zawieszony w próżni, bo sam fakt, który spowodował skomplikowane i mozolne procesy psychiczne właśnie się w duchowym wnętrzu odbywające, wcale nie był jeszcze redaktorowi Glebowiczowi oficjalnie znany, raczej przeczuwał go niż wiedział, wszystkiego trzeba się domyślać i na tle hipotez budować konstrukcję psychiczną, w dużym stopniu też hipotetyczną, co nie znaczy, że mniej dotkliwą i bolącą.

Bo w gruncie rzeczy wcale jeszcze nie było wiadomo, co właściwie zaszło, nieznośny Rajkowski lubił robić ważne miny i trzymać wszystkich w niepewności, podkreślając w ten sposób, że on tutaj, nie kto inny, jest mężem zaufania i mandatarium Partii, jemu tylko powierza się ważną wiadomość, a on zrobi z niej użytek jak i kiedy uzna za stosowne. Oczywiście, redakcyjni drapieżnicy i dorobkiewiczze Chrapiec, Kafarski i zastępca Naczelnego Podkowiak szaleli ze złości, ropuszczając przez zemstę najróżniejsze pogłoski, które podchwytывał fałszywy z zasady

i nikomu nie ufający Janczycki. Wśród tych różnokierunkowych prądów mało zauważony Glebowicz próbował zrekonstruować sobie przebieg wydarzeń, punkt wyjścia do zbadania prawdy. Niezauważony, tak sądził, zakładał bowiem że o jego ledwo zaczęтым romansie z Izabellą nikt jeszcze nie wie. Ale w końcu i to nie jest wcale pewne, ściany w redakcji mają nie tylko uszy lecz i oczy a także jakieś niezbadane czujki. Może już wszyscy wiedzą? Trzeba założyć i to.

Zebrawszy razem poszlaki i domysły, można sobie odtworzyć wydarzenia, nabierające plastyki i przestrzenno-czasowej głębi w spóźnionej ale tym dociekliwszej konfrontacji ze wszystkim, co pamiętało się o Waczkowiczu, ze wszystkim, co tamten mówił kiedykolwiek. Choćby ostatnio w Paryżu, gdy, na zaproszenie Francuskiej Izby Handlowej, pojechali obaj z delegacją na Wystawę Przemysłową w Défense, mieściło się to w ramach Porozumienia i Współpracy Wschodu z Zachodem, niezależnie od różnic systemów społecznych i politycznych, od odmienności ustrojów i ideologii, co głosił z uporem zarówno sekretarz Leonidow jak i nowy, technokratyczno rzeczowy prezydent Francji. Nic więc dziwnego, że pojechali: między innymi Marian Waczkowicz, wybitny, partyjny ekspert od spraw handlu zagranicznego i Krzysztof Glebowicz, bezpartyjny a nader popularny rzecznik „Trybuny Socjalizmu”, centralnego organu polskiej Partii. Pojechali i, tak się złożyło, że choć się nie specjalnie lubili, zamieszkali przez trzy dni we wspólnym pokoju hotelowym koło Dworca Montparnasse. Nasłuchiwał się tam Krzysztof wiele, bo Waczkowicz zmilczeć nie umiał, a pewny swego oparcia i autorytetu, zgłębiał się w krytyce i w pogardzie dla polskiego ustroju nie miarkował. Zawsze zresztą tak robił, bez względu na otoczenie i sytuację — aż dziwne, że nikomu nie dało to nigdy do myślenia.

Inżynier Waczkowicz wywodził się w ogóle z inicjatywy prywatnej, o czym wszyscy wiedzieli. Zaczynał po wojnie jako właściciel małego (choć nie nadmiernie) przedsiębiorstwa mechanicznego, zatrudniał kilkunastu robotników i to w samej Warszawie, gdzieś na zburzonej i spalonej Woli. Produkował podobno niektóre bardzo przemysłowi potrzebne narzędzia, ale nie o to szło: trzymał się długo, bo miał jakichś znajomych komunistów, opierał go ktoś w Partii czy Rządzie. W końcu, oczywiście, złamano go progresją podatkową i wstecznymi domiarami, oskarżono też o jakieś przecieki surowcowe z państwowych dostaw, na tych nielegalnych surowcach opierał podobno produkcję, inaczej w ogóle nie mógłby istnieć. Zlikwidował swą wytwórnę, ale od sądu jakoś się wybronił i od razu przeszedł na stanowiska

w wytwórczości państwowej i to już jako członek Partii, co było, zważywszy przeszłość, osobliwe.

Glebowicz nie znał szczegółów jego nowej kariery, pamiętał tylko jak przez mgłę, że nazwisko jego rośło a rośło, pojawiając się nierzadko i na łamach „Trybuny Socjalizmu”, jako nazwisko jednego z najzdolniejszych i najbardziej oddanych pracy dyrektorów technicznych, na których wiedzy oraz żarliwości wspierała się odbudowa tudzież budowa przemysłu w Ludowym Państwie. Na początku lat pięćdziesiątych, gdy stalinizm osiągnął swoje szczytowe napięcie, przeżywał z kolei Marian Waczkowicz, jak wielu innych, okres niełaski i odstawki, co mu wyszło na dobre, bo zaraz po słynnym Październiku 56 powołano go, jako legendarną już postać skrzywdzonego przez stalinizm bohatera przemysłu i socjalistycznej pracy, na stanowiska najwyższe, był kolejno prezesem kilku Centralnych Zarządów i Zjednoczeń, pewien czas sprawował dyktaturę w Centrum Patentowym. I znowu miał szczęście, bo u schyłku rządów Sekretarza Baryłki, gdy autokratycznie szarogęsili się w sprawach gospodarczych towarzysze Mleczek i Koziełszczuk, Waczkowicza znów odsunięto, karmiąc w ten sposób wydatnie jego legendę Męża Opatrznościowego, który ma cudowną receptę na wszystko, ale nie może jej użyć przez partyjne intrygi i „dyktaturę ciemniaków”. Dzięki temu mógł go wśród ogólnego aplauzu speców, powołać z powrotem Oracyk, dochodzący do rządów po degańskiej rewolcie robotników jako protektor fachowców i technokratów, choć tego drugiego, bezideowego więc gorszącego w socjalizmie słowa, oficjalnie nie używano. Lecz szczęściarz Waczkowicz, usprytniony jeszcze bardziej przez kolejne niełaski i tryumfalne powroty, nie przyjął tym razem stanowiska ministerialnego ani dyrektorskiego, wolał zostać ekspertem i doradcą czyli szarą eminencją Ministerstwa Wymiany Zagranicznej a także konsultantem prasy partyjnej do spraw techniczno-produkcyjnych. Jeździł teraz wciąż na Zachód, a w przerwach, w Warszawie, używał sobie co niemiarą; korzystając z nietykalności, jaką osnuła go legenda kilkakrotnych sprzeciwów, niełask i tryumfalnych powrotów, wygadywał niestworzone rzeczy przeciw socjalizmowi i Ludowemu Państwu. W prasie cenzura nie dopuszczała najlżejszej aluzji antysocjalistycznej, zezwalając tylko na krytykę biurokratycznego wykonania, a tu jeden z kierowników najważniejszej dziś dziedziny, jaką w epoce Odprężenia i Współpracy stała się wymiana zagraniczna, pozwala sobie na najbardziej niedwuznaczne wypady przeciw samej podstawowej zasadzie kolektywnego władania produkcją, jakby trwały jeszcze lata czterdzieste, kiedy to, przed wyborami, na zasadzie konferencji w Jałcie, dopuszczono chwilowo

pewną reakcyjną propagandę. Dla Waczkowicza, wydawałoby się, mimo jego burzliwych i skomplikowanych dziejów, czas zatrzymał się w miejscu a jego poglądy prywaciarskie wcale nie uległy ewolucji. Lubił zwłaszcza zdumiewać nimi Glebowicza, podejrzewał go o uwodzenie Izabelli, o którą zresztą dotąd wcale nie był zazdrosny, pogardzał też Krzysztofem jako partyjnym dziennikarzem, choć, bezczelny człowiek, sam przecież był w Partii i zawdzięczał jej w końcu całą karierę. A już zupełnie uwziął się na gadanie w tym nieszczęsnym Paryżu, może właśnie wtedy dojrzewała w nim decyzja? Glebowicz z masochistyczną chciwością wygrzebywał teraz i wyskrobywał w pamięci zapomniane mimowolnie okrucieństwa tyrad tamtego, tak bardzo irytującego nocną porą we francuskim hotelu:

— Ja jestem takim samym oszustem i bandytą jak wszyscy, co się zajmują naszym handlem zagranicznym! Ceny kalkulujemy fikcyjne, takie, jakie się spodobać naszym i francuskim oficielom, boimy się coś zakwestionować, dotrzeć bezpośrednio do prawdziwego francuskiego rynku, do wytwórców i przedsiębiorców, bo za to można wylecieć z posady, zamiast paszportu zagranicznego dostać wilczy bilet. A własnego rynku też nam rozeznąć nie wolno, prawdziwych możliwości produkcji i jej kosztów. Tego pilnują Zjednoczenia, korsarscy rabusie, którzy żyją tylko z fałszowania danych, z podstawiania oszukańczych ekspertów, co tak precyzyjnie nabierają dyletantów z Biura i Rządu. Socjalizm zastąpił kierowanie przemysłem sprawowane przez samych przemysłowców, czyli fachowców, dyktaturą dyletantów, „dyktaturą ciemniaków”, jak słusznie powiedział ten literat, co go za to w marcu 1968 pobili. A gdyby pokazał się jaki ekspert niezależny, ekspert-wariat, który chciałby podać władcom prawdziwe dane, to by go ci bandyci ze Zjednoczeń i Centralnych Zarządów zniszczyli, zniszczyli bez litości, oskarżono by go o najgorsze przestępstwa, etyczne, polityczne, szpiegowskie, diabli wiedzą jakie, i ci przemądrzały frajerzy z Biura uwierzyliby oskarżającym, nigdy oskarżonemu. Bo tutaj nikt nie wierzy w bezinteresowną moralność czy cnotę, bo skoro nie ma sprawdzianów i bodźców rynkowych, nie ma stałych mierników wartości, to mówienie prawdy trudnej i zmiennej, mówienie prawdy dla niej samej, z miłości do prawdy, uważanie, musi zostać uznane za podejrzanie frajerstwo: tylko wariat upiera się przy tym, za co dostanie w łeb — wariat albo wrogi agent. A że nikt nie chce nadstawiać łba za wariactwo, żeby w dodatku zostać opluskwanym jako sabotażysta, więc zawiesza na kołku swoje fachowe rozeznanie i zeznaje to, czego chcą kumple ze Zjednoczeń — a oni już mu za to odpalą kawał swojego flaka, swojej

premii. Co, nie wierzycie? — wiem, w waszej słodkiej „Trybunie” takich rzeczy się nie pisze, nie wolno pisać, potracilibyście z punktu swoje posadki! Wiem to, sam przeżywałem. Ja kiedyś byłem taki ekspert-wariat, co za bezużyteczną prawdę bierze w łeb, a potem i teraz, to ja jestem łże-ekspert, który podaje to, czego od niego bandyci oczekują. Myślicie, że mało razy w Centrum Patentowym uziemiłem świetny polski wynalazek, mało razy złamałem życie technikom-entuzjastom, co to długie lata o chłodzie i głodzie nieraz ślęczą nad swym pomysłem, dla Polski, dla Państwa Ludowego?! Dawałem opinię negatywną i chowałem pod sukno, wiedząc, że rzecz jest świetna, sprawa czysta. Dlaczego?! Bo nie chciałem, żeby mnie zniszczyli, bo wiedziałem, że taki pomysł, usprawniając produkcję pozbawi stanowisk i wpływów tudzież dochodów całą masę typów, dyrektorów, prezesów, i że oni się z tym nigdy nie pogodzą — a mścić się umieją, oho, jak Polacy, dzisiejsi Polacy, umieją się mścić! To system, ustrój spowodował, on obudził to intrygantwo, tę mściwość. Jak żarło jest niczyje, to rekiny z sitwy rozdzierają je między siebie i nikogo z zewnątrz nie dopuszczają. A społeczeństwo pracuje i o niczym nie wie, oszukane, czyta tylko Waszą „Trybunę”, Wasze słodkie bajeczki o socjalizmie. No cóż, każdy musi z czegoś żyć, żadna praca nie hańbi!

Taka była melodia tych słów, ich ekstrakt emocjonalny, który odtwarzał się teraz w pamięci Glebowicza. Słów nienawistnych, słów obrażających, których wówczas starał się nie słuchać, nie wiedząc, że niedługo będą mu tak potrzebne. Odwijając dziś szpulę pamięci, szukał Krzysztof w tych słowach źródła późniejszej decyzji tamtego. Szukał zresztą bez trudu — związek tu widniał oczywisty, niezbity — że też tak bardzo ostentacyjnych wyznań można było nie brać na serio! Chyba, gdyby się zakładało, że Waczkowicz to człowiek całkiem niepoważny, nieodpowiedzialny za słowa. A to właśnie lekkomyślność: on okazał się poważny, w końcu decyzja dowodzi konsekwencji — to powinno być przestroga.

Jaka decyzja, jakie jej okoliczności? Ano, właściwie nie wiadomo, można się jej tylko domyślać, składając razem do kupy redakcyjne plotki, dziwne, tajemnicze miny Rajkowskiego, osobliwie napiętą atmosferę, a w dalszym tle — zaplanowaną na pewno i powiązaną z tym co się ma stać czyli miało stać, miłosną wizytę Izabelli na Mirowie, wizytę sprzed dziesięciu prawie dni, w której cieniu czy raczej blasku żyje od tego czasu redaktor Glebowicz bez chwili przerwy. A co teraz, jeśli prawdą jest przesączająca się przez redakcyjne ściany i korytarze pogłoska, że naczelny Rajkowski otrzymał z Urzędu Biura Prasy dyskrecjo-

nalny telefon... Że telefon ów polecał mu wstrzymanie i wycofanie wszelkich materiałów technicznych i ekonomicznych, w których dostarczeniu zaangażowany był inżynier Waczkowicz... Że związane to jest z pogłoskami, jakoby Waczkowicz w czasie ostatniej, dziwnie się przeciągającej podróży zagranicznej poprosił o...

Glebowicz patrzy przez okno swego pokoju w dzielnicy Mirów z piętnastego piętra — kilkupokojowe mieszkanie na Wiejskiej oddał po rozwodzie Annie z Januszem, no i Ojcu... A tu się mieszka dziwnie, z efektami częstokroć osobliwie nieoczekiwanymi, jakie przynosi swym lokatorom nowe, warszawskie budownictwo. Bo jest to, gdzie tylko oko sięga, dzielnica nowych „mrowiskowców” — tak je zwa w Warszawie, a także „Pekiny”. Dom Glebowicza to właśnie Pekin, na półtora tysiąca mieszkań a raczej mieszkank, do których się wchodzi z długich, nieskończonych korytarzy. Widok z podniebnych okien jednolity: kilku ogromnymi, nieregularnymi szeregami stoją wokół plastry nowych, 15 piętrowych domów. Od dołu do góry wszystko ujęte jest w podłużne, białe pasy, poprzedzielane poziomo zielonymi płytkami z metalu. Taki pasiasty krajobraz, jak jakaś gigantyczna, uabstrakcyjniona zebra, ciągnie się aż po horyzont, między domami zaś niby trawniki, niby ogródki, niby parkingi — ulic nie ma, sklepów nie ma, wszędzie rzekoma nowoczesność szaro-zielono-biała. Pasiasto, nijako, pusto, tylko widoczną fragmentami ulicą Marchlewskiego pełzną leniwie w obie strony tramwaje i samochody — do uszu dochodzi daleki stłumiony szum. Szare pasy asfaltowych jezdni między domami dobrze dziś współgrają z szarym mglistym niebem. Krajobraz stylowy, swoisty, ale właściwie dlaczego tu nie ma życia?

Wychyliwszy się z okna Krzysztof widzi w dole dwa spłaszczone, szklane prostokąty. To są szkoły, obok nich w ogródku kilka małych, kolorowych ławek. Z lewej strony na niebie wysmuklają się zielonawo szare wieżyczki kościoła na Chłodnej, obok trochę tępo żółtawej, paropiętrowej stalinowskiej zabudowy a także parterowy, podłużny bunkier z czerwonym dachem. Nad tym wszystkim w dalszym planie ogromnieje przecinając horyzont niewykończony jeszcze, szwedzki 30-piętrowy drapacz biurowy, przeznaczony na siedzibę firm zagranicznych, o co tyle zabiegał przeklęty Waczkowicz. To widać po lewej, gdy dobrze wysunąć głowę z okna. Bardziej na wprost rysuje się ostro zębata, na inny, stary, gotycki, sposób wysmukła wieża kościoła ewangelickiego, kiedyś na Lesznie, dziś ulicy generałskiego imienia. A znowu z prawej strony całe niebo przytłoczone jest widniejącą tuż przed nosem brudnoszaro-żółtą piramidą Pałacu Kul-

tury, dalej, jak na bezbarwnej kurtynie horyzontu zarysowane, podłużne prostokąty 30-piętrowców Ściany Wschodniej. No i z prawej gdzieś całkiem daleko spiczaste wieżyczki kościoła Zbawiciela, podniebny dom akademicki zwany Rivierą, przed tym, niżej, kościół na Koszykach.

Spyta ktoś, gdzie stara Warszawa, przedwojenna Warszawa? Nie ma, pożarło ją Powstanie, szaleństwo Polaków, tępy obłęd Niemców, może też (niech będzie!) trzeźwe historyczne wyrachowanie Rosjan. Widać tylko ślady, jak ten liszajowaty, ceglany budynek, pełznący gdzieś u stóp, w dole, między szklanymi szkołami a magistralą Marchlewskiego. Ale i on pójdzie niedługo na rozbiórkę, pod młotek, żeby nie zakazał krajobrazu — zbyt się odróżnia od tego młodego, choć cierpkiego miasta. Zaś prawdziwa panorama mijającej czyli zdychającej dawności, stara, ruda, potrzaskana Warszawa rozciąga się, Glebowicz wie o tym, z tyłu, można ją zobaczyć z okna po drugiej stronie korytarza, obok windy. Całkiem inny pejzaż, jakże okrutny. Niewiele jest miast na świecie, które tak szybko by się zmieniły. Jednak to ważne, że Warszawa żyje — a tylko życie się liczy! Ale dlaczego tego życia nie ma?

Szaro, cierpko, zieleń bez soczystości, bez blasku, niebo dziś mgliste jak cały tegoroczny lipiec. Glebowicz odczuwa nagłą potrzebę mocniejszych kolorów, wie zaś, że są w zasięgu wzroku dwa tylko jaskrawsze akcenty. Jeden, to biało-czerwony, łaciaty globus, umieszczony nie wiedzieć dlaczego na dachu przeciwnieległego wysokościowca: ni to ozdoba ni maskotka, nie wiedzieć co. Za to druga kolorowa plama w krajobrazie jest większa i bardziej co do swego przeznaczenia ukierunkowana, jak mówiono w prasie. Oto, po prawej stronie, cała wielka, ślepa ściana jedyne go starego domu, widniejącego wśród oceanu nowości, widniejącego, ale tylko w wypadku, gdy się mocno wychyliło głowę za okno, w stronę Alej Jerozolimskich, pomalowana jest na niebiesko, co stanowi tło dla wielkich, czarnych liter, głoszących, iż „Szybko, sprawnie, terminowo tylko z kodem pocztowym”. Jest to więc najwyraźniej królująca nad pejzażem reklama poczty, a raczej reklama właściwego adresowania listów. Smaczku dodał sprawie fakt, że wprowadzona niedawno śladem krajów zachodnich numeracja kodowa wcale, jak się okazało, doręczania korespondencji nie usprawniła, lecz przeciwnie, wobec niedostatecznej mechanizacji, ogromnie pocztowcom skomplikowała i utrudniła pracę. W niektórych urzędach pocztowych, aby sobie nie obrzydzać życia, przestano nawet zwracać uwagę na kody, traktując wszystkie listy jednakowo. Wiedzano już o tym w „Trybunie Socjalizmu”, wiedzano, ale sprawy nie ogłaszano, bo

nie było dotąd z Partii ani nakazu ani zezwolenia. I dzięki temu olbrzymia, czarnoniebieska ściana starego domu mogła głosić miastu swoją pochwałę pocztowej sprawności, a do tego jeszcze zaspakajać kolorystyczne potrzeby Krzysztofa Glebowicza w ten najbardziej szary z szarych warszawskich dni.

Wychylił tak daleko głowę za okno, że aż jakaś woda nakała mu na kark — to była nie tylko mgiełka lecz po prostu mżawka, deszczyk, letni sierpniowy już, nie, lipcowy jeszcze deszczyk. Glebowicz widzi nagle bezsensowność swego całego postępowania tego ranka, marnowania czasu, gapienia się przez okno, nieokreślonych rozmyślań. Jednocześnie, w drugiej niejako warstwie psychicznej pojawia się w nim zrozumienie, skąd się to wszystko bierze: po prostu napił się kawy, tej samej kawy i w taką samą pogodę, jaka panowała wówczas, w ów poniedziałek czyli święto państwowe, kiedy to Izabella przyszła do niego i kiedy, przy otwartym oknie, z zaglądającym do pokoju niebem odbyli swoją „pierwszą miłość” — właśnie ponad owym, widocznym jak ze szklanej wieży krajobrazem nowej, dziwnej, pasiastej Warszawy. Jakież to było piękne a jak już dzisiaj wydawało się dalekie!

Izabella zadzwoniła koło jedenastej rano, nie widział jej od tego piątkowego wieczoru w „Bristolu”. Powiedziała, że jest akurat na placu Grzybowskim i czy Krzysztof nie wyskoczyłby na kawę. Zaproponował nieśmiało, żeby wypić tę kawę u niego, ma akurat niezłą nową mieszkankę. Przystąpiła bez żadnego certowania, no i...

Minuty od jej telefonu do przyjścia nie należały do najłatwiejszych — drżenie rąk, rzeczywisty zimny pot na czole, trema, jakaś dziwna trema! Tak często bywa, znał przecież wypadki skrajne, gdy mężczyzna, który bardzo chciał i wszystko zrobił, aby mieć dziewczynę, rezygnuje w ostatniej chwili, pod wpływem owej osłabiającej i rozprzegającej całe ciało tremy, nie wytrzymuje napięcia, woli się od niego uwolnić, zostać z powrotem panem siebie, nawet kosztem rezygnacji z tego, do czego tak usilnie dążył.

Glebowicz też uległ wówczas panice, zaczął wątpić, czy Izabella ma na myśli to samo co on, czy się dobrze zrozumieli, czy nie jest zbyt zadufany w sobie i czy w ogóle dojdzie do czegokolwiek. Napięcie i obawa potęgowały się z każdą chwilą, coraz wyraźniej widział nonsensowność swoich nadziei i wiszące w powietrzu fiasko. Ale wszystko ulotniło się, gdy Izabella stanęła w drzwiach: była piękna, uśmiechnięta, ten uśmiech mówił bez słów. Kawy w ogóle nie wypili, dopiero potem, od razu zaczęli się pieścić, ona broniła się miękko, właściwie to wcale

nie była odbrona, bo odsuwając jego ręce tuliła się do niego całym ciałem. Umiała w naturalny sposób potraktować wszelkie momenty wstydlive, drastyczne, bez wulgarności a namiętnie. W momencie szczytowym zamknęła oczy i później długo trzymała je zamknięte, gdy, leżąc koło niej, uspokojony, lekko ale przeciągle całował jej szyję. Potem pili kawę, do tego picia nie ubrała się zbyt przesadnie, w rezultacie zapragnął jej znowu, co uznała za naturalne, jakby już należeli do siebie na stałe. Zeszło im aż do zmierzchu, wtedy ją odprowadził, szli pieszo, przytuleni, milczący, jakby dokonało się jakieś misterium, jakieś wtajemniczenie. Powiedział sobie, że na to właśnie tyle lat czekał, że się wreszcie doczekał. Powiedział jej to także, ona przycisnęła się do niego mocniej, bardzo mocno. Zapomnieli o Świącie, zaskoczyły ich tłumy na MDM-ie, potem w cieniu jej bramy całowali się jeszcze długo, bez znużenia.

Odtąd żył jak w rzeczywistym uszczęśliwieniu. Nie widywali się w redakcji, nie zachodził do jej biura, ale za to co wieczór telefonował do domu — redakcyjnych telefonów nie uznawał, są niepewne. Raz zaprosiła go, gdy matki nie było i pokazała mu mieszkanie. Z jakimś niesmakiem wobec siebie samego oglądał rzeczy i książki Waczkowicza, ale Izabella najwyraźniej nie widziała w tym nic zdrożnego. Wciągnęła go wreszcie do swojej sypialni, mówiąc ze znaczącym, jakże uroczym uśmiechem, że Mama wróci najwcześniej za godzinę i że tej godziny żadną miarą nie należy zmarnować. No i...

Tym razem przeżyli to jeszcze lepiej, całkiem inaczej, w ogóle znakomicie. I tak niezwykle pachniały jakieś kwiaty z balkonu — pokój był ich pełen. Spędził potem Krzysztof piękny tydzień, wcale nie myśląc o powrocie jej męża, i, jak się okazało, słusznie robił, że nie myślał... Tylko że — naraz właśnie zbudziły się w nim wątpliwości. A co, jeśli ona wiedziała, od początku wiedziała? I przygotowywała sobie w nim następcę a przede wszystkim obrońcę — wobec Redakcji, wobec Partii? Bo właściwie to za prędko mu się oddała — i tak jakoś planowo. Widział to teraz wyraźnie, niby nic, a jednak wszystko na to wskazuje. Ale może nie ma racji, ona jest biedna, skrzywdzona, zaskoczona postępkami tego łobuza, a Glebowicz właśnie w takim momencie odmawia jej zaufania i serca!

Tak być nie może, trzeba sprawę wyjaśnić, dowiedzieć się czegoś, posunąć rzecz naprzód. Wziął płaszcz, ze sztuczną energią zatrzaskał drzwi, wszedł do windy. Na dole poczuł, jak go całego opływa zły humor, zniechęcenie, paralizujące poczucie, że wszystko na nic, cała miłość na nic, zmarnowana, popsuta. Stał chwilę w kolejce do kiosku „Ruchu”, w wielkim parterowym

hallu, wspartym na filarach z jakiegoś szarego — wszystko dziś szare — piaskowca, pod ścianami spiętrzone mnóstwo skrzynek na listy, na tablicy zawiadomienia i zarządzenia „socjalne” — jakież to wszystko dziś nieprzychylne! Okazało się, że czegoś zapomniał, długo jechał w górę przystającą na piętrach windą. Na górze znowu przygnębiające, do połowy zielone korytarze, przejściowe drzwi z nieprzezroczystego szkła, smród kuchenny, daleki szum rur wodociągowych. Wszedł do siebie i uderzyła go brzydota tej pozał się Boże garsoniery: przedpokój ciemny, z niego parę wejść, jedno do kuchni wąskiej, gazowej, z bufetem i zmywalnią, ciemnej, z okienkiem na pokój. Jest łazienka, jest lodówka, ale wszystko tandetne, pokój mały, zagracony a pusty, pasiasty pejzaż za oknem schematyczny i bez uroku. Jak właściwie można było przyjąć tutaj Izabellę?! A jeśli przyszła tak skwapliwie, sama właściwie się wprosiła to znaczy, to może znaczyć... To może znaczyć tylko jedno.

V

Mieszkanie na Wiejskiej w dawnym, eleganckim przedwojennym budownictwie było dziś dla Anny koszmarem. Decydował rozkład tego mieszkania, kiedyś pewno uznawany za szczyt nowoczesnej mody, w dzisiejszych warszawskich warunkach całkiem nie do zniesienia. Dominował wielki hall, nawet z nieużywanym, oczywiście, kominkiem, przytulny może dla jednej i zjednoczonej ciepłą rodziną — choć nie wiadomo, czy jeszcze takie rodziny gdzieś w ogóle przetrwały — z hallu prowadziły drzwi, wykładane grubym, matowym szkłem do pokoi Janusza, Anny, Ojca, i pani Teresy. W hallu owym ciągle ktoś był, ktoś się z kimś zderzał idąc do telefonu czy do łazienki, ktoś kogoś obserwował lub podsłuchiwał. Pani Teresa, osoba przystojna i energiczna aż do niegrzeczności stale też kogoś u siebie przyjmowała, na szybko odcyfrować można było ruszające się cienie, za byle otwarciem drzwi podnosiły się tam głosy, tak zresztą jest z każdym pokojem, a Janusz przecież miał też prawo do odwiedzin u siebie, do intymności, ale cóż, ta natrętna pani Teresa musiała wszystko wiedzieć, niweczyła życie innym, choć o swoje była wręcz namiętnie zawistna i zimnym wzrokiem parowała z góry wszelkie kwestie czy jakiegokolwiek zastrzeżenia. A znowu Ojciec Krzysztofa też dawał o sobie znać, choć na inny sposób, miał swoją apodyktyczność utajoną lecz niemniej dotkliwą, gdy na przykład uznawał za stosowne czytać każdemu z osobna artykuły Krzysztofa z „Trybuny Socjalizmu” i komentować je zjadliwie. Anna uważała to za niestosowne. Rozwiodła się z mężem ze swoich powodów osobistych, a raczej z jego powodów, bo nie mogła już znosić sentymentalnego, niepohamowanego kobieciarstwa, jakie nim władało. W każdej nowej babie widział kobietę swego życia i idealną kochankę — do czasu oczywiście, ale w tym stanie był rozpaczliwy, zwłaszcza, że wszyscy prócz niego

dokładnie wiedzieli, jak się cała sprawa skończy. Anna rozeszła się z mężem, bo ją to brzydziło, ale nie chciała, aby ów rozwód wyzyskiwano dla ciągłego szczucia przeciw Krzysztofowi, bądź co bądź ojcu Janusza, widującym się z synem i na swój sposób doń przywiązanemu. Tymczasem stary Glebowicz obrzydzał Januszowi ojca z powodów politycznych — dziwny masochizm swoją drogą — a na te rzeczy Janusz był czuły, miał przykrości w Marcu 1968 i nie mógł Krzysztofowi darować, że pisał wówczas w „Trybunie” to co pisał. Annę nie obchodziły nic a nic ich głupie, jałowe sprawy polityczne, ale ojca trzeba przecież móc szanować, choćby nawet był nieopanowanym erotomanem, do tych spraw stary Glebowicz też potrafił robić aluzje, co już było zupełnym skandalem. W ogóle to niezły ancymonek ten ojciec i egoista nie lichy. Cóż z tego, że kiedyś Piłsudczyk, oficer, działacz, w czasie drugiej wojny jeden z przywódców konspiracji i powstania, po wejściu Rosjan i stworzeniu Nowej Władzy dalej spiskujący jak najęty? Cóż z tego wszystkiego, kiedy na procesie się nie popisał, wyspał kolegów, twierdząc, że ich ratuje, za co sam uniknął śmierci, wykręcił się niewiele latami więzienia, bo prędko mu darowano. Potem za to, w 49 usiadł ze wszystkimi swoimi na dłuższe lata, ale w 56 wyszedł zrehabilitowany, dostał nawet emeryturę i teraz chce się odegrać, stroi miny nieugiętego, reakcyjnego Katona i kręci w głowie temu biednemu Januszowi. Naiwny, nieszczęsny Janusz pada ofiarą wariackiego mieszkania i wariackich stosunków. Wariackich, bo kto widział mieszkać z ojcem rozwiedzionego męża? Ale to był warunek Krzysztofa, gdy wspaniałomyślnie, trzeba to przyznać, oddawał im mieszkanie. No a pani Teresa wpakowała się z przydziału, bo metraż był za duży, właśnie przez ten snobistyczny hall, nieużyteczny a tak zatruwający życie. I w ten to sposób powstał obecny układ, zestaw ludzi absurdalny, sytuacja niepedagogiczna dla Janusza, irytująca dla Anny, tylko stary bohater mógł się teraz bezkarnie wyżywać, a bezczelna pani Teresa na pewno szpiclówka z Ochrony czy Równowagi, kontrolowała cudze sprawy, sama nie ponosząc żadnych moralnych kosztów, bo była bezceremonialna, ze skórą grubą jak nosorożec. I tak fatalnie szło życie, uciekając bez sensu, niesmaczne a nieuniknione. Gdy ktoś wyciągnie zły los, nie ma już wówczas żadnej rady! Przecież życie jest tylko jedno.

Co zaś najdziwniejsze, najgłupsze, najfatalniejsze, że w pracy ma Anna to samo: sytuację nie do wytrzymania, marnującą siły i nerwy, niweczącą wszelką satysfakcję. Dlaczego? Właściwie przez to, co i w życiu prywatnym — przez baby i przez politykę. Do tego da się w końcu wszystko sprowadzić. Do niewiarogod-

nych bzdur i nonsensów, jakby się kto uparł, żeby w życiu nie było nic poważnego.

Anna ma teraz 48 lat, to właściwie już „po sezonie”, a przecież nic jej się dotąd w życiu nie udało. Nikt by nie uwierzył, ale tak jest! Owszem, studia poszły jej dobrze, skończyła anglistykę, nawet była trochę za granicą, u ciotki w Londynie, już jako mężatka oczywiście, po Październiku 1956. Ale to i wszystko, poza tym same kłeski. Małżeństwo nieudane, jedno pasmo irytacji, z Januszem stałe trudności i kłopoty, a po rozwodzie sytuacja jeszcze gorsza, w nieznośnym mieszkaniu z zachłanną panią Teresą, która tylko przemyśliwa jakby chłopca uwieść i z Ojcem, który zawraca mu głowę, czyli uwodzi duszę. No i prace, prawie same chybione i bezsensowne, nieudane, a przecież wydawałoby się, w pracę można by się schronić przed wszystkim innym. Można by, ale nie w Warszawie, nie w tym centralnym Grajdółku, gdzie rządziła plotka, donos i polityka, lecz polityka pojęta w osobliwy sposób, jako wzajemne wygryzanie się; wysadzanie z siodła, jak mówiono, dokonywane z pomocą Góry, która władała ślepą siłą, od czasu do czasu puszczaną w ruch najnieodrzecznej, dla celów nie istotnie politycznych lecz pozornych, jakby owa Góra potrzebowała argumentów, dowodów na to że czuwa i że sama też jest niezbędna. Tej Góry zresztą nikt nie znał poza Szeferem, Szeferowie czyli Dyrektorzy sprawowali rzekome pośrednictwo między rzeszą warszawskich biurowych inteligentów a jakimiś mitycznymi Prostkami, którzy na niczym się nie znali, ale od których zależało w Warszawie wszystko lub prawie wszystko. Wszystko, bo gdy Prostak taki objawił się wreszcie, schodząc ze swych podchmurnych wyżyn i górskich kryjówek między poddanych sobie inteligenckich szaraków, miotał wówczas gromami i błyskawicami, karał za „przestępstwa ideologiczne”, chcąc się wykazać, zwalniał ludzi najlepiej pracujących, przerywał i niszczył najsensowniej rozpoczętą robotę, pod pozorem reorganizacji dezorganizował wszystko wokół, rozbijając wszelkie i tak wątłe powojenne warszawskie czyli „stołeczne” tradycje. Ale tyle i było możliwości Prostaka. Po niedługim albo nie za długim okresie Prostak z kolei sam wylatywał czy też kierowany zostawał do innej roboty, o czym dowiadywano się z plotek a potem z — według reguły bardzo lakonicznej — notatki prasowej. Lakonicznej, gdyż inteligencki plebs stołeczny nie miał prawa szerzej zastanawiać się nad faktami, że Prostacy też są usuwalni i że odbywają się między nimi jakieś brutalne przetasowania. Ponieważ zaś ilość kształconego plebsu, zaludniającego warszawskie biura jest ograniczona, a z powodu trudności mieszkaniowo meldunkowych ma się do dyspozycji zaw-

sze ten sam w zasadzie, trudno odnawialny zespół osób, więc, w rezultacie, ludzie wyrzuceni z jednego ministerstwa, urzędu czy wydawnictwa znajdowali pracę w innych, aż do następnego razu puszczano w niepamięć rzekome ich przewiny, tyle, że rozpoczynać musieli wszystko na nowo, przeuczać się, „przekwalifikowywać”, jak mówiono. Jeśli byli uczciwi i brali pracę na serio, co zresztą nie jest regułą, to wgryzali się w nowe zadania głęboko i solidnie, niepomni przebytych doświadczeń znów angażowali się na całego, rośli w znaczenie i satysfakcję, wynikała z dobrze pełnionego obowiązku, no i tak trwało właśnie aż do owego następnego razu, kiedy to wśród Prostaków ponownie zachodziło coś niewyjaśnionego, co jako rezultat na dole, jako swój skutek uboczny powodowało nowe, najbardziej niesprawiedliwe i absurdałne, ale nieuniknione niczym zmiana pogody przetasowania personalne. A że cierpiała na tym praca, o której tyle wciąż mówiono, to sprawa drugorzędna, ustępująca w ważności „wiodącym” problemom ideologicznym.

Co bardziej doświadczeni, więc pesymistyczni, choć nie przejmujący się (któż by się przejmował pogodą) pływacy z dolnych warstw biurowego akwarium twierdzili, że cały ten, noszący znamiona przyrodniczej wręcz prawidłowości proces, jest w istocie rozmyślny i planowo wyreżyserowany. Że mianowicie z jego pomocą rządzący każdą dziedziną Prostacy utrzymują na właściwym miejscu podległą sobie warszawską czyli stołeczną Inteligencję, nie dopuszczając, aby ktokolwiek z inteligentów nabrał większego znaczenia, co mogłoby go skłonić do prób wyzwolenia się z przyrodzonej dla jego warstwy czy klasy kondycji i do aspiracji wyższych, ponad stan. A dlaczego Prostacy rządzą w Warszawie Inteligentami? Dlatego, że dzieje się to po rewolucji, a po rewolucji zawsze rządzą Prostacy, do czasu, gdy pojawi się Napoleon i powoła do życia nową szlachtę tudzież arystokrację. Tylko że ostatnio w Warszawie Napoleon jakoś się nie pojawiał, choć kandydatów nie brakowało, Napoleonowi trafiali się raczej w bratnim Związku. Ostatnio kolejnym kandydatem Warszawy okazał się pewien Generał, były członek Najwyższego Biura i minister Równowagi, który ostentacyjnie bratać się zaczął z inteligentkim plebsem, przede wszystkim z naukowcami i literatami. Wyrzucono go, gdyż — jak głosiła plotka — miał on powiedzieć o przyjaźni polsko-radzieckiej, że powinna być jak herbata: prawdziwa, mocna ale nie przesłodzona. Taką idiotycznie błahą wersję przyczyn dymisji potężnego ministra podrzucono warszawskim biurom na pewno umyślnie, jako przenośnię, lecz zarazem w intencjach konkretnie symbolicznych, ostrzegawczych. — Wiedzcie — zdawała się mówić owa historyjka — za takie nawet

głupstwo wyrzucić można i największego, jeśli wykroczy poza niepisane prawa swojej klasy. Bo wymaga tego olbrzymia doniosłość spraw zasadniczych, narzucająca tak drobiazgową ideologiczną czujność.

Anna przeszła i przeżyła wszelkie fazy warszawskiego cyrku inteligenckiego, przewędrowała przez wiele biur i posad, aby od paru lat, niepoprawna, ustabilizować się na dość interesującej pracy kierownika redakcji zagranicznej w sporym wydawnictwie. Ale już się to stanowisko miało ku rozkładowi, dzięki „normalce”, jak mówiono w Warszawie biurowo-urzędniczej. Motorem „normalki” — bo lawina wydarzeń schematycznych powodowana była zazwyczaj przez jednostkę, która osobiste swe ambicje brała za akcję indywidualną, nie wiedząc, że jest tylko częstką typowego mechanizmu i potwierdza ogólną prawidłowość — motorem więc stały się zapędy dwudziestodwuletniej Basi, oficjalny tytuł: zastępca kierownika redakcji zagranicznej. Basia jest bardzo ładna, poniekąd wykształcona, nerwowa, pali od rana mnóstwo papierosów, ma, jak sądzi, wielu przyjaciół i postanowiła zaimponować im, wysadzając starą Annę ze stanowiska i zajmując jej miejsce. Ładna zabawa, Basia myśli, że działa dla siebie, w istocie działa dla zasady, jest posłuszna zabójczemu instynktowi, który każe Polakom niszczyć się wzajemnie i własnymi rękami wciągać do wrzącej smoły, zamiast ustalić wspólne postępowanie wobec Przeciwnika czy Władcy, pozwalające zachować godność i spokój. Tymczasem spokoju nie będzie dla nikogo, Basia nie zazna go także, wcale nie wie, że przygotowuje sobie przyszłe własne piekło, że spali ją walka, nawet zwycięska, że, niszcząc życie innym, zniszczy je i sobie. Ale cóż, nie sposób tłumaczyć ćmie, żeby z tępą energią nie leciała wciąż do płomyka świecy, trzeba by ją odegnać, ścierając pył ze skrzydeł, a na to Anna nie miała siły, zaś wszelką perswazję tamta, młódka jeszcze i gryząca się własnym niewyżyciem, przyjęłaby niechybnie jako próbę chytrego zastopowania jej młodzieńczego dynamizmu, a więc jako nobilitację swych racji, bo ten, który jeszcze nie osiągnął celu zawsze uważa się za będącego bardziej w prawie, prawdzie i glorii, jaką daje nieuznana racja, niż ten, który obłudną (w szczerść nikt nie uwierzy) perswazją stara się tę rację pomniejszyć i spotwarzyć. Nic więc tutaj nie było do zrobienia, automat musiał działać, zaś Anna, miast pracować, co jedno tylko lubiła, musi znosić atmosferę nieustającej, głupiej wojny podjazdowej, której próżne a rozkładowe rezultaty zna z góry, tyle że nikomu nie da się tego wytłumaczyć. I nawet próbować nie należy.

Basia działała przez Szefa czyli Dyrektora, szantażując go urodą, na którą był wrażliwy, oraz partyjnością, bo oboje należeli do owej Partii. Szef bał się i własnego cienia nade wszystko zaś wywołanej przez niebaczną nieostrożność interwencji Prostacków, którą kiedyś już przeżył, kosztowała go parę lat niełaski. Wprawdzie niełaska bywa w tych czasach łaską wypoczynku, ale Szef o tym nie wie, opętany, jak i Basia, manią ruchu, tyle że pozornego, wyczerpującego się na sobie samym i nieprowadzącego do nikąd.

Partyjność obojga stwarzała między nimi konkretną wspólność, partnerstwo i swego rodzaju wtajemniczenie, całkiem dla Anny niedostępne. Nie miała zresztą nic przeciwko partyjności, sama nie wstąpiła tylko ze znużenia i żeby nie martwić rodziców — którzy dopiero parę lat temu zmarli w Kielcach, w półrocznym odstępie jedno od drugiego. Było to rzeczywiście szczęśliwe małżeństwo, Anna nieraz wzdychała na ten temat. Wiele jest powołanych, lecz niewielu wybranych!

Więc partyjność nie szkodziła, jest dowodem męstwa bądź co bądź i wyciągnięcia wniosków z sytuacji. Z polityką Anna nie miała nic wspólnego, polityką było to, co robił ojciec Krzysztofa przez całe życie, a zwłaszcza w konspiracji popowstaniowej, całkiem już szalonej, polityką było to, co robił Janusz w Marcu i teraz z Marcowcami, o czym coś nie coś czasem opowiadał, szkoda tylko, że głównie tej zimnej wariacie pani Teresie. Anna polityką pogardzała — skoro nie dało się przenieść gdzie indziej Polski ani Rosji, ani także Niemiec, skoro każda próba polskiego niepodległościowego działania kończyła się taką głupią kraksą i katastrofą jak Powstanie, skoro zdecydowało się tu zostać nie zaś emigrować, to partyjność była jedyną męską decyzją, uwzględniającą wszystkie istniejące okoliczności. Tylko że mężczyźni tak rzadko są zdolni do męskich decyzji a tak bardzo lubią gonić za chimarami! Wyjątkiem okazał się Krzysztof, Anna bynajmniej nie potępiała go za to, co pisał w „Trybunie”, przeciwnie, to było logiczne, no i odważne, bo realizowane wbrew opinii chimeryków z rodzinnego środowiska. W ogóle Krzysztof to wcale niezgorszy facet — żeby tylko nie to jego obłąkańcze babiarstwo...

Przez działalność „polityków”, w rodzaju Ojca czy Marcowców, Prostacy czuli się zagrożeni, a w każdym razie mieli pretekst do udawania zagrożonych i do wyrabiania przeróżnych historii wynikłych z nadczyżności, co z kolei umożliwiało przeróżnym Basiom szantażowanie wszystkich i zatrutowanie im życia. Ofiarą tego na wyższym szczeblu padał brat Anny, Zygmunt, inżynier-elektronik, wysoki urzędnik Ministerstwa Energetyki. On zrobił

na swoim terenie to, co Krzysztof: od młodości wstąpił do Zampu i Partii, czym okropnie zgryzł rodziców, ale był konsekwentny, nad podziw. Tyle, że po przeróżnych Październikach zaczął mieć wątpliwości i hamletyzować, więc potem, gdy minęła rzekoma fala, wyzyskano to przeciw niemu, utracił zaufanie, szarpał się i przejmował, ziemia uciekała mu spod nóg. Jakże nonsensowny jest los Polaków — z własnej winy przeważnie, bo okoliczności stałych, jak Rosja czy Niemcy winić nie sposób: te nie zależą od niczyjej woli, są dane, niby burza czy huragan. Umieć ustawić się w czasie burzy — oto jedyne, czego można żądać w tym kraju od mężczyzn. Zresztą przeważnie na próżno.

Wyjątek stanowił Gnatek, syn małorolnego przed wojną chłopca, sąsiada rodziców Anny z Kieleckiego, który czasem odwiedzał zwariowaną panią Teresę — na warszawskim, prowincjonalnym dworze wszyscy się znali. Jan Gnatek, „chłop z awansu” jak mówiono, miał dzisiaj koło czterdziestki, wykształcony, mówiący perfektnie językami, pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jeździł do Nowego Jorku jako asystent polskiej delegacji w ONZ, ostatnio słyhać, że ma objąć ważny posterunek ambasadorski. Całe MSZ, kiedyś, przed wojną obleżone podobno przez hrabiów, teraz stało się domeną „wiochy”. Przeważała wieś galicyjska, Gnatek trochę się wyrodził, bo pochodził z Kieleckiego. Ubrał się, jak wszyscy w tym ministerstwie, z nieskazitelną, trochę na co dzień przesadną elegancją, w czarne garnitury, lakiery i zagraniczne kapelusze, nosił parasol (i przy pogodzie), był rozumny, nie demagogiczny, ale zdecydowanie, w sposób właśnie wyrozumowany, prorosyjski. Pasjonowała go niezwykle zręczna i perfidna gra, toczona przez Rosję z mocarstwami zachodnimi, z Ameryką zwłaszcza, przyjaźnił się z wielu Amerykanami, lubił ich po chłopsku, sympatia do Ameryki to stara tradycja polskiej wsi, ale uważał za beznadziejnych naiwniaków, którzy skazani są na ciągłe uleganie dyalektycznej dyplomacji Rosjan, zarazem przymilnej i bezczelnej, szytej niby grubymi nićmi a jednak w swym machiavelizmie dla dziedziców kwakierskiej moralności osiadłych za Atlantykiem zupełnie nieuchwytniej. Gnatek wiedział, że Amerykanie wierzą w słowa a Rosjanie posługują się słowami, wierząc w ich magię — to zasadnicza różnica. — Dla Amerykanów niezastąpiony był Hitler — powiedział kiedyś Gnatek — bo on otwarcie mówił, że chce złych rzeczy i opisywał, jakie to będą rzeczy — zupełnie wyjątkowy w historii dureń, który, nie mogąc się powstrzymać od gadania o wszystkim, dokonał cudu: zmusił to inercyjne, nieruchawe i zajęte sobą państwo amerykańskie aby przystąpiło do europejskiej, dalekiej wojny — już drugi raz w naszym stuleciu Niemcom udaje się ta sztuka. Ale Rosja-

nie nigdy takich głupstw nie robią, to szachiści, a wobec ich słów, tchnących dobrem, ideą i moralnością Amerykanie są bezsilni, choćby czyny absolutnie owym słowom przeczyły. Jeden tam tylko był sprytny, prezydent Drixon, bo miał psychikę gangstera i przejrzał Rosjan jako partnerów, umiał też ich peszyć robiąc tajemnicze miny, dając do zrozumienia, co to on może i potrafi, gdyby tylko zechciał. Zaimponował im, ale Amerykanom absolutnie nie — wyrzucili go powołując się na swój polityczny idealizm, a ostateczny cios zadali mu żydowscy dziennikarze z wielkiej prasy, z *New York Times'a* na przykład, kompletni samobójcy, nie wiedzący, co robią. Rosjanie z początku pożałowali Drixona, ale prędko się pocieszyli, widząc jak słaba okazała się poddrixonowska Ameryka, samobójczo słaba, poddająca najtajniejsze sprawy swojej obrony, wywiadu, broni nuklearnej, pod publiczne obrady Kongresu i prasowe dyskusje. To słaby kraj, mimo swych olbrzymich potencjałów, bo każdy poszczególny biznesman amerykański to geniusz energii i organizacji, za to państwo jest bezwładne i niedołężne, w dodatku wśród obywateli niepopularne, dlatego wyrzucili ideologa państwowości — Drixona. Oto skutki przestarzałego, nie dostosowanego do naszych czasów systemu demoliberalnego: w rezultacie Rosjanie mają już Amerykę „z głowy”, dla nich tylko Chiny są problemem.

Tak mówił towarzysz Ambasador Gnatek: nie oceniał, lecz referował, oto postawa nowej komunistycznej administracji. Na Rosjan zresztą pogląd miał też zdrowy, przed Anną go nie ukrywał, bo czuł sentyment do dawnych dziedziców. Kiedyś, gdy mówiono o owym Generale, który wyrwał się podobno z powiedzeniem na temat nieprzesłodzonej herbaty, Gnatek orzekł: — Jeśli to prawda, to zrobił duży błąd psychologiczny. Rosjanie z takich rzeczy nie żartują, to po dziś dzień carskie raby i mongolska szkoła, dowcip tego rodzaju może ich zaalarmować, poderwać zaufanie do nas, opierają je przecież na wspólności politycznego języka i stylu, na pewnej wspólnej etykietce, wspólnym ceremoniale i sztywnym opanowaniu. Dyplomacja zawsze opierała się na etykietce, a sojusznika nie można urazić, jest, jaki jest, jeśli traktujemy rzecz poważnie, a interesy narodu są sprawą poważną, nie możemy narazić tej sprawy dla głupstwa, dla kalam-buru. Lepsza przesłodzona czołobitność niż to, co się dziś dzieje w Czechach. Nastroje antyradzieckie mogą sobie istnieć w Polinezji, nigdy w Polsce. Zobaczmy co robi Finlandia, kraj przecież na modłę zachodnią demokratyczny a kłania się Rosji w pas. Ale po co Finlandia — Francja robi to samo. Logice historii w epoce atomowej nikt się nie oprze — wielki czy mały. Jedni są w strefie amerykańskiej, drudzy w strefie radzieckiej, póki

nie ma trzeciego supermocarstwa jądrowego, dopóty nic się zmienić nie może, trzeba grać w te same karty. A trzeciego supermocarstwa nie ma. Jeszcze nie ma... I nie wiadomo, czy będzie.

Taką lekko podszytą cynizmem dialektykę rozsnuwał ambasador Gnatek przed Anną, tak myśleli teraz aktywni, urzędowi Polacy. Publicznie za to, w myśl nakazu nieugiętych zasad etykiety, Pan Ambasador oczyszczał swe słowa z wszelkiego relatywizmu, uderzał w patetyczne imponderabilia i we frazy uświęcone. Oto wsiadł ostatnio na wielkie konie historii w Genewie, podczas konferencji rozbrojeniowej i Annie, swej starszej powiernicy, podrzucił stenogram. Stało tam między innymi:

„Sojusz z pierwszym państwem socjalistycznym okazał się dla narodu polskiego, dla naszej Ojczyzny odrodzonej w nowym kształcie ustrojowym i w nowych, sprawiedliwych granicach — życiodajnym źródłem niepodległości, bezpieczeństwa i rozwoju. Tak było zarówno w latach walki o nasze prawo do istnienia w najtrudniejszej dobie tworzenia fundamentów władzy ludowej i powojennej odbudowy, jak i w całym okresie budownictwa socjalistycznego. Całe, z górą trzydziestoletnie już doświadczenie Polski Ludowej dowiodło, że w KPZR i w narodzie radzieckim, w pierwszym państwie socjalizmu mamy niezawodnych przyjaciół. Ze swej strony naród polski, który sojusz ze Związkiem Radzieckim afirmuje i docenia, jest serdecznym przyjacielem i niezawodnym sprzymierzeńcem wielkiego narodu radzieckiego.

„Stosunki między naszymi krajami — mówił towarzysz Konstantin Leonidow w czasie niedawnej wizyty w Warszawie — przybrały w pełnym znaczeniu tego słowa wszechstronny charakter. Jest to zakrojona na szeroką skalę polityczna współpraca partii i państw. Jest to najściślejsza wspólnota duchowa narodów radzieckiego i polskiego. Jest to bojowa przyjaźń między Armią Radziecką i Wojskiem Polskim. Jest to rozwinięty system współpracy gospodarczej”.

PZPR i KPZR, ich kierownictwa, oba państwa i ich rządy, oba narody działają w przekonaniu, że jesteśmy sobie ze wszech miar potrzebni, że nasza braterska przyjaźń i narastająca współpraca wielokrotnie nasze siły i dobrze służą naszemu rozwojowi, umacniając zarazem siły postępu i pokoju w Europie i na świecie.

Mamy prawo być — i jesteśmy dumni z tego dorobku, którego niewyczerpane źródło stanowi wspólna ideologia marksizmu-leninizmu, wspólne zasady internacjonalizmu, wspólny zamiar pełnego urzeczywistnienia socjalistycznych ideałów społecznych. Uważamy jedność naszych partii, narodów i państw za wartość

bezcenną, ona określa nasz stosunek do wszystkich krajów świata, o innych systemach społeczno ideologicznych niż nasz”.

Anna lubiła i szanowała Jana Gnatka. Służy Prostackom, ale sam prostakiem nie jest, jest poważny i prawdziwy, choć mówić musi czasem rzeczy nieprawdziwe. Widocznie w tym kraju mężczyźni, chcący zachować się poważnie, muszą mówić nieprawdę — jak i Krzysztof choćby. Lepsze to, niż nieodpowiedzialne banialuki o demokracji i wolności, te szerzone przez Ojca lub kolegów Janusza — powodując wściekłość i czujność Prostacków frazesy te niszczą prawdziwe życie, podobnie jak kiedyś walczące o wolność Powstanie oddało w rezultacie Rosjanom Warszawę bezbronną i zburzoną, którą bez przeszkód urządzać sobie odtąd mogli po swojemu. W tym kraju działania dają rezultaty przeciwnie do zamierzeń — męczące to ale prawdziwe i nie można o tym zapominać. Tyle, że Janusz na przykład tego nie rozumie — za młody, musi się sparzyć sam, bo w cudze doświadczenia nie wierzy!

Gnatek, którego kariera szła jak po maśle, był za to mało szczęśliwy w życiu osobistym. Żona umarła mu parę lat temu, pozostawiając go z małym dzieckiem. Chciał się ożenić, nawet musiał się ożenić, jeśli miał jechać na ambasadę, ale nie bardzo mu szło. Najpierw próbował z panią Teresą, szybko przekonawszy się, że to idiotka, dał spokój. Ostatnio zakochał się w Irce, owej koleżance Izabelli, była to jednak — według relacji samej Teresy — zimna kurwa, która, pospawszy z każdym mężczyzną parę razy, szła dalej — szczęściem odrzuciła ofertę małżeńską biednego Gnatka, może ze skrupułów a może nie chcąc tracić swobody. Przez Gnatka, który znał też Izabellę i jej męża, Anna dowiedziała się właśnie o nowym romansie Krzysztofa i o wynikłych komplikacjach. Gnatek cenił Waczkowicza, acz nie pochwalał jego decyzji, Izabellę uważał za zwykłą puszczałską, czego jakoś nie dostrzegał u swojej Irenki. Ależ sobie Krzysztof znów narobił — jak zawsze! Szkoda tylko, że całą sprawę roztrząsano w hallu wręcz publicznie i to przy Januszu — już to perfidna pani Teresa się o to postarała. Anna nie mogła tego znieść, obrzydłe mieszkanie robiło z życia wstępną, płaską mieszczańską farsę a Janusz, chciał czy nie chciał, tkwił w tym wszystkim. Miał już 24 lata, skończył etnografię, dzięki stosunkom ojca dostał asystenturę, puszczo mu w niepamięć marcowe historie, a tymczasem tkwił w plotkarskim brudzie i — buntował się. Było to nieuniknione, narastała w nim nienawiść do nich wszystkich, ale nienawiść ta przeradzała się i zdecydowanie przetwarzała w jakieś bunty polityczne. Znowu to samo, w dodatku

Anna nie widziała żadnej rady, w końcu i sama objęta była wszechobejmującą niechęcią syna. Musi chyba porozmawiać z Krzysztofem, trzeba ocalić chociaż autorytet ojcowski, tylko jak to zrobić, kiedy Krzysztof znowu samochcąc pogrążał się po uszy w błoto, a rozplotkowany hall ich mieszkania nadawał temu cyniczny rozgłos. Gnatek tu nie winien, stał się tylko mimowolnym pośrednikiem, winna jest pani Teresa, perfidny demon ich domu.

VI

Skecz, zatytułowany „Sarajewo” grano w Teatrzyku Satyrków Studiujących przed wielu już laty, niedługo po dojściu do władzy Szefa Baryłki — trwały wówczas czasy, zwane odwilżą, kiedy jeszcze zezwalano na to lub owo. Ale ów skecz i tak niedługo cieszył się życiem, na piątym czy szóstym przedstawieniu tej osobliwej studenckiej sceny, gdzie bilety dostawało się wręcz konspiracyjnie, zjawił się ktoś z samego najwyższego Biura. Podobno był to towarzysz Zambrowicz, człowiek pochodzenia żydowskiego, który, na przekór swej ponurej, wojennej przeszłości w Rosji, uchodził teraz za niezbyt dobrze widzianego liberała. Towarzysz Zambrowicz śmiał się na przedstawieniu całą piersią, po czym na drugi dzień, w lokalu Teatrzyku, mieszczącego się w podziemi, gdzie przed stu laty zbierała się podobno łoża masonska, zjawili się dwaj panowie z Miejskiego Wydziału Spraw Wewnętrznych i zażądali natychmiastowego zdjęcia z programu numeru pod tytułem „Sarajewo”, dopuszczonego zresztą uprzednio przez cenzurę. Tak się też stało, numer zdjęto, mimo, że Teatr miał — jak mówiono — swoje wysokie protekcje i odtąd nikt już owego skeczu nie widział, pozostał on tylko w pamięci co bardziej dociekliwych i uważnych widzów pierwszych przedstawień.

Kurtyna się podnosi i oto na scenie stoi kilku malowniczych facetów w czerwonych fezach ze starymi rusznicami na ramionach. Rozmawiają ze sobą dziwnym językiem, stylizowanym na jakiś imaginacyjny dialekt serbo-chorwacki, powtarzając po wielokroć: „to było wielmi dobre, wielmi dobre!”. Co było dobre? Udany zamach na arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie, zamach który w rezultacie wywołał wojnę światową. Ci ludzie bowiem to Gawriło Princip i jego koledzy — na skutek celnego zabójstwa, dokonanego przez kilku bałkańskich patriotów-maniaków, świat zatrzęsł się w posadach, zrzucając, niczym gruszki

z drzew, trzech wszechmocnych cesarzy i oswobadzając pół Europy. „To było wielmi dobre” — powtarzają z satysfakcją. — Dziesięć milionów ludzi zginęło. — I powstał Związek Radziecki! — dodaje któryś. — A może by dzisiaj znowu spróbować? — pyta najstarszy. — Ano, ano! Zdejmują rusznice z ramion i zaczynają celować w publiczność, długo, z namysłem, wędrując lufami od jednego widza do drugiego. — Ten? — pytają najstarszego. — Nie! — Ten? — Nie. Aż nagle dowódca mówi, zbrzydzony i zawiedziony: — Eee, dajmy spokój, nic z tego. To Demokracja Ludowa: zabijesz jednego, przyjdzie dziesięciu na jego miejsce! Opuszczają strzelby, światło gaśnie, kurtyna opada, po sali rozplywa się i rozprzestrzenia pełen dezorientacji śmiech. I w tym momencie wstrząsa sceną i widownią potężny huk zza kurtyny, kończący niby brawurowym akordem tę dwuznaczną scenkę.

Janusz nie widział „Sarajewa”, był jeszcze wówczas mały, lecz wielokrotnie mu ten skecz opisywano, w końcu już nie miał pewności, czy go widział, czy tylko o nim słyszał. Ale to przecież znakomite, istota rzeczy: w tym ustroju, dzisiaj, w Polsce nie rządziła żadna jednostka, żaden dyktator, przecież i Stalina już dawno na świecie nie ma. Więc kto rządzi? Rządzi system, upostaciowany przez ludzi nieznanych, anonimowych, Prostaków, którzy z pomocą prymitywnego lecz za to powszechnego języka wschodnich pochlebstw czy też gigantycznego samochwalstwa sparaliżowali duszę narodu, unicestwili w nim elementarne poczucie honoru. Ten wschodni język rytualnych pochlebstw miał swoich mistrzów, częstokroć wolontariuszy, amatorów — i pomyśleć, że jednym z nich jest właśnie ojciec Janusza. Ojciec — główny publicysta „Trybuny Socjalizmu”, gromiący w marcu 68 to właśnie, za czym siedemnastoletni wówczas Janusz pognał tak entuzjastycznie a intuicyjnie, jak młody żrebak, żyjący dotąd w zamknięciu i nagle wypuszczony na szmaragdową, soczystą, bajkową łąkę. Tłum młodzieży, demonstrującej na ulicach i atakowanej przez milicję — to była właśnie owa realizująca się bajka, „bajeczny świat Summerów” nad Wisłą, istny cud. Niedługo to trwało, parę dni, ale dosyć by naznaczyć psychikę Janusza raz na zawsze. Wystarczy przecież raz jeden w życiu zobaczyć cud, aby i raz na zawsze uwierzyć w cuda.

Janusz biegł wtedy za Marcowcami, czując w powietrzu ducha Sarajewa. Ale duch Sarajewa raz tylko, przelotnie uniósł się wówczas nad wodami szarej, warszawskiej Wisły. Potem zniknął, uleciał, przeniósł się widać ponad wody czeskiej Wełtawy. Tu w Warszawie Sarajewo było już nieaktualne, nawet w kabarecie. Po upadku sprawy czeskiej zaszedł jednak w stolicy pewien sym-

boliczny incydent, mało przez kogo zauważony, nawet przez radio Zjednoczonej Europy odnotowany niejasno. Oto na wielkim, prawobrzeżnym stadionie odbywała się doroczna, bezduszna uroczystość Dożynek — z dawnego, dworsko-chłopskiego obyczaju zrobiono teraz wypraną z treści, pompatyczną galówkę, transmitowaną z ogromną starannością, jak wszystko, co pozbawione treści, przez radio i telewizję. Celebrował rzecz jako mistrz ceremonii Gnom, czyli SzeF Baryłka, ten sam, którego w kilkanaście miesięcy później wypędziła rewolta degańskich stoczniovców. Gnom (tak nazwany przez pewnego nielegalnego satyryka, który odpokutował rzecz trzema latami więzienia) lubował się we wszystkim, co bezduszne a z góry ustalone. I oto nagle, w dole, w środku zielonego, przybranego wokół czerwieni stadionu coś się zaczęło dziać, coś drobnego, incydentalnego, lecz jednak przyciągającego uwagę niektórych osób. Uformował się maleńki tłumek, kilku milicjantów, ktoś gwałtownie gestykulował, a nad tą grupką unosił się dziwny niepozorny dymek. Parę osób na trybunach wykazywało również pewne podniecenie, ktoś ocierał pot z czoła, ktoś drugi wybiegł, przeciskając się wśród szeregów nóg i nawet w pośpiechu depcząc ludziom po odciskach. Niezadługo na stadion wjechała karetka lekarska, otoczyła ją grupa milicjantów, chwila małego zamieszania i oto już karetka znika, zaś na stadion wbiegają setki dziewcząt i chłopców, tańcząc kunsztownie zbiorowego, figurowego krakowiaka do wtóru kolejarskiej orkiestry przygrywającej z łoży. Słońce nad stadionem jakby rozbłysło jaśniej, salwy oklasków zrywają się nad trybunami, niby stada trzepoczących ptaków.

Co to było? Rzecz niewiarogodna w samo południe: polski Jan Palach, człowiek, który się oblał benzyną i podpalił, ale milicja i cywilna straż porządkowa Dożynek otoczyła go szybko, aby nikt niczego nie dostrzegł, sprawnie ugaszono ogień kocami a poparzonego odwieziono do Szpitala Praskiego, gdzie podobno po paru dniach zmarł. I nikt się nie dowiedział ani jak się nazywał, ani dlaczego się podpalił, „po jakiej linii płonął”, jak żartowano w Warszawie. Chciał najwyraźniej swą straszną śmiercią wobec dziesiątków tysięcy ludzi zgromadzonych na stadionie, wyrazić jakiś protest, jakiś sprzeciw, jakiś pogląd. Ale co to za pogląd?! Tego nikt się już nigdy nie dowie, tak samo nikt się nie dowie, kim był — rozpuszczono zresztą dyskretną plotkę, że to chory umysłowo, który przybył na gościnne występy do stolicy. Najważniejsze jednak, że o ile czeski, tragiczny Jan Palach wzniecił swą śmiercią podziemnie pełgający ogień, o tyle czyn rzekomego szaleńca na warszawskim stadionie nikogo, absolutnie nikogo nie zainteresował — tak jakby wszystkie podziemne,

nadwiślańskie płomienie wypaliły się już i zgasyły w niedawnym Marcu. Nikłe to chyba płomienie, przechowywane przez nielicznych. Oto Warszawa, bezduszna, rubasznie jowialna lub bezmyślnie brutalna, zagoniona, ludowa Warszawa! Edward twierdził, że nikt teraz tutaj nie będzie przechowywał świętego płomienia buntu, bo kraj ten podczas ostatniej wojny utracił sól ziemi, utracił swą inteligencję, wychowaną przez ostatniego marzyciela — Piłsudskiego. Czesi także przed wiekami, w bitwie pod Białą Górą utracili swą inteligencję, czyli szlachtę, schłopieli, ale teraz mają szlachtę nową, taką, która z początku poparła „wyzwolielską” Rosję i marksizm, lecz zrozumiałwszy wreszcie swą pomyłkę, zapaliła żagiew buntu. Za to nowa, chłopska, rubaszna, skłopotana zresztą Warszawa niczego nie chce i niczego nie rozumie, nie zna honoru, ważne, aby tylko mięso było w sklepach. „Mięso, wódkę, chleb i ser, Da ci tylko PZPR”. Warszawa pełza, Warszawa pełza! — oto slogan, oto hasło.

— Cóż ty za głupstwa wymyślasz — mówi na to Teresa — w jakim fikcyjnym świecie ty żyjesz! Wszędzie dziś jest na świecie to samo, masy doszły do głosu bez względu na ustrój, one chcą żyć, nic ich nie obchodzą żadne wolnościowe fanaberie, co najwyżej, niektórym na Zachodzie imponuje Rosja, że silna i ludowa. O żadnych okrucieństwach dziejących się w Rosji nie chcą tam słyszeć, nie wierzą, nie myślą wierzyć — dziesięciu Sołżenicynów może gadać, pisać, zaklinać się na wszystkie świętości — nic to nie pomoże. Zbyt dalekie formy życia obu stron świata ułatwiają niewiedzę i niewiarę. Taka Francja na przykład pragnie spokoju, wygody dobrobytu, oni mają swoich trzysta gatunków sera, ileś tam rodzajów wina, chcą jeść, pić, mało pracować, dużo się kochać i to dziś, teraz, w swoim pokoleniu, w swoim życiu — o przyszłość narodu się nie troszczą, zmieszczaniaty proletariatu nie dba o nic. Skapitulowali przed Hitlerem, kapitulują przed Rosją, tylko Amerykanom się stawiają, bo wiedzą, że jankesi głupi, mają skrupuły, a i tak pomogą za darmo. Pomoc brać, owszem, ale przyjaźnić się z Ameryką, nie, to się może nie spodobać Rosjanom, a Rosję to oni kochają, jak nieprzytomni, zawsze kochali. No i teraz jeszcze na dodatek, francuscy komuniści z Rosji żyją. Jakże powiedzieć złe słowo o dobrodzie, co daje jeść?

— Słuchaj, ja przecież byłam w Ambasadzie w Paryżu ponad dwa i pół roku! (Aha, to dlatego Mama uważała ją za ochroniarke, do ambasad dawali ostatnio głównie ludzi z Równowagi i wywiadu — Polska przejęła teraz w Bloku rolę głównego agenta w stosunku do Zachodu). Przecież to tylko śmiać się i płakać! Rosja może rządzić się w naszych krajach jak chce, może

przejechać Czechosłowację czołgami tam i nazad, mogą stać garnizony sowieckie we wszystkich krajach Bloku, a potem nagle Związek Radziecki występuje na międzynarodowej konferencji z wnioskiem, potępiającym mieszanie się mocarstw w cudze sprawy wewnętrzne i naruszanie suwerenności innych mniejszych krajów. I co? Nikt się nawet nie uśmiechnie, nie ze strachu — po prostu oni nie widzą związku jednego z drugim, nie kojarzą — to, co u nas się dzieje, dla nich się nie liczy. Francuzi nie zdają sobie zupełnie sprawy, jakie nam świnństwo zrobili w 39 roku, w ogóle nie wiedzą, że to oni przez swój egoizm i tchórzostwo wywołali historię z Hitlerem i europejską rzeź. Im dobrze, mają swoje wino, dwudniowy *week-end*, narzekają z zasady, ale słodkiego paryskiego życia nie oddaliby za nic, a o demokrację, zwłaszcza dla innych, dla dziwaków ze Wschodu, którzy nie lubią Rosji, nigdy, nie łudź się Januszku, nigdy palca nawet nie nastawiają.

— W Paryżu młodzież demonstrować ci będzie namiętnie przeciw terrorowi i brakowi wolności w Chile. Ale do głowy im nie przyjdzie, że oni mogą demonstrować w sprawach Chile, ponieważ WIEDZĄ, są przez kogoś informowani, co się tam dzieje. Natomiast co się dzieje w bezkresnym i przepastnym Związku Radzieckim, tego nie dowiedzą się nigdy — a więc i protestować nie będą. Zresztą oni nie chcą wiedzieć, bo oni są kibice, którzy już swoją stronę wybrali. Jak Amerykanie coś pobombardują ileż podnosi się protestów, szlachetnych, wzburzonych, przepiękną francuszczyzną powiedzianych czy napisanych. Ale jak komuniści w Wietnamie ruszą do ofensywy, niszcząc, paląc, rozstrzeliwując co się da, wtedy w Paryżu cisza — ani jednego protestu. Bo to jest rewolucja a tamto — imperialistyczna agresja. Oni łatwo uspokajają swoje sumienia słowami — panowie Francuzi.

— Dlatego Januszku, ty nie bądź frajer. Nie nastawiaj karku za to, za co nikt, ani po tej ani po tamtej stronie nie da grosza. Za „niepodległą Polskę”, jak mówi twój dziadek, nikt nie da grosza. Nie tylko dolara, ale nawet grosza! Jeszcze Żydzi mogą coś osiągnąć — Polacy nigdy. Uwierz mi, ja w Paryżu miałam do czynienia z wielu kołami i kręgami, z różnymi ambasadami. Oni nas o tyle dostrzegają czy szanują, o ile jesteśmy powiązani z Rosją. Interesujemy ich jako komunistyczny Wschód, który ciągle i ciągle ma sukcesy w polityce, podczas gdy oni grzęzną w swoich rozreklamowanych inflacjach, kryzysach, bezrobociach, terrorystycznych szantażach, porywaniu zakładników i innych bzdurach. Wschód Europy z zapleczem za Uralem może ich interesować jako polityczny monolit i jako rynek dla handlu,

za to polskie separatystyczne mrzonki nie zainteresują tam nikogo — co najwyżej zdenerwują, bo przeszkadzają w rachubach. O Czechów był niby krzyk i co? Już po krzyku! O Węgrów też był kiedyś krzyk, jeszcze większy — ty tego nie pamiętasz, boś dziecko. O Sołżenicyna był hałas, dopóki siedział w Rosji, bo to jakoś tam wpływało czy mogło wpływać na politykę światowego mocarstwa. Jak się znalazł na Zachodzie, to już nic nie znaczy, tak jak i cała emigracja: polska, rosyjska, węgierska — jaka chcesz. Breżniew wiedział, czemu go z Rosji wyrzuca!

— Więc, Januszk, przestań się wygłupiać, razem z tymi twoimi Marcowcami, co lubią się bawić w bohaterów i tracić czas. Zrozum, że jesteśmy po dobrej stronie, my, Polacy. Amerykanie sprzedają swoich sojuszników jednego po drugim, za to Rosjanie nigdy nas nie sprzedadzą: co już raz nabyli, to będą trzymać. Mamy z nimi sytuację solidną i ustabilizowaną — może nie efektowną, nie zawsze błyszczącą, ale ustabilizowaną — to się ceni, lud to lubi. Dobrze się stało, że do władzy przyszła u nas teraz ekipa śląska. To są ludzie praktyczni, trzeźwi, wychowani w kategoriach zachodnich, po niemiecku. Polska ich nigdy za bardzo nie obchodziła, zresztą ileż ona trwała ta niepodległa Polska — raptem dwadzieścia lat. Nie obchodziła ich, bo nie była solidna, teraz za to widzą podstawy nowej solidności, zwłaszcza, że po odejściu ekipy tego biednego Baryłki przestano gadać o marksizmie a zaczęto na serio o przemyśle i handlu. Ślązakom w to graj, a że trzeba kłaniać się Rosji? Oni nie mają kompleksów, to nie Królewiaczy, kłaniają się bez przymusu. Nie sprawia im to ani trudności, ani przykrości, na pewno w każdym razie mniej, niż twojemu ojcu pisywanie w „Trybunie”, bo on przecież piśsudczyk z wychowania, no i powstaniec. Ale zrozumiał, jak jest naprawdę, tylko ty Januszk nie chcesz i nie umiesz zobaczyć prawdy. Buntują cię ci twoi niewydarzeni marksści, rewizjoniści, maniacy, a jeśli i Żydzi, to najgorzej, bo oni mają swoje specjalne bóle i nasze sprawy już ich nie dotyczą.

Inteligentna jest nawet ta Teresa, choć filozofię polityczną ma odstręczającą — odprysk neopozytywizmu, jak powiedziała by Witold. Ale przynajmniej ma filozofię — co u kobiet nie częste. Zresztą nie ograniczała się do prawienia Januszowi pozytywistycznych kazań, to zdarzało się raczej w antraktach. Bo przede wszystkim Teresa oddawała się Januszowi w swoim pokoju, oddawała się przy każdej okazji albo i bez okazji, bezceremonialnie lecz z wdziękiem, zapewne z francuskim wdziękiem. Wciągała go do swojego pokoju niemal pod okiem domowników i popychała na tapczan, twierdząc, że czyni to ze względów... konspiracyjnych, bo gdy się stoi, widać cienie na szybie, a gdy się leży na tapcza-

nie, żadnych cieni nie widać. — Twoja mama nie lubi, kiedy u mnie jesteś — szeptała, tuląc się do Janusza, naga jak ją Pan Bóg stworzył — niechże się więc nie martwi cieniami na drzwiach: czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Nawet, gdy było tylko pięć minut czasu, Teresa błyskawicznie pociągała Janusza na ów tapczan, bez żenady ściągała majtki i podnosiła spódnice, kładąc się w zachęcającej pozie. Nie wstydziła się wcale: — Czegóż się wstydzić?! — pytała niewinnie. — Moje ciało po prostu pragnie ciebie. Od tego przecież jest! Za to nigdy nie mówiła o miłości, nie używała w ogóle tego słowa, jakby go nie znała.

Jest o pięć lat starsza od Janusza, z początku go to peszyło później się przyzwyczała. Ulegał jej i właściwie dobrze mu z tym było, choć igrali na granicy ryzyka i kompromitacji, wyprowadzając w pole domowników. Teresa nie odpłacała się mamie niechęcią. — Twoja biedna mama to bardzo porządna kobieta — mówiła. — Żebyż tylko nie przejmowała się wszystkim tak bardzo — sama sobie przecież szkodzi, sama się wyniszcza!

Zdecydowaną sympatią Teresy był za to dziadek, co nawet dosyć dziwne. Słabość swą do niego motywowała w sposób, jak na swoje poglądy, nieoczekiwany. — Widzisz Januszu — powiadała — stary Józio (inaczej go nie nazywała) jest z tej arcy-polskiej ekipy młodzińców, co to uwierzyli kiedyś Wielkiemu Awanturnikowi i poszli za nim. Wielki Awanturnik to był w jej terminologii Piłsudski. Janusz oburzał się na to określenie, ale Teresa mu wytłumaczyła. — Oczywiście, że, politycznie biorąc, to był awanturnik. Traktował swoją mrzonkę, dobrze, swoje marzenie o wolnej Polsce, jak rzeczywistość, tylko to go obchodziło, gwizdał na wszystko inne, to po prostu nihilista, gracz, który postawi w grze na jeden numer wszystkie pieniądze, swoje i cudze. I takiemu, prawie bez jego udziału, trafiła się największa wygrana: trzech cesarzy padło w wojnach i rewolucjach, suwerenna, wolna Polska powstała, ofiarując się oczywiście temu jednemu, jedynek, który w nią naprawdę wierzył. Cud, zbieg okoliczności, wygrana na dziejowej ruletce, wygrana, jaka zdarza się raz na tysiąc lat! *Quelle histoire!* Oczywiście, całej zabawy starczyło ledwo na dwadzieścia wiosen, ale cóż to była za zabawa! Nic dziwnego, że ci, co od początku, nawet jako dzieciaki poszli za Wielkim Awanturnikiem i przeżyli tę przygodę, nie mają już dziś smaku do niczego innego, tak akurat, jak Stary Józio.

Teresa skończyła romanistykę i historię, wykształcona z niej osoba, ale właśnie brak jej iskry buntu, polotu mutacyjnego, jak to określa Witold. Traktuje rzeczywistość niby coś danego

i niezmiennego, rzeczywistość to dla niej fetysz, magia, a wszechmoc tego fetysza wynika z układu sił, potężnych sił. Teresie ani w głowie, że wszelkie układy sił są złudą, są sytuacją prowizoryczną, której niestabilność zdemaskowana być może przez drobny na pozór, ale dobrze wycelowany impuls, ot przez takie Sarajewo, wyzwajające z bałkańskiego atomu kosmiczną energię niszczycielską, udzielającą się całemu światu. niesprawiedliwy, kłamliwy stan rzeczy, panoszący się w jednym, choćby niewielkim kraju, jest, a raczej może być kuźnią, gdzie zrodzi się iskra, która podpali światowe prochy, powodując wybuch potężniejszy, niż wszelkie nuklearne arsenały, zgromadzone przez wielkie mocarstwa globu. Może to zrobić mały Izrael, może maleńki Cypr, czemuż właściwie nie mogłaby Polska, która ma przecież wielkie tradycje. Polak wszakże, niejaki Józef Beck, zdecydował niegdyś, że pora zakończyć dwuznaczne pertraktacje i manewry z niejakim Hitlerem, że trzeba się bić. Zarozumiała Anglia i przeżarta defetyzmem Francja, skołowane i zbaraniałe przyglądały się temu, co dzieje się nad daleką Wisłą, nic a nic nie rozumiejąc z postępów człowieka, któremu, dla ratowania nieczystych zachodnich sumień przypięto etykietkę filogermanina. Do ostatnich dni, wymuszając na Becku absurdalną decyzję opóźnienia polskiej mobilizacji, durni zachodniacy nie mogli pojąć, że to nie chodzi o Gdańsk, Wisłę czy zgoła Warszawę, lecz o ich własną, najwłaśniejszą skórę. I potem się zaczęło, Chryste Panie! „To było wielmi dobre”, tym razem już czterdzieści milionów ludzi zginęło, postęp jest! Tyle, że ponieważ Francuzi nie chcieli się bić, kiedy było trzeba, a Anglicy wówczas nie mieli czym, więc w końcu kolej przyszła na Rosję, przez dwa lata lojalnego sojusznika Hitlera, Rosję, rozbrajającą w 39 roku polską armię, wywożącą na Syberię miliony Polaków, mordującą kilkanaście tysięcy polskich oficerów. Zachodu to wszystko zresztą specjalnie nie obeszło, za to bardzo się tam zainteresowano, gdy oszalały Hitler rzucił się na niedowierzającego do ostatniej chwili niebezpieczeństwu byłego sojusznika. I słusznie się zainteresowano, bo Rosja spiętrzyła w końcu przeciw Hitlerowi Himalaje swych trupów, to czego nie chciał zrobić wygodny i kulturalny Zachód. Stalin, kładąc pokójtem owe falangi trupów wyuczył się jednak w końcu wojny i z Bożą oraz Aliancką pomocą, wygrał ją, dochodząc aż do Łaby. Gdzie doszedł tam i został, nic za darmo. I taka jest geneza Dnia Dzisiejszego. Porządek panuje w Warszawie, raczej na całym europejskim Wschodzie, a Zachód przestał się tym zajmować — dobrze mu jest, poza tym ma teraz inne zmartwienia, dziecinne, biorąc w skali globu, ale dla nich zabawnie ważne. Tak toczy się światek.

Janusz wiedział to wszystko, choć był nominalnie tylko etnografem. Całe noce chłonał historię najnowszą, czerpaną z wydawnictw polskich, majstrowanych pilnie w Paryżu i w Londynie. Tamci z emigracji pojęcia nie mieli, co się w Polsce dzieje dziś, za to genezę, zaplecze historyczne tej dziwnej rzeczywistości znano u nich dobrze. A znowuż tutaj historię ostatniej wojny sfalszowano dokładnie, rówieśnicy Janusza wcale na przykład nie wiedzieli, że Hitler ze Stalinem na spółkę wywołali wojnę i podzielili Polskę, że półtora miliona Polaków wywieziono do Rosji, że Bratni Związek dostarczał niemieckim czołgom ropę od ofensywy na Norwegię, Holandię, Belgię, Francję, aż po Jugosławię, Grecję, Kretę. Jeszcze na Moskwę jechał Guderian przyjacielską sowiecką benzyną, potem, gdy sojusz zerwano sami już ją sobie Niemcy brali. „To dobre, wielmi dobre” — jakżi byłby z tego skecz dla Teatryku Satyryków Studiujących! Tylko że najlepsze skecze historii grane są dziś bez publiczności!

Te wszystkie zagraniczne wydawnictwa brał Janusz od Henryka, tamten to istny płomień, pożerający wielkimi porcjami zakazane druki. W Polsce były one zresztą zakazane, ale niekonsekwentnie, coraz to ktoś coś tam przywiózł, naśladowano tu Rosję niezgrabnie. W Bratnim Związku natomiast w ogóle nie można poznać historii najnowszej, a ten kto, jak Sołżenicyn, próbuje ją opisywać, będzie w najlepszym wypadku wyrzucony na Zachód, gdzie to już nikogo nie obchodzi. Rządzący Związkiem nie są w stanie zezwolić na naukę historii: ludzie mogliby się wtedy dowiedzieć, że tych rządzących kiedyś wcale nie było. Z tego zaś wniosek prosty a zgubny, że przecież może ich wobec tego kiedyś nie być... Mogą zniknąć, jak wszystko znika na tym świecie. Prawda prosta lecz jakże porażająco i osłepiająco kusząca.

Janusz dobrze zapamiętał sobie słowa Henryka o antycznym terroryzmie, o usuwaniu z pomocą zabójstw rozmaitych cesarów i konsulów, o zbuntowanych pretorianach, o terrorze indywidualnym w epokach, gdy „tak niewielu rządzi tak wieloma”. Henryk zapisał kiedyś: „*W państwach, gdzie niewola stała się systemem i wyznaniem wiary a kłamstwo, otrzymując monopol od władców, jedynym sposobem publicznej wypowiedzi, tylko indywidualny zamach terrorystyczny na najwyższych reprezentantów ustroju może ludziom otworzyć oczy i przywrócić im proporcje normalnego myślenia. Dlatego tyle skrytobójczych zamachów było zawsze w Rosji, zarówno w carskiej jak i Czerwonej. Z tym, że czerwoni samodziernicy, lepiej rozumiejąc niebezpieczeństwo, ukrywają przed ludem wieści o spiskach. Tak stało się na przykład z nieudanym zamachem na Sekretarza Leonidowa w samej bramie Kremla. Wiadomość o strzelaninie podali dziennikarze*

zachodni, Rosja się o tym nie dowiedziała. Jednakże zamachu udanego ukryć by się nie dało. Wniosek z tego prosty..."

(Owszem, wniosek jest prosty, ale kto właściwie realizować ma takie proste wnioski w dzisiejszej wiejskiej Warszawie, w której tylko małe grupki zagubionych fantastów-żarliwców rozumieją, gdzie się znalazły, jakie to jest tutaj skrzyżowanie historii i skąd się ono wzięło. Smutna stolica, zagubiona wśród piasków, miasto bez twarzy choć niekiedy zagra melancholijnym wdziękiem. Dziadek czyli Stary Józio mawia czasem z goryczą: — Patrzcie, po wspaniałych ludziach, wymordowanych przez Gestapo i Czerezwyczajkę któż nam teraz pozostał? Nowi sowieccy troglodyci na ulicach i rządcy toporni, Prostaki Zadufane w limuzynach. Naród polski żyje, owszem, tylko że nie w tej mazowieckiej stolicy czyli pustkowiu. Ależ z nas mały wystrugali ci Rosjanie!)

— Sami stworzyli to pustkowienie — replikowałaby Mama — powstania im się zachciało, megalomani historii, zakochani w sobie. Za to potem, do odpowiedzialności, to ich nie ma! Nikogo wtedy nie ma, samo się zrobiło. A skąd niby się wzięła ta piaszczysta pustka?!

Janusz przyglądał się na ulicach swoim równieśnikom. Neandertalczyki to oni trochę na pewno byli, krzykliwi jakby sami na świecie, urodzeni w niedzielę, niepomiń niczego. Język mieli własny, niezbyt rozbudowany pojęciowo, choć ornamentalny. „Poszłim kurwa na piwo, a ten jebany w dupę mówi, że 'zmęczonym' piwa nie sprzedaje. Jak mu, chujowi zasranemu, nie przypierdole, i spływamy, bo o milicję krzyczy, złamaniec jeden”. Ale to jeszcze dobre, to są „kozacy” warszawskiej ulicy kawalerowie stołecznego księżycy. Gorsze są panusie skłopotane: „Czy zdążymy na dworzec po ciocię Niusię, ze Szczecina przyjeżdża na dwa dni, chcemy jutro do Stasia na działkę, żeby tylko pogoda, a do Supersamu zdążyć trzeba, przed Świętami rzucą pewno jakąś wędlinę, może Zosia skoczy”. Albo panowie niezgrabni, grubi w pasie, w zatłuszczonych garniturach, z teczkami wypchanymi jak kiszka pytona: „To wicie, jest konieczne, główny księgowy zarządził kontrolę, Rada Zakładowa się włączy, od oszczędności materiałowych zależy gospodarski podział premii, najpierw remanent trzeba zrobić, potem bilans, żebyśmy na Święta pod bilansem się nie zostali, przejdziemy poślizgiem, tylko...” Kic, kic, kic, ple, ple, ple, ale z nas mały wystrugali! Warszawo, Ty moja Warszawo...

„Tak więc odrodzona Polska — państwo robotników i chłopów — obejmująca w prawowite władanie historyczne terytoria

naszego narodu, powitała pierwszy dzień zwycięstwa nie tylko jako kraj wyzwolony, lecz również jako uczestnik i współtwórca wielkiego zwycięstwa. 21 kwietnia 1945 roku, zanim umilkły działa, podpisano Układ o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy między Polską a Związkiem Radzieckim. Układ ten zapoczątkował korzystną dla obu stron współpracę w dziele budownictwa socjalistycznego. Dzięki Współpracy, dzięki gorącej, serdecznej przyjaźni i braterskiej, wspaniałomyślnej radzieckiej pomocy, rozwiązaliśmy wszystkie wielkie problemy egzystencji narodu. Dzięki bratniej współpracy rozwiązujemy i będziemy rozwiązywać wszystkie wielkie sprawy życia narodowego Polaków”.

Cóż za język, cóż za mowa! A przecież to Ojciec mówi, Ojciec fabrykuje, ojciec, powstaniec, syn legionisty, spiskowca, ojciec, którego, jako młodego chłopaka redaktor Boruta ocalił od zamrażających wszystko cieniów procesu Starego Józia i wcielił do ekipy „Czerwonej Chorągwi Młodych”, skąd Krzysztof przeszedł już bezpośrednio do „Trybuny”. Dobrą miał rękę liberalny redaktor Boruta — z jego młodego pupila wyrósł dziś bezpartyjny filar narodowej propagandy. Redaktor Krzysztof Glebowicz produkuje w niezbędnych porcjach pożywną dla Partii „mowę-trawę”, magister Janusz Glebowicz zatyka uszy, a złośliwi i dociekliwi Marcowcy wycinają i wylepiają sobie w kpiarskich albumach co celniejsze fragmenty — ochotniczy dokumentaliści epoki, archiwiści wolontariusze, dziwny, nieznanego ogółowi twór warszawski. A oto mówi inny filar „Trybuny Socjalizmu”, redaktor Kafarski, któremu zlecono wyjaśnienie narodowi jakiejś tam bolączki zaopatrzeniowej:

„W okresie przejściowych trudności w dostawach mleka apelujemy do wszystkich producentów o ograniczenie własnego spożycia i powiększenia dostaw, aby zapewnić pełne zaopatrzenie w mleko ludności miast. Niektórzy obywatele wyrażają niezadowolone z powodu ograniczenia sprzedaży pełnotłustego mleka i pewnego zmniejszenia produkcji serów tłustych. Nie mieliśmy innego wyjścia. To było w tych warunkach koniecznością, między innymi z uwagi na występujący w ostatnich miesiącach poważny spadek produkcji masła. Ta przejściowa konieczność ustąpi po zwiększeniu skupu mleka!”

Piękna mowa, męska mowa, szczerza mowa! Tyle, że wszyscy w Redakcji z towarzyszem Kafarskim na czele wiedzą doskonale, iż zahamowanie sprzedaży mleka zarządził sam Prezes, aby wywołując społeczne niezadowolenie, osłabić pozycję Sekretarza Ora-

czyka przed zbliżającym się Zjazdem Partii. Prezes ma prawdopodobnie na to *placet* ze Wschodu, który nie lubi w krajach bratnich i braterskich nadmiernego jedynowładztwa, a znów Sekretarz Oraczyk niczego — jak to zwykle na górze — nie dostrzega. Robiono takie numery Szefowi Baryłce, robi się je jego następcy Oraczykowi, obaj niczego się nie spodziewają — normalka. Tyle, że mazowiecki ludek stolicy o tym wszystkim się nie dowie, jedynie o braku mleka. Też normalka.

Janusz zatyka uszy, Janusz marzy o Sarajewie i samospaleniu na Dożynkach, aby zbudzić w ten sposób duszę mazowieckiego ludu. Janusz hoduje nawet w tej dziedzinie swój plan, ale poza Henrykiem nikt nie ma prawa o tym wiedzieć. Zwłaszcza nie Teresa, która i tak coś wyczuwa, swoim, odrębnym kobiecym wyczuwaniem. Wyśmiej go i osłabi, trzeba jej się strzec. Właściwie to Teresa też się już staje elementem Januszowego zniewolenia, choć taka miła z niej dziewczyna w łóżku. Żeby przeprowadzić plan, trzeba mieć fachowych współpracowników, potrzeba na to pewnej swobody ruchów, a nie łatwo o te rzeczy w Warszawie, zwłaszcza we wspólnym, rodzinnym i nie rodzinnym mieszkaniu na Wiejskiej.

VII

— To bardzo przykra sprawa i bezsensowna, ten człowiek nie wytrzymał charakterowo, okazał się nicością — a przecież wszystko zawdzięcza naszej Polsce, Ludowej, bez niej, bez naszego socjalistycznego rozwoju nie zrobiłby kroku. On, facet nie najmłodszy, wie przecież jak tu było przed wojną, jakie zacofanie, Kresy, Polska B, nędza wsi galicyjskiej, nierozwiązalne problemy mniejszościowe. To był wóz, chłopski wóz drabiniasty, w porównaniu z nowoczesną maszyną, jaką dziś tutaj montujemy, doskonalimy. I to pomimo zniszczeń wojennych, klęsk i upływu krwi, tyleśmy zrobili co nigdy na przestrzeni całej historii. Naród się odrodził, przekształcił, zmodernizował, naród produkujący, naród morski, w końcu, po setkach lat, w sensownych granicach i z sensownymi sojuszami, naród jednolity etnicznie, wiedzący nareszcie czego chce. I taki oto błazen nie wytrzymuje nerwowo, nie może oddzielić swoich jakichś prawdziwych czy wymyślonych, wydumanych krzywd od wielkiej sprawy narodu, od narodowego budownictwa. A przecież nosił go ostatnio na rękach, robił co chciał, niczego mu nie brakło, za te rzekome krzywdy dobrze mu zapłacono. Któż z nas zresztą nie był krzywdzony, rewolucja to nie sielanka, ale naród, naród jest najważniejszy, z którego ten, tutaj, kanalia, samochcąc się wykreślił. Kanalia i głupiec, cóż za głupiec, to się po prostu nie da...

Mówi to wszystko Naczelný „Trybuny Socjalizmu”, Feliks Rajkowski, lat 66, przed wojną nacjonalista, endek, członek grupy młodych działaczy skupionych wokół Romana Dmowskiego, w czasie wojny wieloletni więzień obozów koncentracyjnych — Niemcy nie wybierali, nie rozróżniali Polaków ze względów na poglądy — do obozu każdy był dobry. Po wojnie losy Rajkowskiego są z początku niejasne, płacze się bez przydziału i bez pieniędzy, ale jakoś do ciupy nie idzie, legitymuje się antyniemieckością i domaganiem się już przed wojną „piastowskich

prastarych ziem po Odrę i Nysę łużycką”, kiedyś mówili o tym tylko endecy, teraz rzecz stała się czołowym hasłem komuchów. Zresztą hasłem niezbędnym dla całego narodu, wypchniętego dzisiaj za Bug, na zachód od Bugu. Przechodzi się z koncepcji jagiellońskiej na piastowską, niegdyś polska szlachta miała swe majątki rozsiane po Mińsk, Kijów, Odessę, dziś szlachtę diabli wzięli, rozplynęła się w ludowym morzu, które zalało z powrotem słowiańskie ziemie historyczne, Śląsk Górny i Dolny, Pomorze Zachodnie, Prusy Wschodnie czyli Warmię i Mazury. Słowiańszczyzna wróciła na Zachód, niemieccy posiadacze wyjechali stąd za Łabę, oto skutki działań mądrego pana Hitlera. A przy okazji pan Rajkowski stał się z pana — towarzyszem. Nie bardzo to zauważono, kiedy i jak bezrobotny prawicowy dziennikarz z Łodzi, były działacz i niemiecki więzień znalazł się w Partii, gdzie rozpoczął wspinaczkę po kunsztownych drabinkach warszawskiej kariery. Sekretarze się zmieniali, czerwoni dyktatorzy padali, a on wspinał się wytrwale, szedł i szedł — aż doszedł. Redaktor naczelny centralnego organu Partii, mąż zaufania Najwyższego Biura na terenie dziennikarskim — bagatela! Toż socjalistyczna prasa to dzisiaj instrument rządzenia — kto wie, czy nie instrument najważniejszy. Naród w nowym ustroju, w nowym układzie społecznym i na nowym terytorium potrzebuje Nowego Słowa, kierującego go ku nowym przeznaczeniom.

Rajkowski ma rację, choć to kabotyn i pozer: tu nie ma miejsca na żaden liberalizm. Głębowicz się zgadza, w pełni zgadza, zresztą zawsze potępiał Waczkowicza za personalne warcholstwo. Tylko że...

Naczelny jest tęgi, nalany, z jednym okiem przekrwionym i patrzącym gdzieś w bok. Wypowiedziawszy swą kwestię przymglonym, jakby z oddalenia dochodzącym dyszkantem, taki głos mają czasem właśnie ludzie bardzo tędzy, siedzi teraz na swym stolcu ze spuszczonej oczami, czeka na odpowiedź, na reakcję rozmówcy, zawsze lubi w ten sposób celebrować swe audjencje, udając Boga z Olimpu. Krzysztof wezwany został na tę konfrontację zaraz po zjawieniu się w redakcji, serce mu biło, ręce drżały, szczęściem stary głądził tak długo, że można się było uspokoić. No i teraz trzeba coś powiedzieć, być aktywnym, sprawa ważna i...

— Czy są już jakieś bliższe dane co do zachowywania się Waczkowicza na Zachodzie w tej chwili?

Naczelny unosi brwi, lekkim, sprawnym pochrząkiwaniem pozbywa się gnębiącej go stale chrypki, rozkłada nieproporcjonalnie małe, tłuste łapy, piegowate i porośnięte dziwną szczeciną.

— Wiecie, szczegółów jeszcze za wiele nie mamy, ale w ogół-

nych zarysach wiadomo, co się stało. Waczkowicz oficjalnie poprosił o azyl, to wywołało zainteresowanie, facet jest ważny, zna do głębi cały nasz handel zagraniczny, często bywał na Zachodzie, w tym Paryżu zwłaszcza, bo on z Hiszpanii samowolnie przejechał do Paryża i tam rozkręcił aferę. Zrobili mu jakąś konferencję prasową, to dobre na reklamę dla takich typów, podobno się wypowiadał, że w Polsce nie ma demokracji, że brakowało mu wolności, coś tam takiego co oni zawsze gadają. *A propos*: byliście z nim niedawno w Paryżu, czy mówił Wam już wtedy jakieś rzeczy, po których by można sądzić, spodziewać się, że...?

— Mmm. Owszem, mówił takie różne rzeczy, ale nie sprecyzowane. On stałe miał zwyczaj wygadywać, wiecie przecież, znaliście go niegorzej. Ale nie sądziłem...

— Aha, rozumiem, rozumiem. Na tej konferencji prasowej to on wiele nie powiedział, same ogólności. Lecz spodziewać się należy... Wiecie, mimo międzynarodowego odprężenia, mimo dobrych naszych stosunków z Francją, zawsze istnieją czynniki, które prą do... Zaostrzenie to dla określonych kręgów gratka, rozumiecie? A poza tym chodzi o informacje, ten łobuz wie mnóstwo, wie rzeczy dla nich bezcenne, rozumiecie? I na pewno wszystko powie, za ten azyl oni z niego wyciągną co się da, rzeczy fachowe wyciągną w cztery oczy, w sześć czy ile tam oczu, a rzeczy demagogiczne będzie mówił prasie czy radiu. Zechce zwiększyć swoją wartość, zrobić sobie reklamę, żeby lepiej wystartować, lepiej się urządzić — manager polskiego przemysłu, polskiego handlu — kanalia. Będzie gadał ile wlezie, oni zawsze tak robią. I dlatego, zważywszy to wszystko, musimy dobrze pomyśleć, jak się zachować tu, w Redakcji, jak się ustawić. Był przecież naszym ekspertem, w dodatku Wy, czołowy publicysta, jeździliście z nim akurat do Paryża, daliśmy nawet o tym wzmiankę. Więc teraz...

No tak, zaczyna się. Krzysztof był pewien, że coś takiego się zdarzy, że Naczelný wykorzysta sytuację do jakiejś swojej idiotycznej gierki „po linii”. Nie darowałby sobie, gdyby ominął tę okazję! Namysła się, zwalnia, denerwuje rozmówcę, to jego metoda. Ale tak czy owak, zaraz wyrzeli. A co z Izabellą?!

Idąc tutaj Glebowicz czuł, że coś go niemiłego spotka i wiedział, że będzie musiał ustosunkować się do tego czegoś wspólnie z Izabellą, a to okaże się dlań jeszcze bardziej niemiłe. Chociaż właściwie czemu tak niemiłe, czyżby miał jakieś nieczyste sumienie, skrupuły? W zasadzie owszem, mógłby mieć, przecież od paru już dni, od czasu rozejścia się po redakcji owych pogłosek o Waczkowiczu, przestał do niej dzwonić. Małoduszne? — może,

ale nie to jest najbardziej zasmucające i przestrzegające. Gorsza rzecz, że, jak właściwie z góry przewidział, przestał nagle do niej tęsknić, przestał pragnąć jej uroku, ulotniło się gdzieś owo wibrujące w nim i wokół niego stałe podniecenie, nieustająca ekscytacja, z którą żyło się lekko, swobodnie jak na skrzydłach. Ulotniła się, opadła, zatrulo ją podejrzenie, że Izabella wiedziała wszystko z góry i uplanowała sobie zawczasu ich „miłość”, nie wiadomo zresztą jak właściwie tę rzecz teraz nazwać. Czy tylko z tego powodu, oburzony na dwulicowość Izabelli, przestał odczuwać owo rozkołysane, słodkie podniecenie? Nie, wiedział, że nie tylko dlatego, była jeszcze rzecz inna, bardziej wstydliva i bardziej paralizująca: lęk. Lęk, że jeśli ona sięgnęła do takiego środka, jeśli udawała miłość (a może nie udawała, tylko przyspieszała jej realizację i działanie), jeśli tak postępowała, to ze strachu, z potrzeby pomocy, a w takim razie sprawa jest ciężka, śmierdząca, jak mówiono w Warszawie, czyli niebezpieczna dla wszystkich wokół, którzy się o nią niebacznie otrą. Krzysztof od czasu procesu Ojca nie miał już nigdy więcej kontaktu ze sprawami nieczystymi, reakcyjnymi, podziemnymi. Proces Ojca — Glebowicz oblicza w pamięci — odbył się dwadzieścia osiem lat temu, tak, obecnie jest 1974 a tamto było w 46-tym, tuż po wojnie, kawał czasu swoją drogą, potem dopiero w 49-tym przyszło więzienie długie i głucho — tym razem już bez pertraktacji i rozgłosu, po prostu tajemnica rodzinna. Ojciec wciąż żyje owymi sprawami, nic dziwnego, choć to właściwie jakieś kalektwo, spętanie, uwiązanie duchowe. Młodzickiego Krzysztofa ocalał wtedy, nie pozwolił wylać ze studiów i wprowadził do prasy, między ludzi legalnych i nie podziemnych, legendarny a niezapomniany redaktor Boruta, wszechwładny w owym czasie szef wydawnictw, on lubił takie historie, Żyd i przedwojenny komunista miał słabość do prawicowców, zwłaszcza nawróconych, uwielbiał efekt, jaki robiło takie nazwisko: oto syn oskarżanego przez całą prasę, złowrogo spiskującego pułkownika Glebowicza prezentuje się na pierwszych stronach partyjnej gazety! Lubił takie efekty stary, gruby Boruta, niech mu ziemia lekką będzie — skończył w osamotnieniu i zapomnieniu, powinęła mu się noga, właśnie partyjna noga, choć nie wiadomo dobrze, za co popadł w tę swoją niełaskę. To się týczyło jakichś starych porachunków komunistycznych, sięgających wojny domowej w Hiszpanii czy pobytu w Rosji podczas Drugiej Światowej. Niedocięzione sprawy, tak czy owak Borutę zmiotło z powierzchni a Krzysztof, potomek legionistów tudzież burżujów, w prasie komunistycznej pozostał i to nawet w okresie drugiego, siedmioletniego tym razem uwięzienia Ojca, kiedy zamknięto wszystkich daw-

nych oficerów bez wyboru. Wtedy również, tym razem na innej, swojej już zasadzie — ale jednak Krzysztof w prasie pozostał. Tak toczy się polski świątek!

Pozostał, i nigdy już, po owych dwóch pobytach Ojca w więzieniu, nie zetknął się z żadnym nielegalizmem; z żadną reakcyjną aferą w ogóle — aż do dzisiaj, aż do sprawy Waczkowicza. Było w Polsce dużo historii tragicznych czy wstrząsających, prowokacje stalinowskie, proces generałów z Anglii i z rzekomej Wielkiej Konspiracji, później oskarżenie przeciw Szeфовi Baryłce i towarzyszom, aresztowanie ich, po latach uwolnienie, powrót do władzy. Ale to wszystko działało się już poza kręgami Krzysztofa i jego spraw czy zainteresowań: on żył niezmiennie w sferze swego zasadniczego przełomu, nabytej wiary w Polskę Ludową i dalszych tego konsekwencji. Nawrócenie to było zakrojone na skalę ogólną, historiozoficzną, w perspektywach oceny nowej, dziejowej sytuacji narodu — to właśnie szerokie, bo obiektywne historyczne spojrzenie, cechujące Krzysztofa, w połączeniu z jego bezpartyjnością, nie tylko formalną lecz i duchową, czyniło z niego publicystę tak cenionego i potrzebnego w „Trybunie Socjalizmu”, która miała być przecież pismem nie tylko dla Partii lecz pismem dla wszystkich. Specjalną tutaj rolę Glebowicza najbardziej doceniali — ciekawa rzecz — Żydzi. Po niezapomnianym Borucie, zajął na długie lata stolec redaktorski stary Dyrektor, kiedyś wielki człowiek Partii, podobno kandydat Rosjan na okupacyjnego Pierwszego Sekretarza, po męczeńskiej śmierci w Gestapo Edmunda Getreidera. Tyle, że Dyrektor, zrzucony na spadochronie, pechowo złamał nogę, w dodatku nawaliło mu radio i nie mógł skomunikować się z Warszawą, wobec czego komuniści warszawscy po próżnym czekaniu, bez porozumienia się z Moskwą wybrali na Sekretarza Szefa Baryłkę, co podobno stało u podstaw jego późniejszej niełaski i uwięzienia. Tak czy owak Dyrektor nigdy już Sekretarzem nie został, objął za to na długie lata coraz w miarę upływu czasu ważniejszą redakcję „Trybuny Socjalizmu”. Był to człowiek ciężki, powoli myślący, ale doświadczony i nawet świątły, można go było o tym i owym przekonać, dbał o pewną niezależność swego stanowiska, dało się z nim pracować.

Ale cóż, około roku 1966 przyszły na Żydów w Partii ciężkie terminy, z jednej strony straciła do nich zaufanie Rosja, w związku ze zmianą polityki wobec Izraela i Arabów, z drugiej, w Warszawie i niektórych województwach parli do władzy Brygadierowcy, wykorzystując możliwość politycznego szantażu wobec żydowskich konkurentów czy niedobitków. Sytuację zżęszyła w mig trójka młodych redakcyjnych arrywistów: bezczelny Kafar-

ski, nieinteligentny Podkowiak i tchórzliwy lecz podstępny Chrapiec. Zatruli oni życie Dyrektorowi, zwłaszcza wprowadzaniem do numeru już po lustracji, w nocy, dodatkowych notatek, wiadomości, komentarzy, których wybór, dobór i kolejność doprowadzały Naczelnego do szału. Sekundował trójce brygadierowców redaktor działu Polemik Zagranicznych Janczycki, utajony semita, może dlatego właśnie ostro antyizraelski. I wreszcie stało się to, co się stać musiało. Glebowicz doskonale pamięta tę scenę. Przyparty do muru w jakiejś redakcyjnej dyskusji Dyrektor, osaczony jak dzik przez psy, całkiem bezradny i wyzbyty sojuszników, bo Krzysztof jako bezpartyjny i w ogóle zakłopotany całą żydowską sprawą nie bardzo mógł się włączać zareagował w końcu honorowo i zagrał po banku. W obecności wszystkich podniósł słuchawkę telefonu, bezpośrednią linią Komitetu połączył się z samym wszechwładnym towarzyszem Mleczką, partyjnym Numerem Drugim i opanowanym głosem oświadczył mu, że „wobec zaistniałej w redakcji sytuacji” zgłasza swoją dymisję. Wszyscy wisieli wzrokiem na jego ustach: Kafarski, Chrapiec, Podkowiak z tryumfalną nadzieją, Glebowicz ze świętą trwogą, Janczycki z miną nieokreśloną, taką wyższą ponad wszystko. No i już po niedługiej chwili widać było, że Dyrektor przegrał — potężne jego plecy zgarbiły się, usta zacięły w krzywym grymasie, tylko wyrazu oczu nie dało się rozeznaczyć, bo skryte były za ogromnymi, czarnymi okularami. W istocie towarzysz Mleczko, dziś już także usunięty i zapomniany, powiedział wówczas Dyrektorowi i to bez namysłu, że dymisję przyjmuje a szczególnie omówi potem. I taki był koniec jednej z największych partyjnych karier.

Stolec Naczelnego objął na parę lat Podkowiak, ale, choć się ogromnie starał, dwoił, troił, wyginał, okazał się za głupi. Długo szukano i wreszcie objawił się Feliks Rajkowski. Stary prawicowiec, endek ze stażem, stary, ale w Partii nowy, bez powiązań tajemniczych w przeszłości, niezbyt pewny siebie, bo dokładnie w wiadomym okresie rozszyfrowany, takich Brygadierowcy popierali. Nowy Naczelnny maskował swą niepewność czy lęki bufonadą, udawał tajemniczego, chętnie snuł bezcelowe intrygi i komplikował rzeczy proste, starając się trzymać tą metodą w szachu i absorbować nieistniejącą w istocie problematykę hultajską trójkę młodo Turków, która szybko zwróciła się przeciw niemu, licząc, że uda się go wygrzyść choćby ze względu na wiek. Naczelnemu sekundował ocalony mimo pochodzenia bo zasłużony we wszystkich okresach Janczycki, tak jednak manewrując, aby nie narażać się i nie dawać okazji młodym ogarom, młodym, bo w połowie od trzydziestki do czterdziestki. Coraz częściej wszyst-

ko skrupiało się na Krzysztofie, Naczelnny niezbyt go lubił, może widział w nim konkurenta w narodowym ujmowaniu komunizmu, może — dumny ze swej nie najstarszej partyjności — chciał powściągać zapędy bezpartyjnego kolegi, może miał jakieś instrukcje — lichy wie. W każdym razie nie najłatwiej się z nim żyło i pracowało, mozolnie, nudnie i uważać trzeba było, bardziej nawet niż z tamtymi, choć czyhającymi wciąż na żer i wolnymi od skrupułów. W dodatku wiedzieli coś o Izabelli — a tu właśnie jak na złość przychodzi sprawa Waczkowicza.

Idąc na spotkanie, niejasno wezwany przez Naczelnego, Glebowicz domyślał się jednak na pewno i zawczasu o co chodzi, od razu czuł, jaka z tej sprawy wieje trwoga. Ona to, trwoga, a także wiadome podejrzenia sparaliżowały w nim urok tak świeżej przecież jeszcze miłości, bał się, że sparaliżowały nieodwołalnie. Nie dzwonił już do Izabelli parę dni, nie pamięta ile, aż się przeraził tej myśli, choć przecież z góry wiedział, że tak się stanie. Ale zadzwonić w końcu trzeba, jeśli nie w sprawie uczuć, to w sprawie taktyki i kalkulacji, wszakże po rozmowie z Rajkowskim informacje i naświetlenia ze strony Izabelli mogą się okazać niezbędne, toć Krzysztof nic w końcu jeszcze pewnego nie usłyszał — tamci dowiadują się w Partii a on zaledwie z łaski od nich. Aby tylko działać dyskretnie. Idąc pieszo do Redakcji wstąpił na pocztę i zadzwonił, zdecydowany położyć słuchawkę, jeśli odezwie się ta wścibska i ironiczna Irka — poznałaby go przecież od razu. Ale odezwała się Izabella, głos normalny, nie zmieniony ani nie zdziwiony jego długim milczeniem — to świadczy przeciw niej, dowodzi, że się przygotowała, że nie jest zaskoczona. Umówili się po biurze w narożnej ale oddalonej kawiarni „Czekoladka”, na galerijce, nie u wszystkich popularnej, gdzie mało kto zagląda. Zresztą na Marszałkowskiej o tej porze natłoczone są bary nie kawiarnie. Izabella pracuje w biurze przepisywań oraz ogłoszeniowo-informacyjnym „Trybuny”, znajduje się ono w drugim, połączonym krętym korytarzem pawilonie, ale uważać trzeba, sprawa nie jest błaża. I oto teraz, próbowany ideologicznie przez Rajkowskiego redaktor Glebowicz wie, że gdy wreszcie stąd wyjdzie, czeka go druga rozmowa — jeszcze cięższa.

... więc obecnie powinniście się odciąć od całej tej... (aha, to Rajkowski dalej mówi, wpadł teraz w swą wiadomą fazę, a tu akurat Krzysztof rekapitulował przeszłość, przebiegał szybko unoszącą się myślą dalekie, syntetycznie przemieszane obszary czasu i stracił w ten sposób całe partie przemowy Naczelnego — mała co prawda w tym szkoda, bo zaraz się wszystko wyjaśni — będzie teraz gadał w kółko i dziesięć razy powtarzał to samo,

zatokował się — myśli, że ma przed sobą samych idiotów jak Podkowiak i Chrapiec czy perfidnych graczy, Kafarskich, Janczyckich — stary bałwan...) ...pokazać ludziom na czym polega kłamstwo i wyrafinowane oszustwo ich tamtejszej rzekomej demokracji... pozorne wybory, w których lud jest bezsilny, bo wygrywa ten, kto ma środki na propagandę i manipulację... zakłamana, skomercjalizowana prasa w rękach koncernów... tylko pieniądz i pieniężna plutokracja decydująca o wszystkim... a fasada, beczelna fasada wolności prasy, opinii, parlamentu, który nic nie może... interesy monopolu, międzynarodowe interesy dyktują politykę... wszystko nazywa się inaczej, niesłychana mistyfikacja, lud oszukany, interesy narodów zdradzone... największym kłamstwem jest prasa, skomercjalizowana, skoncentrowana w rękach karteli... zapewnienie maksymalnego zysku kapitalistycznego wydawcy kosztem wolności słowa... oszukiwanie bezradnego, zniewolonego społeczeństwa za pieniądze... największe kłamstwo historii, niewola, przedstawiona jako wolność... ten Waczkowicz też tylko dla pieniędzy... uwierzył, że to jedyne źródło siły... a oni w swojej prasie robią z tego sabat rzekomej wolności... Wy wiecie, jak było... macie zadanie, elementarny obowiązek... zdemaskować kłamstwa... że nie ma wolnej prasy, że kierują się interesem wielkich grup... interes monopolu utożsamiany z interesem państwa i narodu... kult fałszywej wolności utożsamiany z antykomunizmem... usiłowali nam to sprzedać, zrobić wyłom... Dubczek dał się oszukać, stąd jego kompromitacja... trzeba zdemaskować te niskie intrygi, nadarza się okazja... i właśnie Wy, nikt inny tylko Wy...

Nalana twarz Rajkowskiego z krzywym okiem patrzącym w bok przestaje chwiać się i tańczyć w oczach Glebowicza, urywane fragmenty, okrucieństwa niedosłuchanych zdań nabierają ciągłości, zlewają się w całość, bo oto Krzysztof zaczyna słuchać uważnie, Naczelnym przechodzi do konkretnego, do rzeczy, dla której go wezwał, do realnego polecenia. Po początkowych rozsądnych słowach, kazanie ideologiczne, pełne hysterii i frazesów, kazanie na takim poziomie wobec czołowego i ideowego publicysty „Trybuny” to beczelność, którą pokwitować można było tylko totalnym, jak mówiono w redakcji, zlekceważeniem, natomiast określone zamówienie takiego czy innego okolicznościowego artykułu to niezaprzeczalne prawo Naczelnego a także probierz jego autorytetu, kompetencji, samodzielności, tudzież rzeczywistych choć mniej lub bardziej zmitologizowanych stosunków z Komitetem Partii i jej rządzącym Biurem. Tego warto posłuchać, trzeba posłuchać, musi się posłuchać i — wykonać. Bo inaczej... Aby tylko było sensowne, nie przesadne, nie podyktowane bufonadą

i bluffem, które uczyniłyby rzecz całkowicie niesmaczną. Wtedy bowiem...

...tylko Wy możecie i potraficie znaleźć odpowiednie słowa, sformułowania sytuacji, gdy oto zawiedziony i chciwy grosza karierowicz porzuca naszą wspólnotę w sposób tchórzliwie nie-szczery a tamtejsi macherzy od propagandy zbijać na tym będą swój niecny kapitał, bałamucąc swych czytelników i spotwarzając socjalizm. W tej sytuacji trzeba powiedzieć całą prawdę. Nie o tym renegacie Waczkowiczu oczywiście, jego nazwiska nie trzeba nawet wspominać, niech zostanie jak najprędzej zapomniane, nie będziemy rywalizować ze Zjednoczoną Europą, tak zdecydował Wydział Prasy, bardzo słusznie. Chodzi jednak o to, żeby dać odpór kłamstwu o tej ich „demokracji”, żeby pokazać na czym polega fałszerstwo, jak pod pokrywką rzekomych wolnych wyborów i parlamentu kryje się oligarchiczna, brutalna dyktatura klas posiadających. Ale zróbcie to ostro, bez patyczkowania się, żeby Francuzi, którzy chcą mieć z nami dobre stosunki, zrozumieli w czym rzecz. Polska dzisiejsza coś znaczy, to nie jest już wczorajszy żebrak narodów, który zabiegać musi o uznanie. Stanowimy aktywny składnik miliardowego bloku socjalistycznego, cały świat musi się z nami liczyć. Pamiętacie francuskiego prezydenta G., kiedy tu był przed pół rokiem jeszcze w roli ministra finansów, jakim językiem mówił? Żadnego antykomunizmu, żadnego podkreślania różnicy ustrojów, tylko propozycje współpracy, wymiany, porozumień. A to przecież konserwatysta i arystokrata, nie kocha nas na pewno, tylko, jako realista, wie co się dzieje na świecie. Francja pierwsza złapała wiatr, oni chcą odgrywać rolę w Europie, rozumieją znaczenie Wschodu, zaś bić się za Amerykę nie mają ochoty — zresztą Ameryka też już coś niecoś rozumiała. Więc, skoro ten Waczkowicz zdecydował się zostać akurat w Paryżu a panowie Francuzi zdecydowali się udzielić mu azylu i nadać tej bzdurze rozgłos, przywróćcie ich trochę do rozsądku: nie, że nas to specjalnie boli, ale tak, żeby ich zabolalo. Nie wspominając, powtarzam, o tym idiocie — to byłoby poniżej naszej godności.

— Dziękuję Wam z góry, towarzyszu czy kolego (co na jedno wychodzi) Glebowicz. Nie mogę Wam teraz niestety dłużej służyć, wzywają mnie do Komitetu, zakomunikuję im Waszą pozytywną decyzję, nie wątpimy, że wywiążecie się z zadania zadawałajaco i nie tylko. No to bywajcie, wszystkiego najlepszego...

Uścisk tłustej lecz za małej, bardzo odrażającej rączki Naczelnego, resztki zamglonego chrypą dyszkantu rozpylają się i nikną w powietrzu redakcyjnego korytarza, gdzie w niszce pod oknem

tkwi przy stoliku kolega Janczycki, przeglądając jakiś maszynopis. Szeroki uśmiech na tłustej twarzy tego karła, kobolda czy gнома, choć gnomem przezywano dawnego sekretarza Baryłkę, szeroki uśmiech, który mówi wszystko — że wie o co chodzi i co zlecono Glebowiczowi, że rozumie całą historię do dna, wraz ze wszystkimi implikacjami i podtekstami personalnymi (o nich na szczęście Rajkowski nie wspominał), że sam by się podjął zadania i wykonał je lepiej, ku większej chwale tudzież pożytkowi Partii Robotniczej oraz Socjalizmu, jako że, osobiście w żaden sposób nie wmieszany, kierowałby się tylko obiektywnym sensem wydarzeń. To mówiły jego uśmiech i skłon głowy, skłon znaczący ale i zarazem lojalny wobec decyzji instancji wyższych, którym zawsze podporządkowywał się na pozór bez szemrania, nawet wówczas, gdy po wiadomych sprawach syjonistycznych odebrano mu formalnie kierownictwo europejskiego działu zagranicznego, pozostawiając antyimperialistyczne felietony, dotyczące mniej znanych kraików azjatyckich i łatyńskich, czy jak teraz pisano, „latynoskich”. Przyjął rzecz do wiadomości, zaostrzył pióro i jął kasać Amerykanów ile wlazło. Robił to *con amore*, ale znowu miał pecha, bo po niedługim czasie Drixon pojechał do Moskwy i ton wobec Ameryki bardzo złagodzony, nie rezygnując jednak całkowicie z kąśliwych wypadów na temat zdradzieckiej działalności wrażej Agencji CIA wśród biednych państewek, poddanych jankesowskiej ekspansji tudzież samowoli. I teraz jednak niezawodny ekspert i cudotwórca Janczycki nie speszył się ani okazał zdziwienia — wytrawnie realizował nowe założenia taktyczne, polecano bowiem obecnie subtelne i dyskretne lecz konsekwentne zaznaczanie różnicy między linią Prezydenta USA a samowolnymi poczynaniami niektórych jego współpracowników. Rozróżnienie dyskretne, aby nie urazić Prezydenta czy nie podważyć przedwcześnie jego autorytetu nawet wśród reakcyjnych dotąd zwolenników, boć musi się nimi posługiwać, działając skutecznie także na rzecz odprężenia — z drugiej strony rozróżnienie dość wyraźne, aby dostrzeżone zostało wśród czytelników krajowych, wśród szerokich rzesz partyjnych, gdzie zmiana polityki wobec Stanów mogłaby wzbudzić zdziwienie, wśród pamiętliwych odbiorców owych wieloletnich demaskatorskich ataków na imperialistyczne i wojenne zapędy Waszyngtonu. A przy tym trwał przecież jeszcze Wietnam, kolonia postępowych emigrantów wietnamskich była w Warszawie wcale liczna i wpływową, zadanie nie należało więc do łatwych.

Ale redaktor Janczycki to właśnie specjalista od zadań trudnych i złożonych. Najsubtelniejsze dyrektywy chwytał w lot, ba, przewidywał je, przeczuwał jeszcze przed ich nadejściem z góry,

o co czasem owa Góra miewała do niego lekką urazę — nigdy bowiem nie należy przedobrać i wiedzieć wszystko lepiej od zwierzchników. W istocie jednak Janczyckiemu nic nie można było zarzucić, chyba jedynie pochodzenie, jeśli to komuś i kiedyś przeszkadzało — dziś, za rządów Oraczyka, rzecz nie zdawała się mieć większego znaczenia — przynajmniej na tym szczeblu. Janczycki głębiej rozumiał meandry rosyjskiej polityki i racji stanu niż sami Rosjanie. To był wielki, szachowy mistrz, takie miał hobby. Nie próbował nawet żadnych uczuciowych usprawiedliwień czy rozumowych uzasadnień, na przykład, że rosyjska racja stanu jest dziś tożsama z polską racją stanu. Nie uzasadniał, nie tłumaczył — po prostu realizował. Ale jakżeż bezbłędnie: czysta mistrzowska gra!

W sprawach europejskich było to ostatecznie nie tak trudne, ale Janczycki okazywał się bezbłędny w ocenie problematyki kraików nieznanych czy nowych, jakichś świeżo utworzonych republik afrykańskich, które nie miały jeszcze nawet ustalonej nazwy i wobec których sami Rosjanie nie od razu obierali zdecydowaną linię postępowania. Ale Janczycki uprzedzał ich, decydował za nich i znowu okazywał się bezbłędny: jakaś mała, niepozorna notka, przemycana czasem ku nieuwadze Biura Prasy i Cenzury (cenzurę oficjalnie wobec „Trybuny Socjalizmu” uchylono, ale delegat jej przeglądał jednakże numer w drukarni na maszynach) mała notka niedostrzeżona dowodziła po fakcie, iż B.J. czyli Bolesław Janczycki wiedział z góry, jak pokieruje się polityka Związkowego Mocarstwa, jeszcze zanim sami Rosjanie zdecydowali się ująć rzecz we wstępne aluzje i domyslniki. Mistrz, prawdziwy mistrz!

O tej zdolności Janczyckiego opowiadano sobie w redakcji niechętnie cuda, niechętnie, bo pomieszone z zazdrością i nieufnością, jakie odczuwamy zawsze wobec nadmiernie wszechwiedzących. Cuda historyczne: wspaniale popisał się na przykład w początku lat pięćdziesiątych, gdy Rosjanie z dnia na dzień zrezygnowali ze stalinowskiej tezy, domagającej się zjednoczenia Niemiec („lud niemiecki jest jeden i ma prawo do jednego państwa”) na rzecz koncepcji trwałego podziału tychże Niemiec na dwa państwa. Z dnia na dzień zmienić tezę, arcytrudne zadanie — a tu Janczycki ani mrugnął okiem, sypnął lawiną potocznych słów i czytelnicy wcale się chyba nie opatrzyli, że wczoraj słyszeli coś przeciwnego niż dzisiaj. Z kolei w końcowych latach sześćdziesiątych cudotwórca unikać zaczął rozróżnienia terminologicznego na Berlin Wschodni i Berlin Zachodni, twierdząc, że istnieje tylko Berlin, stolica NRD, a o eksterytorialnej, zachodniej enklawie miasta, gdzie dopuszczono do kontroli Alianckiej nie

warto wspominać: starzeje się, ludzi tam nie przybywa, skazana jest na zagładę. Dziwiono się tej innowacji, młodoturcy czepiali się Janczyckiego, aż tu z Biura Prasy przyszło potwierdzenie: należy odzwyczaić ludzi od podziału Berlina, niech zapomną o dwóch Berlinach. Janczycki górą, jeszcze raz.

Nie pomylił się też nigdy, kiedy zaskoczono wszystkich nagłą zmianą skrótu NRF na RFN. NRF to była Niemiecka Republika Federalna, czyli burżuazyjne i bogate Niemcy Zachodnie, do czego się wszyscy przyzwyczaili. Niespodzianie ktoś z Biura zarządził, aby zmienić to na Republikę Federalną Niemiec, czyli RFN. Miałoby to lepiej odpowiadać strategii politycznej naszego Obozu: Niemiecka Republika Federalna to brzmi jak coś ogólnoniemieckiego, podczas gdy Republika Federalna Niemiec to nic innego jak jedna z paru niemieckich republik. Zgoda, choćby ktoś miał nawet jakieś zastrzeżenia językowe czy merytoryczne, rzecz jednak w tym, iż skrót En Er Ef wymawia się gładko, zwłaszcza po wieloletnim przyzwyczajeniu, za to Er Ef En brzmi obco i chropawo. Wszyscy mylili się, wyłamywali język, ale nie Janczycki — ten nie potknął się nigdy ani w słowie ani w piśmie. A przecież nawet Glebowiczowi Naczelný publicznie zwrócił kiedyś uwagę, że korektorzy poprawiają mu w składzie NRF na RFN, co po freudowsku można by tłumaczyć najrozmaiciej...

Tak, Krzysztof wie, że Janczycki lepiej wywiązałby się z tego rodzaju zamówieniowego artykułu niż on. Jemu bowiem najlepiej pisały się szerokie perspektywy i rzuty historyczne, choćby nawet na wskazany temat, jak ten o Konstantynie Leonidowie i jego orderze „Virtuti”, lecz dające okazję do skorygowania błędów i uprzedzeń dziejowych — miał wtedy rozpęd, szczerý zapał, bo to wszakże rzeczywisty problem jego życia, jego przełomu. Sprawy ustrojowe mniej go podniecały, choć nie wątpił o kłamstwie i perfidii Zachodu, pamiętał przecież samotną tragedię Polski z września 1939. Lecz pamiętał także, jak kończyć się mogą odmowy napisania tego lub owego. Kiedyś Rajkowski usiłował wymusić na nim napisanie artykułu przeciw Chinom, dostarczył nawet mnóstwo materiałów, w postaci między innymi sprawozdań radzieckich z rozmaitych dyskusji i konferencji. Gdy Glebowicz odmówił, Naczelný po paru tygodniach przyniósł olbrzymi, gotowy artykuł na trzy stronicie „Trybuny”, artykuł niewiadomego pochodzenia, pisany całkowicie stylem prasy radzieckiej. Redaktor żądał tylko, aby Krzysztof podpisał go imieniem i nazwiskiem, gdy zaś ofiara odmówiła, Kafarski i Chrapiec jeli czynić usługę aluzję na temat niektórych członków redakcji usposobionych narodowo, co objawia się w niezbyt tajonym przekonaniu, że zdradzieckie, maoistowskie Chiny są natu-

ralnym sojusznikiem Polski przeciw Związkowi Radzieckiemu z jego omnipotencją. Teza nie wymagająca komentarzy: wróg klasowy i narodowy zamaskowany w Redakcji. Był to jawny absurd, przeczący wieloletniej prorosyjskiej i proślówiańskiej publicystyce Glebowicza, ale Naczelný, czując smród w powietrzu, boć sam był z pochodzenia narodowcem wpadł w popłoch i zachował się arcy brutalnie — zresztą na pewno miał nóż na gardle, jasne, że zarówno artykuł jak i postulat sygnowania go przez konkretnego publicystę „Trybuny” pochodziły z samego Biura. Po scenach, awanturach i targach Krzysztof zgodził się wreszcie podpisać rzecz, ale tylko literami K.G., z warunkiem jednak przededagowania tekstu, to znaczy po prostu przerobienia go na polszczyznę. Warunki przyjęto po dwóch dramatycznych dniach, po czym Glebowicz, kontrolowany przez specjalnego lektora z Komitetu prześlęczał parę dalszych dni i nocy nad korygowaniem tekstu — chodziło o pośpiech. Wreszcie artykuł średnio poprawiony, bo sprawa okazała się zbyt trudna, pojawił się, olbrzymi, na środkowych, rozkładowych stronicach „Trybuny”, sygnowany w dodatku nie, jak było umówione, literami K.G., lecz kryptonimem K.Gl. — aby nikt już nie miał wątpliwości. Protesty nie zdały się na nic — była to czarna karta w publicystycznej karierze Krzysztofa. W dodatku młodoturcy dowiedzieli się, co go boli i jak go bić, a Naczelný przekonał się, co może grozić, gdy ulegnie przesadnym ambicjom i wrażliwościom swego publicysty. Fatalna historia!

Tak więc, odmawiać było niebezpiecznie. Wprawdzie temat o zakłamanej demokracji kapitalistycznej nie nastroczał tyłu zasadzek i trudności co kosmiczne i apokaliptyczne Chiny, ale był śliski wobec utajonego tła personalnego, czyli prywatnych spraw Krzysztofa, o czym dotąd, na szczęście nikt nie wzmiankował, chyba tylko obleśnie aluzyjny, porozumiewawczy uśmiech Janczyckiego. Co prawda może to tylko złudzenie, nadmierna podejrzliwość oprymowanego, osaczonego przez przesadne lęki Krzysztofa? Może. Tak czy owak rozmowa z Izabellą wyjaśni wiele, a na tę właśnie rozmowę podąża teraz redaktor Glebowicz wśród wyrojonego z biur, mizernego jakiegoś sierpniowego tłumu na Marszałkowskiej. Mizernego, bo pora urlopową, a tu bezsłoneczna parność czyni z ulicy łaźnię. Wszystko to nie usposabia dobrze Glebowicza i tak pełnego duchowych niesmaków oraz nadgryzanego tremą, dotkliwą, gdyż podwójną: osobisto uczuciową i ambicjonalnie polityczną. Aż mu się robi duszno i słabo, nim przejdzie owe parę kroków do umówionej „Czekoladki”.

Jakaś to z gustem zrealizowana parodia zakątką intymnego, ustronnego, oderwanego: istny gołębnik, do którego wchodzi się

po niewygodnych, krętych schodach z dużej sali kawiarni. Schody są dosyć ukryte, ktoś więc pomyślał o konstruowaniu miejsc tajemniczych w budującej się na nowo od początku Warszawie. Sekrety miast narastają wiekami, nawarstwiają się mozolnie, zaczynając od podziemnych przejść, piwnic, korytarzy, kanałów, od tych korzeni ludzkiego mrowiska. Ale Warszawa, boleśnie, bezwstydnie wybebeszona, odwrócona do góry podszewką najpierw przez straszliwe powstanie w getcie a później przez generalne, słynne wyniszczenie sierpniowe nie miała już nic ukrytego, nawet kanały spenetrowano i sprofanowano, wszystko znalazło się na wierzchu, zbezczeszczone i w końcu spalone. Zgliszcza mało szacowne, bo zbyt bezwstydne — oto Warszawa bezpośrednio po Powstaniu, jak ją zapamiętał Krzysztof idący do niewoli a potem, po klęsce Niemiec wracający na te same, choć spetryfikowane przez zimowe mrozy resztki cegieł i bruków. Wielkomięskie tajemnice nie prędko się tu odrodzą, tak przynajmniej można było sądzić, tymczasem proszę: jakiś domorosły architekciak zmagistrował oto przed piętnastu już chyba laty tę naiwnie lecz wzruszająco zamaskowaną antresolkę, gdzie zresztą nikt nie przychodził, bo niewygodnie tu jest, ciasno, zaledwie parę stolików, a duszno zimą czy latem, jako że fantazyjny ów konstruktor zapomniał sobie o wentylacji.

Izabelli nie widać jeszcze, co zmartwiło Krzysztofa, nie chciał czekać i denerwować się, znał podgryzające działanie tremy a namyślać się nie miał nad czym — wiedział wszystko instynktownie, poza myślami, wiedział od samego początku. Na szczęście oczekiwanie nie okazało się długie, już po chwili na dole zamajaczyła sylwetka Izabelli, dziewczęca sylwetka, uroczą — ale cóż teraz po tym uroku! Glebowicz rozumie doskonale: koniec romansu, wkroczyły oto między nich inne sprawy, na nic więcej nie ma już miejsca. Szkoda — ale już nawet nie odczuwa żalu, tylko niepokój, tremę — jak się z tego wyplątać?

Izabella byłaby na pewno blada, gdyby nie róż i szminka, w kącikach ust ma małeńkie krople potu, skronie też podejrzanie błyszczą, co zresztą, ledwo usiadłszy, stara się po trochu zneutralizować pudrem. Upał w mieście działa jakoś gnilnie, człowiek jest nieświeży, upodabnia się do trupa, którym kiedyś będzie. — A więc wreszcie zdecydowałaś się spotkać ze mną — to pierwsze słowa Izabelli, jednocześnie przerwała na chwilę pudrowanie się, by, niczym sieć czy wędkę rzucić Krzysztofowi dłuższe spojrzenie ciemnych swych oczu. Jakież znaczenie ma ten postępek, ten gest, wszystkie gesty, jakiekolwiek by były, jeśli ulotniła się z nich skutecznie uwodzicielska magia, a autorka tych

gestów jest tylko zmęczoną, przybladłą i co najgorsze spoconą młodą kobietą?

Zmęczona jest wyraźnie, choć nadrabia miną, hardością, agresywnością robioną na pokaz, sztuczną. Bezradna dziewczyna, tym ci gorzej, bo potrzebuje opieki, na którą Glebowicza wcale nie stać. — Czy miałaś jakieś przykrości? — to jedyne pytanie, które mu się nasuwa, jest w nim przecież i odcień troskliwości. Ale ona wybucha, urażona sztucznie czy rzeczywiście. Co on ma właściwie na myśli, czyż utrata męża i całej sytuacji życiowej to nie jest dostateczna przykreść, to jest może przyjemność, choćby nawet przyjąć, założyć, że tego męża nigdy nie kochała?! Nie, jeśli rozumie o co Krzysztofowi chodzi (pewno o własną skórę, Izabella zna przecież życie) to żadna przykreść jej jeszcze nie spotkała, nigdzie jej nie wzywano, nie przesłuchiowano, pewno jest jeszcze na to za wcześnie, oni nie działają tak szybko (jacy „oni” — tego nie precyzowała). W pracy też nic się nie wydarzyło, jeden redaktor Kafarski zrobił jakąś aluzję, ale na szczęście nie przy ludziach, w cztery oczy — Irka akurat wyszła.

Krzysztof przypomina sobie o jakichś starych plotkach, że Kafarski i ona... To go usztynia, oziebia, zapytuje teraz ostro i rzeczowo, jak na przesłuchaniu, czy wiedziała o tym, że pan Wackowicz miał zamiar... Izabella jest tym podrażniona, przez sekundę chyba zamierza znowu wybuchnąć, zareagować obraźliwie, jak przed chwilą, gdy z góry już wypomniała, że Krzysztof dba o własną skórę, że zachowuje się nie po dżentelmeńsku, co zresztą jest zarzutem łatwym i płytkim, w dodatku czysto intuicyjnym, jeszcze nie udokumentowanym. Widocznie pani Wackowicz to czuje, bo nagle zmienia ton, przechodzi na pół głośne, dramatyczne lecz może ze względu na dyskrecję i podsłuch stonowane zwierzenia. Nie, ona nie domyślała się, że Marian... To znaczy, owszem, on często mówił takie różne rzeczy, zresztą Krzysztof wie, słyszał to nieraz, jeździł przecież razem z nim do Paryża (— Nie odmówiła sobie tego, zbiera punkty, mała spryciunia — myśli Krzysztof), ale nie kojarzyła, nie przywiązywała do tego wagi, w sumie — nie wiedziała. Została zaskoczona, świadkiem Mama, z Mamą zresztą ogromny kłopot, największy kłopot, niczego nie rozumie, jest wzburzona, dowiedziała się czegoś przypadkiem, na szczęście nie wszystkiego, te plotki... Czy Krzysztof w razie nagłym mógłby z nią porozmawiać, albo ewentualnie... Problemy finansowe w tej chwili nie grają roli, ale nerwy, mieszkanie, niepewność... I co właściwie Krzysztof wie o całej sprawie, bo one...

Krzysztof z kolei przypomina sobie dopiero o mamie wa-

riatce, którą raz czy dwa razy widział. Tak, to pewna komplikacja, trzeba ten czynnik mieć na uwadze. Oczywiście, ani mu w głowie z nią się spotykać, w jakim charakterze właściwie, natomiast cieszy go, że sprawy wkraczają na teren rzeczowych zwierzeń, nie tyle zresztą zwierzeń, co informacji. On też Izabelli coś opowie, powiadamią się wzajemnie, komunikują sobie ostatnie wiadomości, podstawowe informacje o przebiegu wydarzeń, jak współnicy, których coś kiedyś łączyło a teraz chcą tylko wypłacić się ze wspólnie grożącego niebezpieczeństwa, przeprowadzić bezbolesną likwidację (czego? — każde z nich czego innego). To jest platforma, realna i pożyteczna, aby tylko Izabella utrzymała się na niej i nie wybuchnęła znowu agresywnymi pretensjami, do których zresztą nie ma najmniejszego tytułu, nic jej przecież nie obiecywał, niczego sobie dotąd nie dopowiadali. Ale na szczęście Izabella jest już coraz bardziej rozsądna, widać i jej odpowiada płaszczyzna beznamietności w tej rozmowie. Łatwo udaje się teraz wyperswadować sprawę Mamy i bezcelowości projektowanej rozmowy z Krzysztofem, dobrze, Izabella weźmie to na siebie. Za to Krzysztof sprzedaje jej te niewiele informacji, które ma, wspomina też o zamówionym przez Rajkowskiego artykule. To ją denerwuje, długie, ciemne rzęsy zaczynają drżeć, uspokaja się jednak, gdy słyszy zapewnienie redaktora Glebowicza, iż nie padnie tam nazwisko jej męża, że prawdopodobnie nie padnie ono w prasie czy radiu w ogóle, bo tak zdecydowały Partia i Rząd, Komitet i Biuro, jest to w ich interesie, jasne, proste. Artykuł Glebowicza może być jedyną ceną, pośrednim zamknięciem sprawy, jej pokwitowaniem i likwidacją. Glebowicz będzie miał wtedy rozwiązane ręce i ewentualnie pomoże, gdyby spotkały ją jakieś kłopoty osobiste, chociaż on tego nie sądzi, jakaś rewizja czy przesłuchanie, to by rozbabrywało sprawę a nie leżałoby w niczym interesie Partia jest dziś zbyt silna i zbyt wytrawna, żeby... Na wszelki wypadek niech ona skontroluje papiery po mężu, niech sprawdzi co ma w domu i niech...

Rozmawiają teraz jak dwoje współników, Izabelli to wyraźnie odpowiada, wdaje się z kolei w arcyrzeczowe szczegóły, jak będą się komunikować, telefonicznie czy listownie, bo jasna rzecz, że nie mogą się teraz pokazywać razem, w każdym razie do czasu ukazania się artykułu Krzysztofa nikt nie powinien widzieć ich razem. Ulotniła się gdzieś całkiem początkowa, agresywna nerwowość Izabelli, teraz tylko jawi się rzeczowy rozsądek, dotyczący konkretów, aż się Glebowiczowi robi smutno, choć przed chwilą jeszcze odżałował był tę miłość, odpisał ją na straty, powodowany przesadnym jak widać lękiem, że Izabella,

powołując się na ich stosunek, zażąda zbyt wiele, zażąda niemożliwego. Tymczasem ona niczego jak na razie nie chce, pretensji żadnych nie zgłasza, nawet z tą Mamą się wycofała a sprawa artykułu, po wyjaśnieniach, wyraźnie ją uspokoiła. Może przesadna z niej optymistka, ale lepsze to, niż histeria. W takim zaś razie cała uprzednia Krzysztofowa panika była przedwczesna, a jeśli tak, to trochę wstyd (przed samym sobą, przed Izabellą się przecież jeszcze nie zdradził) i trochę szkoda. Czego szkoda? Miłości, może nie jest jeszcze niemożliwa. W tej chwili nie ma jej między nimi na pewno, upał, zmęczenie, konspiracyjna nerwowość — to wszystko sprawiło, że uczucie się ulotniło, jest na razie wygnane, ale przecież nie anulowane, nic takiego nikt jeszcze nie powiedział. Trzeba jednak jakoś do tej sprawy nawiązać, tego wymaga przyzwoitość (teraz dopiero?), przezorność i... chyba jeszcze coś. Krzysztof czeka na przerwę w rozmowie, na chwilę ciszy, aby zmienić temat, aby coś natrącić, zwalnia ową rozmowę, szuka natchnienia w żółtych ścianach oświetlonych mdłym, odbitym blaskiem pseudo kryształowych kandelabrow z dużej sali, bo okien w tej skrytce oczywiście nie ma. I wreszcie, nadarza się okazja. — A my, jakżeż my będziemy żyli? — pyta cicho, drżącym nieco z niespodziewanej, trochę nieczystym sumieniem i chęcią ekspiacji podszytej emocji. Izabella natychmiast rozumie i podchwytuje temat. — Nie sposób żyć bez miłości — mówi cicho, a jej długie rzęsy drżą wyraźnie i na pewno nie sztucznie. Co to znaczy? Wszystko i nic, wszystko może być przed nimi, ale nic nie zostało określone, nie ma obietnic ani zobowiązań. Więc cofnęli się od tego, co było? Krzysztof czuje nagle „lutość” w gardle, jakby się miał rozpląkać czy też gorzko roześmiać. Ale nie miejsce i nie czas na to, Izabella już się spieszy, a wiadomo, że on jej nie odprowadzi, że wyjdzie sama, bo przecież ludzie nie mogą ich razem widzieć. Jest teraz wolna a jednak bardziej uwięziona niż przedtem. I bardziej niedostępna, choć niby wszelkie warunki zewnętrzne, tak w Warszawie kłopotliwe, są teraz idealnie po ich stronie: dyskrecjonalna garsoniera Glebowicza, jej ukwiecone mieszkanie, puste całkiem do piątej popołudniu. Są wolni a coś ich od siebie odgrodziło, coś w końcu natury psychicznej, nie te trochę wyimaginowanych raczej niż konkretnych redakcyjno politycznych trudności „Jest już bez męża, a jednak bardziej ją utraciłem niż zyskałem” — myśli Glebowicz. Czy to jego podejrzania i tchórzostwo, przedwczesne tchórzostwo odegrały tu rolę, czy też to ona ustawiła tak rzecz świadomie? A jeśli ona, to trzeba by zdobywać ją po raz drugi i tym razem chyba naprawdę, bo tamto było na niby. Gorzka myśl o tym, jak niewiele znaczyć

mogą związki fizyczne nawiedza oto Krzysztofa, rzekomego warszawskiego Don Juana, gdy machinalnie obserwuje smukłą dziewczęcą sylwetkę, niknącą na dole w osłoniętych mimo lata kotarą drzwiach mało stosunkowo popularnej kawiarni „Czekoladka”. Jest już po czwartej, upał trwa, upał i zbliżająca się niewypowiedziana czczość samotnego sierpniowego popołudnia.

VIII

„Stary Józio” wiedział, że jest Starym Józiem, ale nie cierpiał nad tym, że go tak nazywają, przecież wymyśliła to zwariowana Teresa, którą lubił, choć uwodziła Janusza — co prawda uwodzenie owo nie przeszkadzało Józiowi tak bardzo, jak niemądrej Annie, ale bądź co bądź stwarzało jakieś napięcia i dwuznaczności. Teresa była oczywiście osobą, jak to mówiono w nowej polszczyźnie, „kontrowersyjną”, ale dzięki temu jest żywa, nie jakaś woskowa lala czy nakręcona marionetka jak inni. Józio czyli Józef Glebowicz miał obecnie lat 76, mimo to uważał się za jedynego obok Teresy żywego człowieka w całym tym rodzinno mieszkaniowym środowisku, w jakim tkwił chcąc nie chcąc, niby w jakimś dziwnym getcie: człowiek z wiekiem traci znajomości i przyjaźnie, zdany jest na resztki, które pozostały mu z przeszłości lub na związki automatyczne czyli przypadkowe, wynikłe z powiązań rodzinnych. Zaś dawne znajomości i bliskości utracił wszakże wyjątkowo dokładnie, choć miał ich też wyjątkowo dużo: wojna, okupacja, Powstanie, terror stalinowski, wszystkie te kataklizmy operowały przede wszystkim w jego środowisku, wojskowo-politycznym, niepodległościowym. Paru zaledwie towarzyszy i świadków życia pozostało, głównie w Londynie i w Kanadzie, nawet więcej tam niż w obecnej Warszawie. Niezwykłe swoją drogą, rzadkie w historii losy pokolenia, a dzisiejsi warszawscy chłopcy, nie tak bardzo przecież odmienni od tych, co przed trzydziestu zaledwie laty rzucili się na Niemców prawie z gołymi rękami, pojęcia teraz nie mają o niczym, wyjątkiem są tylko tacy dociekliwi młodzieńcy jak Janusz i jego przyjaciele z Marca 68. Bo w dzisiejszej Warszawie, żeby dowiedzieć się czegoś o bezpośredniej nawet przeszłości, trzeba z wysiłkiem i samozaparciem ryc w bibliotekach i archiwach, tych jeszcze nie skonfiskowanych,

nie ocenzone i nie wytrzebione (to bądź co bądź Polska, gdzie panuje „dyktatura złagodzona przez bałagan”, w Moskwie nikt z plebsu nie ma dostępu do prawdziwych archiwów, a w tych dostępnych nie ma niczego prócz propagandy), żeby jednak podjąć się znużającego i specjalnego wysiłku rycia w starych papierach trzeba WIEDZIEĆ, że istniała jakaś przeszłość, całkowicie odmienna od tego, co przedstawiają teraz oficjalnie, czego uczą w szkołach. Unicestwienie przeszłości, przewidziane i opisane podobno przez niejakiego Orwella staje się faktem, bo przeszłość jest największym wrogiem komunistycznej teraźniejszości. Jest niebezpieczeństwem, mogącym po latach zmaterializować się i uderzyć zwielokrotnionym rykoszetem — stało się to na przykład w przypadku Januszowego „asystenta”, młodego robotnika Bogdana, którym tak bardzo wstrząsnęło odkrycie paktu Ribbentrop-Mołotow, jako że o pakcie takim nigdy przedtem nie słyszał. To, że przeszłość sprzed trzydziestu paru lat, dotąd szczelnie zakryta i przeznaczona, mogła nagle objawić swe nowe choć stare oblicze, swoją zatajoną treść demoniczną i perfidną, stało się dla „prostego człowieka” wstrząsem, a ze wstrząsu takiego wyniknąć jeszcze mogą konsekwencje wręcz nieobliczalne, o czym zresztą Stary Józio, doświadczony konspirator, milczał jak zaklęty. Tak, przeszłość żyje nadal, bez przeszłości nie istniejemy, oparł się na tym wielki samotnik Aleksander Sołżenicyn, na własną rękę przywracający Rosji jej utracone, jakby wytarte przez kogoś gumą z kalendarza, kilkadziesiąt lat straszliwej historii. Stary Józio nie wierzył w mijanie przeszłości, wszystko było dlań jednakowo żywe, wszelkie etapy swojej wędrówki traktował współrzędnie, od owej wiosny gdy siedemnastoletni chłopak, uciekł do Legionów i, sfałszowawszy sobie datę urodzenia, brał udział w walkach z Moskalami nad Styrem i Stochodem. Od tego czasu minęła przecież tylko jedna psychiczna chwila i dlatego Stary Józio nie czuł się wcale Starym Józiem lecz tylko Józiem i wesoło przyjmował nadane mu przez Teresę przezwisko.

Czuł się też jedynym obok niej żywym człowiekiem wśród „towarzystwa z Wiejskiej”, bo, podobnie jak niefrasobliwa Teresa, miał myśli różne, niestabilizowane, niejednokrotnie przeczące sobie nawzajem, podczas gdy inni, ludzie dzisiejsi, żyli wypełnieni poszczególną myślą, każdy swoją, jak nakręcone z osobna marionetki. Na przykład jego własny syn, Krzysztof. Chodzi po Warszawie owładnięty jedną, jedyną, maniakalną ideą, że oto „nieugięte” (tak oni lubią mówić) prawa historii stworzyły Trzecią Polskę, sowiecką i komunistyczną, oraz że on to właśnie ma istnienie tej Polski piórem uzasadniać, upiększać upatetyczniać. Dlaczego akurat właśnie on? Musi przecież kłamać każdym słowem,

bo każde, choćby na swój sposób słuszne słowo o Zachodzie, Niemcach, przyszłości Europy staje się automatycznie fałszerstwem, jeśli brak mu tła z drugiej strony, jeśli musi się milczeć o Wschodzie, o przeszłości i genezie faktów, jeśli przedstawia się tylko geometrycznie odkrojone pół sprawy. Kłamstwo dokonywane z przekonania to najbardziej przygnębiające z kłamstw. Mamy najbardziej odrażająco kłamiących dziennikarzy spośród wszystkich komunistycznych krajów — w innych „bratnich” ludowych republikach kłamią albo z głupoty czy niewiedzy, albo ze strachu, panicznego strachu. Natomiast w Polsce o jakiegokolwiek niewiedzy mowy nie ma, boć ci spryciarze z prasy wiedzą tu wszystko, a i na Zachód jeżdżą bez przeszkód, o strachu też trudno mówić, mniejszy on tutaj niż gdzie indziej, owszem, zabraniają pisać i gadać, ale za to nikt do gadania czy pisania nie jest zmuszany, przymus ma naturę wyłącznie negatywną, przeciwnie niż w Chinach czy NRD, gdzie, chcąc żyć, trzeba mówić, trzeba deklarować. Jeśli więc nie przymuszani kłamią, robią to z karierowiczostwa, na zimno. Ale najgorszy, bo chorobliwy jest wypadek, gdy ktoś kłamie z przekonania — wie, że kłamie, ale uznaje rzecz za konieczną, za zbawienną, za patetycznie historyczną i historycznie patetyczną, w dodatku że to niby on, absolutnie on musi to robić, nikt inny, lecz koniecznie on, bo to jego misja, on przejrzał dzieje i tajemny sens prawdy, która rodzi się z kłamstwa przez powtarzanie: rzekomo kłamstwo powtórzone tysiąc razy i nie napotykające na niczyj sprzeciw staje się prawdą, bo prawda jest po prostu pewną odmianą ludzkiego przeświadczenia. To przekonanie właśnie wydaje się u Krzysztofa niehumanitarne, najgorsze ze wszystkiego. Podobną duchową prostytutkę uprawiał też Adam Mirewicz, przedwojenny poznański „sanator”, podczas wojny lojalny funkcjonariusz emigracyjnego rządu w Londynie, a po wojnie niemal od razu wiceminister spraw zagranicznych Polski Komunistycznej, dziś od niedawna emeryt, pisujący teraz bezinteresownie te same sowieckie kłamstwa, lepiej je zresztą podając od samych Sowietów. Ale Mirewicz to stary dyplomatyczny automat, którego owa wieloletnia, cyniczna lecz podniecająca gra tak osobiście wciągnęła, że na starość, miast bezczynności, bawi się sam ze sobą w pokera. Dlaczego jednak podobnie niehumanitarne i automatyczny jest Krzysztof, wychowany w domu owianym historią i wolną Polską, Krzysztof, który przecież wie wszystko i pamięta wszystko?! Nie ma w nim wszakże dzisiaj nic ludzkiego, chyba ów uporczywy erotyzm, ale to znowuż, w jego wieku zwłaszcza, po trochu odrażające i nic dziwnego, że ta biedna, niezbyt mądra Anna w końcu załamała się nerwowo.

Jeśli z Krzysztofa zrobił się jednostronny automat, to co

dopiero mówić o innych! Cóż to za osobliwy łańcuszek neurotycznych manii nanizano na nić ludzką, oplatającą dziś „Starego Józia”. Obok Krzysztofa Anna, opanowana wyłącznie ideą życia pozytywnego, przez co rozumie zbożną pracę, trwałe małżeństwo i nie mieszanie się w żadną politykę. Jej brat — jeszcze węższy, jeśli to możliwe: tylko praca i ból, że Partia się zmienia, więc nie można jej służyć, bo zanim się człowiek nauczy jednego, już trzeba robić co innego i jest się nie na linii czy nie na etapie. Ale zastanowić się nad tą Partią i nad przyczynami zmian linii, to już nie łaska, to wykracza poza plan życia. A skąd ten plan?! Z powietrza, lecz gęste tutaj jakoś i sugestywne panuje powietrze, skoro w sposób niezauważalny tak ludzi urabia. To już lepszy jest Gnatek, król jednostronności, ale za to świadomej, z wyboru, czego nie ukrywa: chce mieć pogląd uogólniony, na swój sposób umotywowany, który usprawiedliwiałby dobre samopoczucie w pracy, robienie kariery z przekonaniem, że to i dla Polski i dla siebie, w zgodzie z prawami świata. Może i ma gdzieś na dnie wątpliwości, może i nie, ale umie je stłumić, bo to „chłopek-roztropek”, cyniczny oczywiście, ale i szczerzy, mniej zakłamaný. Jedna myśl go ożywia, jedna idea: kariera, polityczna kariera. Czy to jest idea? Słowa różną mają barwę!

Ale ci bliscy, chłopcy, ci naprawdę ideowi i bezinteresowni, ideowi przeciw sobie samym, też są jednostronni, owładnięci jedną tylko myślą: komunizm ich zaczarował, negatywnie, ale zaczarował. Stary Józio właściwie przewidywał, że tak się kiedyś stanie, przewidywał wówczas, przez owe pięć lat niemieckiej okupacji, gdy codziennie, w dzień i w nocy ryzykowało się życie. Już wtedy, choć nigdy się nikomu do tego nie przyznał, wiedział, że to się okaże z czasem do niczego zgoła niepotrzebne. Z czasem — ten czas przyszedł właśnie teraz. Cały wysiłek konspiracyjny poszedł na nic, okupacja dla przyszłości okazała się jałowa, posłużyła tylko komunizmowi, nobilitowała go, że walczył z hitleryzmem, choć walczył przymuszony i to w okolicznościach kompromitujących. Właściwie skompromitowali się wszyscy, gdy w sercu chrześcijańskiej Europy, na oczach owych wszystkich a także z ich winy, powstało i rozwinęło się coś takiego jak hitleryzm. Dziś owi wszyscy wołają o tym milczeć, bohaterska polska konspiracja okazała się właśnie dla polskiej przyszłości jałowa, młodzież nic z tego nie wie, najlepsi jej, ideowi przedstawiciele, taki Janusz, Henryk czy Bogdan zajmują się obecnie tylko komunistami. Józef Glebowicz przeczuł to, przeczuł już przed wielu laty, podczas wojny i po niej, dlatego tak pokierował swoim działaniem i później procesem, jak pokierował. Zawsze, od początku okupacji, nawiedzała go myśl, że hitlerowskie Niemcy są czymś przejściowym,

anormalną plagą, wrzodem na ciele historii, że wrzód pęknie i minie bez śladu, a sprawa polska rozstrzygnie się w konfrontacji z Rosją i z komunistami, z nikim innym i zawczasu trzeba się przygotować, aby tę właśnie a nie inną problematykę rozegrać. Wojsko polskie było już nieważne, tak myślał Józio, choć zawodowy wojskowy, może dlatego, że tak myślał i że to się udzielało, nie dał mu Londyn nominacji na generała, choć rzecz była po Powstaniu zgłoszona. Dla niego liczył się tylko manewr z komunistami, ale tego nie rozumieli inni, zwłaszcza apodyktyczny i opętany z czasem ideą walki zbrojnej na ulicach Warszawy generał Lubiński. W rezultacie manewr się nie udał, a raczej w ogóle go nie przeprowadzono. Dopiero na procesie pułkownik Józef Glebowicz uskutecznił, na swoją skalę, udaną już zagrywkę: on to pomanewrował tym razem komunistami, nie oni nim. Ale mało to kto rozumiał, warunkiem powodzenia manewru była tajemnica. Nie obowiązuje ona wiecznie, Stary Józio ma już rzecz opisaną i manuskrypt zdeponowany gdzie trzeba, ale nie może pokazać tego jeszcze choćby tej niemądrej Annie, która zatruwa mu życie. Zresztą nie rozumiałaby, czas po temu przeminął, polski czas, co niweluje wszystko i sprawia, iż wszelkie, tajne czy jawne wysiłki idą tu po społu a solidarnie — na marne.

Janusz, Henryk, Bogdan, oczywiście, to są na pewno najlepsi, to są następcy, dziedzice tamtych czasów. Ale też już napiętnowani, naznaczeni, obciążeni jałowością. Sowiecka cisza — tak określił kiedyś sytuację w krajach komunistycznego Wschodu pewien warszawski choć z Poznania się wywodzący krytyk, człowiek bardzo inteligentny i przenikliwy antylewicowy szermierz, który niestety w czasie okupacji stał się prohitlerowskim kolaborantem — rzadki w Polsce wypadek. Niestety czy stety, boć kolaborowali Francuzi, Belgowie, Duńczycy, Holendrzy, w ogóle wszyscy — byle się ratować. Tylko w Polsce, która pierwsza dostała od Hitlera po skórze na polu bitwy a nie w konferencyjnych gabinetach, nikt nie myślał o ratowaniu się, lecz o dalszej walce. Nawet, o dziwo, ów prawicowy literat S..., który wymyślił określenie sowiecka cisza, bynajmniej nie dlatego chciał współpracować z Niemcami, aby ratować śmiertelnie zagrożony byt narodowy, ale — cóż za dziwacy żyją w tym kraju — z powodów ideologicznych, wręcz filozoficznych. Okazało się to zresztą dobitnie, gdy swą najżywszą działalność rozwijać zaczął w roku 1943, już po bitwie Stalingradzkiej, kiedy klęska Hitlera stała się dla wszystkich oczywista. Niemcy patrzyli dotąd na nieliczne polskie usiłowania kolaboracyjne niechętnie i nieufnie, a jednego właściwie poważnego pro-germanistę, starego polityka Studnickiego wręcz zamknęli do więzienia i to w Berlinie, dokąd się

udał na początku okupacji, aby wręczyć Goeringowi arcylogiczny memoriał na temat konieczności współpracy niemiecko-polskiej wobec milczącego Sfinksa ze Wschodu. Ów polityk to był w ogóle człowiek nader logiczny i bystry prorok, jednego tylko nie przewidział, że mianowicie Niemcy zrzucą go ze schodów i zamkną w ciupie: taki bywa kres proroków niecałkowitych.

Za to literatowi S..., który nie był precyzyjnym logikiem dziejów ani politycznym statystą lecz swego rodzaju filozofem prawicowości, powiodło się u Szkopów lepiej: po klęsce Stalingradzkiej jakiś tam członek tak zwanego rządu tak zwanej Generalnej Gubernii (Niemcy to idealistyczni biurokraci — klasyfikatorzy: zaczynają od zmiany nazwy, przekonani, że za tym automatycznie nastąpi przemiana samej rzeczy) pojął, że wobec zbliżania się Nemezis czyli Czerwonej Armii dobrze by było mieć wśród Polaków jakąś antykomunistyczną propagandę — dobrze po prostu dla własnej skóry, aby, cofając się przed Rosjanami, nie dostać zniecka polskim nożem w plecy. Prostoduszny ów ale nieco bardziej niż jego kamraci przewidujący Niemczyk zezwolił literatowi S... na wydawanie tygodnika, niby konspiracyjnego, żeby nie budzić nieufności Polaków, lecz kolportowanego w kioskach i wśród gazeciarzy. Literat S... wypełniał pod różnymi kryptonimami większą część numeru: nie negował, że Niemcy popełnili wobec Polaków wiele zbrodni (o wymordowaniu Żydów taktownie nie wspominał), twierdził jednak, że wobec zbliżającej się wielkimi krokami śmiertelnej sowieckiej ciszy, należy zapomnieć o urazach i zjednoczyć się przeciw wspólnemu wrogowi w imię cywilizacji zachodniej. Dziwny człowiek, rozśmieszający i osmucający: z kim chciał się jednoczyć i kiedy — po klęsce?! W dodatku uparł się i wydawał swoje pisemko nadal jeszcze po upadku Powstania i zburzeniu Warszawy, jakby mało mu jeszcze było dowodów absurdalności całej akcji. Nie wiadomo właściwie co sobie wtedy naprawdę myślał, nikt się nigdy o tym nie dowiedział, bo zniknął bez śladu wraz z armią niemiecką. Podobno umarł gdzieś w Wenezueli, gdzie pod fałszywym nazwiskiem — prowadził polską czytelnię. Jeszcze jeden wariat znad Wisły posiany w świecie, ale wariat nie typowy, bo chciał zdradzić kraj, walczący z wrogiem. Co prawda w Polsce zrównano wszystkich, i tych, licznych, co chcieli walczyć i tych nielicznych, co chcieli zdradzić. Wszakże generał Lubiński, główny ideolog i architekt Powstania siedzi na wygnaniu i tam też umrze, a londyńscy generałowie, którzy z rozsądku i patriotyzmu wrócili do kraju, aby współpracować z nową władzą, skończyli w więzieniu lub zgoła z kulą w głowie. Mądrość nie przydała się tu na nic, zrównano mądrych z głupimi a fantastów z realistami. Stalin zrównał wszystkich, wiedział co

robi. A teraz z kolei wszystkich wypuszczono, bezzębnych starsuszków, co nie są już groźni, bo żyją nie rozumianymi przez nikogo wspominkami. I to jest właśnie dopiero owa wyprorokowana przez prohitlerowskiego literata S..., skuteczna bo łagodna, wszechobejmująca sowiecka cisza.

Patrząc dziś wstecz Stary Józio uważał jednak, że w końcu on sam miał zawsze swój realny rozum i że nie całkiem poszło to na marne, bo przecież uratował sporo młodych ludzi, choć nieświadoma rzeczy Anna uważała przeciwnie, że ich podmówił a potem zdradził i wydał. Nieświadomość rzeczy tłumaczyła Annę i jej nienawiść, rozgrzeszała tę nienawiść — nieświadomość rzeczy to w ogóle cecha tego dziwnego, nowego miasta i wszystkich jego obecnych mieszkańców. Wobec „totalnego niepoinformowania” nikt tu nie jest niczemu winien, za winowajcę uznać więc można tylko jego jednego, Starego Józia, bo on tu żyje jedyny spośród tych, co dali rzekomo rozkaz do Powstania, które zniszczyło w rezultacie stolicę. Dali rzekomo, bo nie takie to proste — ale komu tę rzecz tłumaczyć, jak nikt nic nie wie, nie pamięta, nie rozumie. I komu tłumaczyć jego późniejszą, też tylko rzekomą konspirację, ową „Polskę Wolną”, osławioną procesem, którego był rzekomo niesławną ofiarą a w istocie zręcznym manipulatorem, o czym nie wiedzą nawet ocaleli towarzysze broni. No cóż, można przeprowadzać przewód historyczny przed publicznością, która tę historię zna, ale tu historię najnowszą nie tyle sfałszowano co w ogóle unicestwiono i nie ma się do kogo odwołać, co najwyżej zdać się na Sąd Boży. W tej sytuacji Janusz, Henryk, Bogdan, i przyjaciele byli bezcenni, bo przeszłość ich intrygowała, fascynowała, bo coś o niej wiedzieli, odkrywając ją, odcyfrowując z archiwalnych palimpsestów. Tylko że wyłoniło się nowe niebezpieczeństwo: oni chcieli działać, historia, jak sądzili, dawała im asumpt i odskocznię do tego działania, chcieli odtworzyć przeszłość, powtórzyć ją na nowej spirali, odegrać tę samą scenę jeszcze raz. I tu, jak najbardziej pechowo, Stary Józio wychodził znów na instygatora, na szatana kusiciela — tylko dlatego, że on ich tej przeszłości uczył, że ją uosabiał. „Znów poprowadzi chłopców do jatki” — myślała z pewnością Anna, jak tu jej wytłumaczyć, że jest inaczej, przeciwnie, że zawsze było inaczej i przeciwnie? Nie da się tego wytłumaczyć, tłumaczenie jest zawarte w tajnym manuskrypcie, ale musi on zostać tajny: coraz mniej widać wokół potencjalnych czytelników, którzy odebraliby go właściwie, jako rozprawę z mechanizmem dawności a nie jako absurdalnie we współczesność przeniesiony sygnał ułańskiej, legionowej trąbki. Stary Józio, choć wspomnieniami zanurzony po uszy w polskiej dawności, nigdy nie był zwolennikiem odgrywania na nowej, his-

torycznej scenie dawnych, kawalerskich eposów. Ale tego nie rozumiał nikt, nawet sprytna i lotna Teresa!

Krzysztof drażnił wszystkich okropnie swą publicystyką w „Trybunie Socjalizmu”, bo Polacy nie lubią, kiedy się im tak nachalnie na czarne mówi białe, twierdząc jednocześnie, że bez tego nie da się żyć. Robić owszem — ale nie gadać. Neurasteniczne gadulstwo Krzysztofa wynikało z jakiegoś przełamania psychicznego, z jakiegoś wstrząsu, zresztą wiadomo jakiego: dawnego, młodzieńczego, Polacy nigdy nie zapominają przeszłości, ona w nich żyje, współzręcznie z teraźniejszością, oddziałując niewidocznie na ich postępowanie i zachowanie. Polacy to przeżuwacze historii, karmiący się wciąż minionym, choć częstokroć wcale sobie tego nie uświadamiają. Powstanie, Warszawa płonie, Rosjanie tuż za Wisłą, ale nie dają pomocy, przeciwnie cofają się — oto czym żył do dzisiaj Krzysztof, to był jego wstrząs, jego całozyciowy pokarm. Z tego zrodziło się u niego wszystko: że nie może być dwóch wrogów, że trzeba stać po jednej stronie. — Świat dzieli się na obozy, a Ty chcesz być w innym obozie, niż Twój kraj — powiedział kiedyś do Janusza. — To niemożliwe, wręcz fizycznie — nie można żyć poza Historią. Chyba, że się jest uczestnikiem a dziś strzępkiem dawnej Historii — jak Ojciec. Ale dawność nie może stanowić kryterium dla dzisiejszości, to mechaniczne niewolnictwo duchowe, uniemożliwiające widzenie rzeczywistości i służenie narodowi w konkretnych warunkach!

Powiedzenie to, skrócone, antyjozowski credo Krzysztofa, dotarło przez pośredników do Starego Józia, budząc jego uśmiech i westchnienie nad ludzkim niepoinformowaniem, nad przedziwną płataniną nieporozumień, rozciągającą swe zabójcze sieci między pokoleniami. Boć kto to mówił: Krzysztof, prawdziwy niewolnik przeszłości i to przeszłości zredukowanej do jednej jedynej wizji: Warszawa płonie, palona przez Niemców, Rosjanie za Wisłą obserwują rzecz beczynnie. A przecież to Stary Józio właśnie przewidział tę historię i chciał jej przeciwdziałać — jeszcze w absurdałnych warunkach konspiracji. Lecz całą tę sprawę, opisaną zresztą również w jego manuskrypcie, ocenić może prędzej Janusz niż Krzysztof, traktujący Ojca, wbrew faktom duchowym i fizycznym, jako zapamiętałego i niepomnego na nic „bojowca” z epoki Piłsudczyzny. Tymczasem takim był właśnie Lubiński, główny w konspiracji oponent Starego Józia, właściwy sprawca Powstania, człek przyzwoity, lecz powoli i bez wyobraźni myślący — aż podziw bierze, że był kiedyś szefem Dwójki czyli Wywiadu, choć pewno z tamtych czasów wyniósł swój ślepy lęk przed Moskalami i odwrócony kompleks ich demoniczności, że musi im się wszystko udać, bo oni wszystko przewidują. Przecenianie jest równie szkod-

liwe jak i niedocenywanie, przeciwieństwa się tu upodabniają — to wszystko wyłożył Józef Glebowicz w swoim zdeponowanym manuskrypcie, który Janusz czytał, ale rozumiał opacznie, a którego Krzysztof czytać by nie chciał, choć podobniejsze to do jego idei niż sądzi. Oto pokoleniowa komedia omyłek: „Syn minie książkę, lecz Ty wspomnisz, wnuku!”.

Generał Lubiński długo uważał, że patriotyczna Armia Podziemna nie powinna wykrwawiać się w bezcelowych walkach z Niemcami, lecz zbroić się i rosnać, aby wobec wkraczających zwycięsko Rosjan odegrać rolę ramienia Wolnej Polski czyli egzekutywy legalnego Rządu Rzeczypospolitej w Londynie. Pułkownik Glebowicz od początku wiedział, że to są mrzonki, że Rosja, piętrząca zwąły swych trupów w walce z Niemcami, jest najcenniejszym — bo jako dawca krwi niezastąpionym — aliantem Zachodu, i że „stanie z bronią u nogi”, projektowane przez Lubińskiego, dałoby jej walny argument wobec świata na temat polskiej wrogości czy reakcyjności. Walczyć należało, ale mądrze i nie na dwa fronty, uwzględniając absolutną głupotę polityczną Niemców, oraz dużą zręczność coraz bardziej w świecie Zachodnim popularnej Rosji. Londyn niewiele tu mógł zrobić, jego karta już została zagrana i zgrana — wypuszczono z Rosji Polaków w postaci armii Andersa, ta armia robiła swoje na Zachodzie, ale co począć politycznie tu, w okupowanym i odciętym od Rosji frontami Kraju?! Uaktywnienie się w czwartym roku okupacji komunistycznego podziemia w Warszawie, wieści o tworzeniu przez Rosjan jakiegoś polskiego Komitetu w Chełmie czy w Lublinie, sprawy doprowadzające do szału i rozpacz szefa sztabu Armii Podziemnej generała Lubińskiego, zaciekawiały i podniecały dyrektora Wywiadu Politycznego, pułkownika Glebowicza. Oto wreszcie nadarzało się wyjście z impasu, pojawiał się jakiś nowy, polski choć komunistyczny, partner w miejsce nieobecnego i nie liczącego się już w głównej rozgrywce (a główna rozgrywka była teraz jedynie z Rosją) londyńskiego rządu. Należało tylko nawiązać nić z tym partnerem, upodobnić się jakoś do niego, znaleźć choćby pozór wspólnego języka, wciągnąć go we wzajemną grę. Radiostacja komunistyczna za Wisłą nawołuje do walki zbrojnej z Niemcami i wręcz do Powstania w Warszawie, bardzo dobrze, wziąć to za dobrą monetę, ale przytrzymać ich za słowo, zmusić do wspólnej akcji, pomanewrować tak, aby pomogli, aby musieli pomóc, dając w ten sposób Armii Podziemnej rangę uznanego, politycznego partnera. Armii Podziemnej i jej warszawskiemu kierownictwu.

W tym celu potrzebne były koncesje polityczne lub ich pozory. Pułkownik Glebowicz wręcz na własną rękę zaczął tych po-

zorów dostarczać, jego biuletyny nie stroniły od języka lewicy i od współpracy z „masonami”, jak mówiono, Wywiad Polityczny zaczął w skołowanej okupacją i konspiracją a rozpolitykowanej Warszawie świecić opinią czerwonej jacejki. Złe to się skończyło, jakieś niewiadome (choć i wiadome) skrajnie prawicowe bojówki zamordowały Glebowiczowi kilku wybitnych pracowników w dodatku, co było hańbą, ludzi pochodzenia żydowskiego. Jednocześnie w Komendzie i Rządzie szerzono doń nieufność a znowu komuniści spłoszyli się lub też może w ogóle nie działali nigdy w dobrej wierze, co tryumfująco obwieszczał Lubiński, nie rozumiejąc że tryumfuje na własnym grobie i że raczej robienie dobrej miny może tamtych zmusić do udawanej choćby, czy wymuszonej, dobrej woli. Ale było już za późno: gdy Lubiński uznał wreszcie, że walka zbrojna z Niemcami jest politycznie i psychologicznie nieunikniona, jasne się stało, że będzie to walka straceńcza i bez sojuszników. Komuniści zza Bugu i Wisły zamilkli, Armia Czerwona wstrzymała swój pochód (umyślnie czy nieumyślnie — któż będzie tego dochodzić?) pogłoski o działaniach niemieckiego Ruchu Oporu znikły, zamach na Hitlera zawiódł i oto słabo uzbrojona Podziemna Armia Warszawy stanęła do nierównej walki ze zmobilizowanymi przez głupich Niemców doborowymi jednostkami. Skutek znany: wielka mogiła i pogorzelisko. Nieugięty w wyszukiwaniu pokrętnych autozłudzeń Lubiński twierdził teraz, że zburzenie Warszawy „wstrząsnęło sumieniem świata” i musi dać z czasem rezultaty polityczne w przetargach z Rosją. Pułkownik Glebowicz, choć od początku uważał, że Powstanie antyniemieckie jest konieczne i nieuniknione, nie podzielał tego optymizmu. Politycznie mogło Powstanie coś bezpośrednio przynieść, gdyby inaczej politykowano. Wspominał zawsze wielki stół u nich, w Wywiadzie, gdzie na trzy dni przed wybuchem walki oglądali rozłożoną szeroko konspiracyjną prasę podziemnej Warszawy. Wszystkie te pisemka wstępnyymi artykułami ziały przeciw Rosji i jej wkraczającemu na polskie ziemie terrorowi — o Niemcach nie było tam już ani słowa. — Jeśli my tutaj to czytamy, to sowiecki dowódca zza Bugu też to na pewno czyta — powiedział ktoś. Ano właśnie!

Oczywiście, Powstanie w swej straceńczej postaci miało z czasem okazać i swe politycznie dodatnie skutki — choć inaczej dodatnie, niż to mniemał generał Lubiński, który z Oflagu poleciał do Londynu, podczas gdy Józef Glebowicz bez rozkazu wrócił z niewoli do Warszawy. Po latach jeszcze przecież Rosjanie pamiętają, że ten ludek potrafił rzucić się do beznadziejnej walki, poświęcając bez namysłu swe rodzinne miasto. Pamiętają i z pamiętania tego wyciągają konsekwencje — inaczej tu się jednak

dzisiaj żyje, niż w Pradze czy Wschodnim Berlinie, a kultura katolickiej Polski istnieć nie przestała. Ale wtedy, na gruzach Warszawy, nie należało powtarzać hekatomb, należało oszczędzić młodą krew. I dlatego właśnie, czego nie rozumiało wielu ludzi z Krzysztofem na czele, pułkownik Józef Glebowicz założył w Warszawie po powrocie z niemieckiej niewoli słynną swą nielegalną „Polskę Wolną”, organizację której proces wstrząsnął za niewiele miesięcy krajową opinią, choć i zadziwił wszystkich nadaną mu przez komunistycznych prokuratorów dwuznaczną dialektyką. Stary Józio założył tajną organizację bojową, aby ratować polską młodzież?! Tak właśnie było, to jego zrealizowany wreszcie Wielki Manewr, z którego był dumny po dziś dzień, choć nie mogli owej niełatwej rzeczy pojąć dzisiejsi „starzy”, z Krzysztofem i niemądrą Anną na czele.

Jak to się stało? Po powrocie z obozu jeńców do zniszczonej Warszawy Józef Glebowicz zastał sytuację fatalną i brzemiennej w dalsze kłęski. Rosjanie, pod pozorem rozmów politycznych, zwabili pod Warszawę całe szefostwo podziemia i wywieźli do Moskwy, gdzie urządzono im niezadługo proces o... kolaborację z Niemcami. Jednocześnie zresztą w tejże Moskwie toczyły się rozmowy na temat utworzenia rzekomego Rządu Koalicyjnego w Polsce — rzekomego, bo miał to być ów przysłowiowy pasztet gdzie mięsa dano po równi: jeden koń i jeden zając. Koniem byli oczywiście komuniści i ich najrozmaitsi satelici, zającem zaś niedobitki londyńskich rządowych Polaków, z byłym chłopskim premierem Wykałajczykiem na czele, ludzie, którzy dla ratowania resztek, czy też pozorów ojczyzny zdecydowali się ulec dwuznacznej sugestii angielskiej i dogadać się jakoś z Komuną. Jednocześnie w zalanym przez Czerwoną Armię kraju trwał niebywały zamęt. Miliony ludzi jechały natłoczonymi pociągami ze Wschodu na Zachód, zajmować nowe ziemie, staroendecką modą zwane teraz Piastowskimi — już to komuniści błysnęli tu elastycznością i niespodzianym talentem politycznym: nawet marksistowski doktryner, chłopski filozof Baryłka ani się zająknął przy używaniu dawnej, osławionej, nacjonalistycznej frazeologii. Jednocześnie trwały bratobójcze walki, po lasach czatowały grupy niedobitków Armii Podziemnej i przenajrozmaitszych, samorzutnych częstokroć formacji, wśród których nie brakło ekstremistów z ugrupowań skrajnie prawicowych, nie mających w nowej sytuacji nic do stracenia. Wszyscy oni toczyli partyzancką walkę z nową, komunistyczną administracją polską, gdzie, obok karierowiczów i agentów nie brak też było i ludzi naiwnie ideowych z dawnej lewicy. Słowem tragiczny zamęt i poplątanie racji, a do tego ogólne niepoinformowanie o sytuacji światowej i poglądach tak zwanych Alian-

tów (czyich?! — tego już nikt nie wiedział). Tylko grupa rozsądnych profesorów w starym a jakimś cudem nie zniszczonym Krakowie radziła, żeby dać spokój wszelkiej polityce oporu, podporządkować się nowej władzy, uznając fakt, że Alianci sprzedali nas Rosji za sowiecką krew i wziąć się tak czy owak do odbudowy zniszczonego i na nowe terytoria przerzuconego kraju. Iście galicyjski, austro-węgierski punkt widzenia — a w końcu przecież — jedynie słuszny.

Na tle tego wszystkiego odcinała się jedna grupa, szlachetna, dynamiczna a zgorzkniała i przejęta głębokim buntem: młodzież z Armii Podziemnej i formacji pokrewnych, młodzież, która przeżyła Powstanie lub też, zgrupowana w podstołecznych lasach, nie zdążyła doń dotrzeć. Ta młodzież rozgoryczona i bez złudzeń, mająca za sobą zawinioną przez Dwóch Wrogów klęskę Warszawy, rozszerzonymi ze zgrozy oczami obserwowała wszystko co działo się wokół, komunistyczną frazeologię, sowiecką okupację, przენiewierstwo, terror i perfidię. Ta młodzież bliska była nowego wybuchu, który swą rozpaczliwą gwałtownością daleko zostałby w tyle warszawskie Powstanie a klęski narodowe spowodować by mógł niewymierne i nieobliczalne. Za tę młodzież Józef Glebowicz, ostatni żyjący na wolności członek sztabu Powstania, czuł się odpowiedzialny, tę młodzież ratować postanowił przed ostateczną zagładą, zdając sobie sprawę, że Czerwonej Władzy w Polsce nikt i nic już zmienić nie zdoła, pomimo chełpliwych wysiłków naiwnego i nie znającego Polski, a tylko chwającego się angielskim poparciem, przybyłego z Londynu chłopskiego przywódcy Wykałajczyka.

Glebowicz nawiązał stare kontakty konspiracyjne i radiowe. Znał swoją młodzież, gdy więc, co przewidywał, parę jego próbnych apeli o zaniechanie konspiracji i ujawnianie się zawiodło, założył sam swoją tajną organizację, właśnie ową „Polskę Wolną”. Cele były antykomunistyczne, ale środki działania łagodne i pół legalne: zabraniał walki wprost, kazał gromadzić siły, popierać Wykałajczyka i czekać: na wybory, na interwencję Aliantów, na zmiłowanie Boskie. Skanalizował gniew i bunt w jeden strumień, którym kierował, zebrał cały dynamit do jednego magazynu, ujął lont w ręce, zapobiegając przypadkowemu wybuchowi i — nie konspirując się nadmiernie — wyczekiwał. Wyczekiwał okazji do swojego, ratującego narodową substancję manewru, w którym tym razem nikt mu już nie przeszkodzi: był sam, sam jeden, w dodatku upoważniony do wszelkich działań przez resztki rozwiązanego londyńskiego rządu — a to się w Kraju liczyło, ten sentyment trwał — jeden z niewielu...

Okazja nadarzyła się niezadługo, tak jak przewidywał. Areszto-

wano go i postawiono w stan oskarżenia, szykując do rychłego, pokazowego procesu. Teraz... Wiedział, że musi działać szybko, dopóki nie zaczną go torturować, dopóki jest sobą i włada swoim umysłem. Wystarczy przecież pozbawić człowieka snu przez tydzień, aby zaczął kwilić jak dziecko, roztkliwiając się nad sobą i przyznając do win popełnionych lub niepopołnionych. Do tego nie można było dopuścić. Pułkownik Glebowicz natychmiast zażądał kontaktu z najwyższymi władzami Nowej Polski, odmawiając kategorycznie zeznań przed kimkolwiek innym. Szczęśliwie trafił na Żydów, a ci mieli doń sentyment, kierował w 43-cim pomocą dla walczącego getta, w jego Wydziale Wywiadowczym pracowało sporo osób semickiego pochodzenia, pomagał im ukrywać się i przeżyć. Żydzi z najwyższej, komunistycznej Centrali umieli to ocenić, poza tym w głębi duszy sami czuli się niepewnie w roli sowieckich namiestników, władających dziwnym, zdziaczalym przez wojnę i okupację krajem.

I w rezultacie — udało się. Pułkownik Glebowicz zgodził się wydać listę przywódców i aktywistów „Polski Wolnej”, zgodził się powiedzieć na procesie kilka lewicowych frazesów, odciąć się od dawnych kierowników Podziemia i wezwać młodzież, aby wróciła do legalnego życia — za to obiecano mu, że nikt nie będzie aresztowany ani karany za dawne grzechy, że wszystkim pozwolą ujawnić się i powrócić do społeczeństwa a on sam nie posiedzi w ciupie dłużej niż dwa lata. Układu tego dotrzymano, obustronnie dotrzymano. Nikt z niezłomnych, co potępiali pułkownika Glebowicza, iż na procesie odrzekł się od swej przeszłości i próbował przypodobać nowej władzy, nikt z tych polskich mędrków, oskarżających go o zaprzaństwo, o słabość charakteru czy, w najlepszym wypadku, o strach przed torturami, nikt z tych ludzi nie domyślał się, że to on, dawny szef Wywiadu Politycznego, pokierował procesem tak jak chciał, pomanewrował komunistycznym sądem tudzież prokuraturą i za parę zimno wypowiedzianych frazesów ocalił i przywrócił do życia kwiat warszawskiej oraz w ogóle polskiej młodzieży. Przeprowadził wreszcie swój manewr z komunistami, do którego odmawiano mu prawa w dzikich warunkach konspiracyjnych przed Powstaniem, pokazał, jak się robi prawdziwie narodową politykę. Dzięki niemu to skompleksowany Krzysztof mógł głosić swój pozytywistyczny program na łamach partyjnej prasy — dzięki niemu, a nie, jak prostodusznie sądził, dzięki interwencji snobistycznego redaktora Boruty. Dzięki niemu stało się w Warszawie wiele rzeczy, choć nikt o tym nie wiedział — a raczej *dzięki temu*, że nikt o tym nie wiedział. Warunkiem powodzenia manewru i umowy była ich obustronna tajność. Nikt też nie miał prawa przewidzieć, że skazany na dziesięć lat więzie-

nia pułkownik Józef Glebowicz zostanie po dwóch latach amnesjonowany i wypuszczony na wolność. W polityce nie chodzi o publiczne laury, ważna jest tylko i jedynie — skuteczność.

Potem już wypadki wymknęły mu się z rąk, poszły swoim torem. Nastąpiły awanturnicze próby wskrzeszenia „Polski Wolnej”, robił to na własną rękę „Franek” i przybyły z Londynu B..., spowodowali bolesne straty w ludziach, ale straty te nie objęły powstańczej młodzieży, uratowanej przez pułkownika Glebowicza. A później przyszedł ów rok 1949, rok pokazowego terroru stalinowskiego, kiedy to aresztowano wszystkich, wszystkich bez wyboru, ze Starym Józkiem i jego ludźmi na czele. Przesiedzieli wtedy „za niewinność” prawie siedem lat, aż do przełomu 1956. Ale to już jego konta nie obciąża, to było nieobliczalne, jak żywioł, jak burza czy huragan. Poszli wtedy przecież do więzienia wszyscy, poszli najwyżsi notable partyjni, z Szeferem Baryłką, sekretarzem Mleczką i Admirałem na czele, poszli londyńscy generałowie, co się zgłosili do Warszawy, poszli dawni socjaliści, którzy poparli komunę. „Za twoje myto jeszcze cię obito!”. Na to już nie tylko Józef Glebowicz ale w ogóle nikt w całej Polsce nie miał wpływu — z kolei po roku 1956 wszystkim wynagrodzono lata nieobliczalnej ciupy a umowa zawarta przez Glebowicza odżyła w pełni. Czego nie może zrozumieć niemądry Krzysztof ani niemądra Anna.

I, oczywiście, generał Lubiński. Parę lat temu Stary Józio pojechał do Londynu i spotkał się z tamtym w mdłej kawiarni Café Grota na Leicester Square. Sprawca Powstania postarzał, ale nie stracił pewności siebie. Boczył się na Glebowicza, oskarżając go o wkopanie ludzi, boć w aresztowaniach 1949 padli ofiarą i ci ujawnieni przez Józia kierownicy „Polski Wolnej”. — Pułkownik wygubił ludzi, wygubił bez rozkazu! — powtarzał z uporem tępy starzec, co sam nosił na sumieniu setki tysięcy padłe w Warszawie. — Nie wygubiłem, tylko ratowałem, bo... — perswadował cierpliwie Glebowicz. Wreszcie tamten zaproponował formułę, w swoim pojęciu kompromisową. „Wszelkie umowy z bolszewikami to oszustwo i kant, pułkownik bolszewików nie znał i dał się wciągnąć. Ale może i chciałeś dobrze, czort cię pobieź! Więc chodźmy na wódkę”. I poszli.

Tak, sprawę wyjaśnia tylko tajny, zdeponowany gdzie trzeba, w kraju i poza krajem, memoriał Starego Józia. Ale w aktualnej, międzypokoleniowej komedii omyłek i on na nic się nie przyda. Oto Janusz, wnuk, co „nie minął książki”, wyciągnął z niej swoje, dziwne wnioski: znów powstańcze i straceńcze, jakby w tym narodzie w przynajmniej co drugim pokoleniu konieczna była klęska. Tyle, że Janusz przygotowuje sobie klęskę wyłącznie własną, osobistą, umysłili coś z tym młodym, opętanym Bogdanem — że niby

w tych czasach odpowiedni jest terror indywidualny, społeczna terapia wstrząsowa. Stary Józio nie wiedział, co tam knuli, ale obawiał się tego i nie pochwalał, choć Anna uważała go za podżegacza. Janusz zdenerwowany był komunistami i dawał się temu zdenerwowaniu ponieść — niesłusznie. Owszem, dokuczyli mu, ale głównie z głupoty, któż widział przejmować się nadmiernie komunistyczną głupotą i widzieć w niej jakiś niedocieczony demonizm? To jest też swoiste uwięzienie mózgu, zasugerowanie się, zauroczenie rzekomą siłą, wszechmocą — uwięzienie duszy i zawężenie perspektyw, właściwe dookolnym Ludziom z Akwarium.

IX

„Jest znakomita metoda nauczania się polityki — przeżyć historię, uczestniczyć w jej wydarzeniach. Możemy wtedy czytać podręczniki bogatsi o własną wiedzę, wiele faktów i pojęć jest nam znanych z własnego doświadczenia. Ale każde młode pokolenie musi zaczynać zdobywanie wiedzy politycznej od początku, jak abecadło.

Uczycie się zasad ustroju socjalistycznego, funkcjonowania demokracji socjalistycznej, ale jednocześnie docierają do was wiadomości i opinie o innych ustrojach. Nie mając możliwości wyciągania wniosków na podstawie własnych przeżyć, zdani jesteście na umiejętność selekcji wiadomości zastyszanych. Są wśród nich i takie, które pochodzą ze źródeł, które rzeczywistość krajów kapitalistycznych preparują w sposób o wiele precyzyjniejszy niż to robi zawodowy fotograf retuszujący ślubne zdjęcie.

Propagandzie burżuazyjnej nie można odmówić zręczności w konstruowaniu chwytliwych haseł i sloganów. Zgodnie z praktyką reklamy, hasło czy slogan nie muszą być logiczne i prawdziwe, natomiast muszą gładko wpadać w ucho i działać na podświadomość. Tak właśnie konstruowane są zbitki słów „wolny świat”, w którym istnieje „prawdziwa demokracja”.

Przyjrzyjmy się zatem, jakie treści kryją się za pojęciem „prawdziwej demokracji zachodniej” i czemu ten termin służy. Na Zachodzie byłoby wielkim nietaktem przypominać grecki źródłostów pojęcia demokracji — czyli *l u d o w ł a d z t w a*, gdyż właśnie perspektywa władzy ludu niepokoi kapitalistów.

Pod pojęcie demokracji podstawia się tam parlamentaryzm oparty na wielopartyjności i wyborach. Przy czym ordynacja wyborcza jest tam skonstruowana przez klasę rządzącą, zapewniając jej najkorzystniejszy układ sił w parlamentach i rządach, niezgodny z proporcjami rzeczywistych sił społecznych”.

„W Stanach Zjednoczonych bąsa i programy wyborcze przeszły z dziedziny ideologiczno-politycznej do czystej reklamy, a opinię publiczną urabiają wyspecjalizowane firmy, zatrudniające sztab psychologów i ekspertów od „inżynierii społecznej”, jak np. David Garth Associated. Kandydaci do władzy muszą dysponować milionami dolarów, za które firma robi i sprzedaje „najlepszy program z możliwych”.

Z niedalekiej przeszłości pamiętamy wprost modelową lekcję historyczną słabości parlamentaryzmu na przykładzie Bundestagu RFN. „Demokracja zachodnia” w wydaniu RFN stanęła wobec takiej sytuacji, że wystarczyło, aby jeden parlamentarzysta zatrzymał się w windzie między piętrami i nie zdążył oddać głosu, a na udział tego kraju w procesach pokojowej koegzystencji trzeba by było poczekać... aż do następnych wyborów”.

„Tragiczną lekcją historii na temat walorów „demokracji zachodniej” jest przykład Chile. Gdy opozycja lewicowa wygrała wybory i legalnie doszła do władzy, strażnicy „prawdziwej demokracji” zamordowali prezydenta Allende, utopili we krwi robotników, chłopów i inteligencji młody ustrój, popierany przecież przez większość wyborców!

A możliwość ścierania się poglądów, które rzekomo jedynie „demokracja zachodnia” spełnia? Pozostając przy przykładzie RFN — stale wybuchają tam skandale dotyczące przekupstwa deputowanych, którzy nie tylko zmieniają poglądy za „godziwą zapłatę”, ale nawet tak łatwo przechodzą z jednej partii politycznej do drugiej jak zawodowi piłkarze z jednej do drugiej reprezentacji. Ścierają się tam w istocie nie poglądy, lecz interesy różnych ugrupowań tej samej ciągle wąskiej klasy rządzącej, jest to wewnętrzna rozgrywka posiadaczy, mogących sobie pozwolić na topienie majątku w reklamę wyborczą”.

„Dziś — sprawa paradoksalna — w mity demokracji zachodniej nie wierzy chyba żaden bezstronny, obiektywny intelektualista zachodni, kłam zadają im obiektywne badania ekonomistów, socjologów i prawników; ale odpryski tych mitów jeszcze przenikają do nas. Niektórzy nie widząc faktów, wierzą baśniom, bo jakże są piękne i kolorowe, wprost — Disneyland...”.

Gazeta z szelestem spada na ziemię, Janusz chwilę zwleka, rozleniwiony upałem, śmierdzącą duchotą, panującą w zamkniętym szczelnie mimo dookolnego sierpniowego gorąca przedziale pierwszej klasy. Staruszka o wytrzeszczonych oczach zdziwionej kury zażądała zamknięcia okna bo jest „cug” czyli przeciąg, a to podobno strasznie szkodzi na zdrowie. W polskich pociągach nikt nie żywi wątpliwości co do bardzo złych skutków świeżego po-

wietrza, toteż siedzący obok staruszki niemłody oficer, spojrzawszy, niechętnie na nie kwapiącego się do pomocy Janusza, zamknął po długim szamotaniu okno. W kątach przedziału drzemali dwaj obojętni kolejarze, którym przysługiwała bezpłatna pierwsza klasa pośpiesznego, jednemu z nich towarzyszyła zahukana i dębująca w nosie dziewczynka — żadnych sojuszników w sprawie zamkniętego okna. Można by uchylić drzwi na korytarz, ale tam tłoczyli się podpici piwem i kurzący papierosy żołnierze, niezgrabnie co chwila zawadzający szerokimi miednicami o klamkę i powodujący głośnie zatrzaśnięcie drzwi. Jest niedziela wieczór, żołnierze wracają do jakichś koszar po przepustce, ekspres, łączący Warszawę z miastem wojewódzkim R... „na południowo-wschodnich rubieżach” PRL wypchany był owym zalanym wojskiem, dosyć elegancki oficer z naprzeciwka udawał, że tego całego bałaganu nie widzi. Dwie gwiazdki, dwa paski — podpułkownik, siwawy, o twarzy babskiej i mysich oczach, za to na piersiach dźwiga istną kolekcję medali i różnobarwnych baretek. Gdzie i kiedy je dostał, lichy wie — w każdym razie nie na wojnie, bo takowej dawno tu nie było. Dlatego pewno wszyscy wyżsi oficerowie mają twarze babskie i rozmamłane, ze śladami nierzadkiego użycia alkoholu.

Janusz schyla się wreszcie po upuszczoną „Trybunę Socjalizmu”, krew i zaduch uderzają weń zawrotem głowy. Pociąg stukocze, rzęzi, zaciąga się jakimś metalicznym skowytym, jest opóźniony już od wyjścia z Warszawy, zresztą uprzedzono, że ekspres do R... spóźnia się zawsze, taka już jego specjalność i uroda. Można by pójść poszukać bufetu, ale tam na pewno jeszcze gorszy smród, feter rozlanego piwa, niesprzątnięte resztki zimnego bigosu, no i ci tłoczący się żołnierze z baraniami twarzami. To nie ich wina, że twarze mają baranie, pochodzą wszakże z oszukanego ludu, a ludowość oszukana nie bywa orla, raczej właśnie owcza, baranio-owcza. Ich wina tylko, że o tej swojej wymuszonej baraniości nie wiedzą, więc nad nią nie cierpią. Zresztą to także nie ich wina, to wina ustroju. A ustrój jest bezosobowy, nieuchwytny, jakże go tu oskarżać, jeśli wciela się we własnego ojca, choćby w ten właśnie wstępniak z „Trybuny”, w owe mozolnie żarliwe bzdurzenia o demokracji zachodniej, które Janusz przed chwilą czytał. Że też ojciec musi...

Co prawda w tym wypadku podobno właśnie musia! Ten artykuł to rzekomo jakaś ekspiacja za męża ostatniej facetki ojca, który nawiał za granicę. Tak przynajmniej twierdziła Teresa, a ona o takich sprawach wie wszystko. Mówią też, że sama przespała się kiedyś z ojcem, choć na pytanie w tej sprawie odpowiedziała ze śmiesznie udawanym oburzeniem, że nigdy

„oka nie zmrużyła”, tak jak ów facet z procesu o alimenty w angielskiej anegdocie. Z nią to nigdy niczego nie wiadomo, zresztą Janusza wcale to nie obchodzi. Niech sobie ojciec biega za kurwami, przecież nie mógł ciągle trzymać się z matką, to jasne. Ale dlaczego postanowił stać się kurwą prasową, której Janusz wstydzi się teraz przed przyjaciółmi, przed Marcowcami?! Za którą to sprawę musi, koniecznie musi, przedsięwziąć swoją ekspiację — zresztą wszystkim potrzebną, nawet tym biednym baranom w pociągu — a raczej przede wszystkim im!

„Pokój nie był nigdy nikomu dany raz na zawsze. Naród polski utrwała go swoją pracą, pomnażaniem naszej narodowej siły i narodowego dobytku, umacnianiem jedności państw Układu Warszawskiego, rosnącym w świecie autorytetem Polski Ludowej, działaniem na rzecz socjalizmu.

W dniu dzisiejszym imię naszej ojczyzny będzie na ustach ludzi w wielu krajach, szczególnie tych licznych, gdzie żołnierz polski walczył i gdzie pozostały pomniki polskiego udziału w zwycięstwie — cmentarze polskich żołnierzy.

Ale jednocześnie imię Polski oznacza dziś w świecie nową polską jakość. Jest synonimem woli pokoju i pokojowej międzynarodowej współpracy. Między innymi dzięki nam trzydziestą rocznicę zwycięstwa nad hitlerowskim państwem niemieckim obchodzić będzie świat jako datę kamienia węgielnego pod współczesny i przyszły europejski ład pokojowy. Dlatego jest to zwycięstwo ciągle żywe. Zwycięstwo zwrócone w przyszłość!”

To wycinek z innego artykułu ojca, również na Święto Państwowe — karteczka wypada Januszowi z kieszeni gdy schyla się po dzisiejszą „Trybunę” i trwa chwilę zmożony krwią, co napłynęła mu do mózgu. Babowaty podpułkownik patrzy ostro, babcia podobna do kury odsuwa się z dezaprobatą. Te znowu brednie spłodził ojciec równie upojony Świętem, na trzeci dzień potem jak otworzono Trasę i przyjechał ów „upojny Leonidow”, uosobienie ruskiej nudy, która obsiadła pół świata. Albo raczej, jak twierdzą solidarnie Ojciec i pan ambasador Gnatek, ocalała pół świata — niby że od Hitlera. Mieli szczęście z tym Hitlerem: nikt już o nim nie pamięta, a ci rządzą — i będą rządzić. Leonidow i inni korzystają, że po Hitlerze a raczej od Hitlera głupota jęła kierować Światem Zachodnim — i w ogóle światem.

Janusz nie może zapomnieć owej wycieczki międzynarodowych studentów, którą pan ambasador Gnatek mu nastreczył celem obwożenia po Polsce — była to łaska i protekcja, boć młody Glebowicz miał opinię „marcowca”, co by się stało, gdyby owych

ważnych gości zdemoralizował? Ale bez obawy, ambasador mógł spać spokojnie i wiedział o tym: młodzieńcy z bogatych krajów byli jeden w drugiego marksistami, choć zgoła nie wiedzieli, co to znaczy. Jeździli po Polsce jak niegdyś delegaci Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża po Oświęcimiu, nic absolutnie nie rozumiejąc. Tyle, że wtedy był Oświęcim śmierci, a dziś Oświęcim nudy, bzdury i bezwoli. Każda epoka ma taki Oświęcim, na jaki zasługuje. Ten na pewno jest lepszy, nie ma porównania, czyż więc należy przy nim zostać i nigdy niczemu się już nie sprzeciwiać?! Tak twierdzi ojciec, tak twierdzi Gnatek — ludzie zatraci wojnę. Ale już dziadek myśli inaczej, dziadek, który wszakże przeżył aż dwie wojny. Prawda, za bardzo uwiązał w swojej epoce bohaterskiej, w swoich zatargach ze sztabem Powstania, zatargach w końcu technicznych, bo rozminęli się tylko wyborem chwili, oceną momentów. Ale, mimo te drobiazgi, Stary Józio patrzy w końcu na świat najszerzej z nich wszystkich: wie, że wtedy wymordowano miliony, ale teraz zniewoli się miliardy. I nie będzie już rady — dopomogą własnymi rękami ci studenci zachodni, co to wierzą w marksizm jak w cudowne zaklęcie. Mody przychodzą nierównomiernie, w obu oddzielonych od siebie światach kiedy indziej: tu młodzieżowa moda na wolność wciela się w długie włosy, tam w okrągłe sformułowania, w sylogizmy nie znających świata ani ludu zapyziałych, starczych profesorów, zradkalniałych z nudy. A w środku siedzi zruszczony, ukraiński chłopiek, filuterny głupek chytrusek Leonidow, wszystko obserwuje, kapuje i korzysta. Dawniej rządzący w coś wierzyli, czegoś się w sercu trwożyli, myśleli, że odpowiadają przed Bogiem i Historią, że jest wiara, dusza nieśmiertelna, ciągłość pokoleń, idei czy kary. Dziś wiedzą, że jest tylko siła lub jej brak, że trzeba utrzymać władzę jak najdłużej a ukryć głęboko wszelką słabość. Lud to wyczuwa, ma wszystko w dupie, lecz buntować się nie będzie, bo wie, że siła jest siłą, a bez idei jest podwójną siłą. Lud ruski oczywiście, lud, któremu kajdany zmontowano z frazesów wolnościowej idei wie, że skoro to, co go dławii to jest wolność, wtedy nie ma wyjścia: niewola jest wolnością. Ale lud polski, lud nieświadomy, który sobie nie wyobraża, jak Ruscy i Chińczycy, czyli Czerwoni, gnębią pół świata... Wystarczy go uświadomić, aby...

Ojciec w gruncie rzeczy nienawidzi Ruskich, ale nie wierzy w polski lud. I dlatego się uwikłał w rzekomą historię i jej konieczność, nie widzi możliwości żadnej zmiany. Nawet w tym artykule o Pokoju (czy z kuchnią, pytano ironicznie w Warszawie) dał tego dowód, że niby trzydziestą rocznicę zwycięstwa świat „obchodzić będzie...”. A skąd wie, co się zdarzy przez

ten rok?! Zwłaszcza, gdy Janusz robi to co robi... W Niemczech grupa Baader-Meinhoff jest bez sensu — powiedział ktoś. Oczywiście, bo to są głupcy nic nie rozumiejący i rozpieszczeni ciepłkiem zachodnio-europejskiego liberalizmu, chwilowym dosytem wygranym na loterii. A tu będzie inaczej, inaczej, inaczej: obudzić ten kraj i inne socjalistyczne czyli ruskie. Obudzić i nie dać zasnąć — to się dopiero ojciec zdziwi...

Skończy mu się euforia czterodniowego Oraczykowego święta na ulicy w łagodzącym, lipcowym deszczu. Trasa, Święto, boski Leonidow i oczywiście — dziewczyna. Janusz widział z nią ojca przelotnie w Bristolu: ładna nawet, smukła, efektowna czarnuszka z wysoko upiętymi włosami, oczy wielkie, wpatrzone z dziwnym wyrazem. W co, w ojca? Nie, ponad nim jakby, choć ojciec tego nie widział, naiwnie podniecony, rozanielony, euforią ze Święta i ze sławiących je rozkosznych artykułów „Trybuny Socjalizmu”. No cóż „Paryż wart mszy”. Ale jakiej mszy?! Czarna to będzie msza, oj czarna! Ani się biedny stary domyśla... Dobra lekcyjka — dla dorosłych.

Pociąg zgrzyta, kiwa się teraz na zużytych podkładach, kolebie gwałtownie w obie strony. Spóźnienie duże, ileż jeszcze do wojewódzkiego R..., w którym Janusz nigdy nie był? Kara Boża. Jedzie na naukową kwerendę do tamtejszego regionalnego muzeum, ma rezerwację w nowym hotelu, ale kolacji nie dostanie — w takich prowincjonalnych, wytwornych hotelach od dwudziestej jest dancing, karty konsumpcyjne, sale natłoczone pijanymi, o jedzeniu mowy nie ma. Może by jednak, mimo tłoku na korytarzu rozkiwanego bujda-ekspresu wybrać się do owego jakiegoś natłoczonego stojącymi ludźmi bufetu, który zastępuje w rozwijającej się, przemysłowej Polsce dawne mieszczańskie wagony restauracyjne?! Ale nagle Janusz przypomina sobie wuja Zygmunta — widział go na stacji w Warszawie, jedzie pewno do R... w jakichś sprawach swojego „resortu”. Zacznie się gadanie, Chryste Jezu, gadanie potrójne, poczwórne, o Polsce, o pracy, o prawdziwym socjalizmie i o jednym, jedynym demonicznym wiceministrze Grzędziszczaku czy Grzędaszczaku, który zbożnemu dziełu socjalistycznej pracy uporczywie przeszkadza. Słuchać tego!? Nie, nie, po trzykroć nie!!

Tłusty podpułkownik drzemie z otwartymi ustami, obnażając złote zęby, kurza staruszka pochrapuje, w przedziale półmrok, kolejarze gdzieś się rozwiali razem z gapiowatą dziewczynką, w kacie tkwią za to niewyraźny ludzki tłumok, za oknem gęstniejące światła semaforów — to już będzie R..., na pewno R... — więc i Janusz dał się wyłączyć snem na całą chyba godzinę? Głodno dalej, światła rosną, pociąg zwalnia i zgrzyta wśród jęków

masę żelastwa. Z niebytu wyłaniają się perony starej, galicyjskiej jeszcze stacji, za to w oddali lśnią w górze światła jakichś szklanych drapaczy nocnego nieba. To już R..., miasto wojewódzkie, polskie Klondyke. Miasto wojewódzkie najbliższe Lwowa, leżącego dziś po tamtej stronie ruskiej granicy. Lwów też stare polskie miasto, wielkie miasto stracone — i co? Jacyś gdzieś Palestyńczycy rozpętali światowy terror o kawałek pustyni, a tu z historycznych Ziemi Wschodnich Polski przesiedlono pięć milionów ludzi i nikt o tym w świecie nie wie. Dlaczego tamci z Palestyny mogą walczyć o swój wmówiony im przez kogoś rodzimy piasek? Bo korzystają z zachodniej wolności, a tu Ruscy z góry wszystko przewidzieli i zdusili. Dlaczego nie rozpętaliśmy terroru o Lwów?! A skoro już nie, to przynajmniej rozpętajmy go o wolność! Póki nie jest za późno — a nie jest.

Bojowy Janusz kroczy z ciężką walizką (magnetofon, książki, taśmy), potykając się o końskie bruki przedwojennej jeszcze, ongiś żydowskiej dzielnicy przy dworcu, w stronę świecącego na tle nocy jak gigantyczna choinka chluby miasta R..., nowego hotelu „Metropol”. Podchodzi i oczom nie wierzy: wysoki, szklany hotel o dziwnym kształcie stoi na samym skrzyżowaniu dwóch ogromnych autostrad, którymi bez przerwy toczą się rozkiwane, hałaśliwe ciężarówki z przyczepami. Jazgot niesie się nieopisany, bijąc aż po gwiazdziste, sierpniowe niebo. Dostęp do hotelu trudny, trzeba wręcz przebiec przez szeroką jezdnię, to pewno tędy prowadzi owa legendarna droga do Bratniego Związku, o której niedawno z dumą pisano w prasie — nawet przecież ojciec uskutečnił wtedy, jakąś patetyczną impresję o braterstwie i serdecznych związkach między socjalistycznymi narodami. Ojciec, który chyba nigdy nie widział z bliska Rosjanina! Gdybyż posłuchał rozmów, jakie w klubie i hotelu studenckim „Riviera” toczyli niedawno z uczestnikami „pociągu przyjaźni” z Moskwy! Zmieszanie i nieufność ustąpiły szybko nieskrępowanej nienawiści, jaką ci młodzi Ruscy darzyli swój rząd, swoją partię, swoją politykę. Młodzi porozumieją się w końcu ponad plecami starych, potrzeba im tylko zachęty, potrzeba sygnałów. Z Moskwy sygnały już dawano, choćby w postaci bibułkowych druczków „samizdatu”, teraz opowiedzieć należało porozumiewawczym sygnałem z Warszawy. Sygnał taki właśnie się robi, Janusz uśmiecha się do tej swojej myśli, stawiając na ziemi ciężką walizkę w oczekiwaniu, aż kolebiący się na asfaltowej taśmie nocny potok żelastwa zluźni się trochę i pozwoli mu przeskoczyć do hotelu, którego wejście rysowało się pod ogromnymi, świetlistymi literami „METROPOL”. Tak, sygnał będzie dany i to już niedługo: wszystko jest przygotowane, mechanizm zega-

rowy wprowadzony w ruch. Przy tym mechanizm tak mały i utajony, iż nikt go nie dojrzy, za to blask sygnału zostanie zauważony, ba, krzyczeć zacznie na cały świat, na obie strony świata. To będzie „wielmi dobre, wielmi dobre!”.

Coś dziwnego zarysowuje się nagle z boku, myślałbyś, że w tej chwili dopiero wychynęło z cienia. Janusz przez chwilę znowu nie wierzy oczom: jakby dwie rozchylone łuski czy łupiny olbrzymiego, podłużnego owocu wznoszą się ku rozgwieżdżonemu lecz przymglonemu niebu. Przez chwilę nocny widz przywołuje się do świadomości, aby nagle zrozumieć: toć sławny Pomnik Zwycięstwa, na który rozpisano kiedyś głośny rzeźbiarski konkurs. Wygrał Krakowianin, absolwent akademii sztuk w Leningradzie, pomnik przedstawiał radzieckie, zaprzyjaźnione skrzydła lotnicze, które wyswobodziły R... Zbombardowano wtedy Niemców potężnie, przy okazji pół miasta, stąd tutaj teraz owa szklana dzielnica z hotelem i „monumentem”. Ależ ten Hitler naznaczył całą wschodnią Europę, pół Europy w ogóle, raczej większą jej część, tylko śmieszny zachodni półwysep został. A czym naznaczył? Dziadek miał rację: ruskim zwycięstwem i ruskimi rządami, choć Niemiec pojęcia nie miał, komu naprawdę służy. Głupi Hitler, ileż siły zmobilizował nadaremno i jakąż sowiecką przeciw-mobilizację wywołał! Podobnie, jak Japończycy zmobilizowali Amerykanów. Ale to już historia, przyszły inne czasy i siła jest gdzie indziej: w atomie, w drobnutkim psychicznym atomie. Paru nieznanym ludzi z aparaturą techniczną w ręku sterroryzować może świat. Jak dotąd tylko Świat Zachodni, bo tam jest technika i liberalizm techniczny, ale czemuż, przystosowując się do warunków, nie dałoby się przenieść tego samego na Świat Wschodni? Wprawdzie zbuntowany przeciw kolegom Edek wyśmiewał się z terroru indywidualnego, na jaki chcieliby przejść byli marksiści, ale za to Henek przekonywująco mówił o nowych czasach antycznych — nowy antyk wymagał nowych metod indywidualnych, komunizm obdarował świat nowym Cezaryzmem, a na nowego jednorządcę trzeba szukać nowych metod indywidualnych. Zasadę, że terror osobowy niezgodny jest z regułami ludowej rewolucji wymyślili komuniści dla krajów podbitych, aby utrwalić w nich swe rządy. Jak im będzie potrzeba zaczną głosić zasadę przeciwną, dla nich cel uświęca środki, a celem jest tylko i jedynie władza. Nie dać się im oszukać, tylko nie dać się oszukać! Zmusić ich, żeby się zdemaskowali, żeby zamiast gadania sięgnęli w Polsce do terroru. Wtedy nawet ojciec zrozumie coś nie coś...

Hotel w środku okazał się naprawdę elegancki i ładny, oraz prawie wygodny, choć trudno było zgadnąć, w którą stronę

otwierają się drzwi. Ekipa krakowskich projektantów popisała się tym razem, dając okręgowi przemysłowemu w R... naprawdę reprezentacyjną „placówkę” z pięknym „wystrojem”. A i obsługa „Metropolu” jest sympatyczna, bardzo młodzieńcza, nie widać starych ubeków, wszystko młodzież wiejska po szkole hotelarskiej, młodzież z awansu, odchowana, wysoka, przystojna choć zabawna. Blond włosy modnie długie i nawet w puklach, zadarte nosy, psie niebieskie oczy, pocziwie to i naprawdę swoją pracą przejęte, tyle, że przez to biurokratyczne i mozolnie działające. Pokój zarezerwowany dla Janusza od razu się odnalazł wśród pliku innych opieczętowanych zaświadczeń i skierowań — za drogi to hotel, aby poza cudzoziemcami mogli w nim mieszkać Polacy bez skierowań i rezerwacji. Gapiowata blondynka z recepcji wręczyła Januszowi klucz do owego pokoju na siódmym piętrze. Idąc w stronę windy, korytarzem przesadnie zdobionym w drewniane boazerie, Janusz mija się z grupą młodych brodaczy, dźwigających w pokrowcach instrumenty, wlokących za sobą ciężką elektro-akustyczną aparaturę. Grupa beatowa, dzisiejsza arystokracja wśród chłopskiej młodzieży miasta R...

Pokój miły, przytulny, nawet z łazienką (tu, widać, budowano szeroką ręką) i z widokiem na dookolne wybetonowane pustacie. Za to restauracja hotelowa na dole — taka właśnie, jak to Janusz przewidział. Wielka sala zapchana po wręby pijącymi i buchającymi dymem ludźmi, stoliki zastawione piramidami talerzy z resztkami żarcia, całe miasto się tu zeszło, widać żadnej innej przyzwoitej knajpy w pobliżu nie ma. Na estradzie zespół z wiercącymi w mózgu jak dentystyczny świder elektrycznymi organami, przed estradą na półkolistym parkiecie przesuwają się niezgrabnie grubawe pary, światła co chwila ulegają wygaszeniu „dla nastroju”, godzina późna. Rozpacz!

Ścigany przez niechącego go wpuścić kierownika, krzyczącego coś o braku miejsc i konieczności wykupienia karty konsumpcyjnej, Janusz przebiega salę tam i nazad, wiedząc z góry, że wolnego miejsca nie znajdzie. Przechodząc rzuca okiem do bocznej loży, siedzi tam wuj Zygmunt z jakimś mało ciekawym, tęgawym i siwawym facetem. Facet gruba kość, pewno z ważnego przemysłu, wuj jest tu służbowo, jakże by inaczej. Zygmunt go dostrzegł, gdy Janusz drugi raz, z uprzykrzonym kierownikiem na piętach przebiega obok loży, dają mu stamtąd znaki, wskazując wolne krzesło, co widząc ścigający fagas odczepia się wreszcie. Może to i racja, nie ma wyjścia, trzeba szybko zjeść z nimi, chyba wuj Zygmunt przy tamtym nie będzie tyle gadał...

Brat Anny, o dwa lata od niej starszy, to przystojny, łysawy szatyn o smętym, romantycznym wejrzeniu. Wstaje jakoś dziw-

nie uroczyście i przedstawia Janusza owemu grubokościstemu, który na siedząco, przez stół podaje mu rękę. — Siadajcie proszę, radzi jesteśmy — mówi mrukliwym basem. Twarz ma po-fałdowaną i sfatygowaną, usta zacięte, wyraz twarzy ostry i nie-miły, jak u zawodowego podoficera. Orkiestra na estradzie właś-nie przestała grać, słysząc jakieś oklaski, Janusz siedzi nieco ogłuszony, czując w powietrzu coś osobliwego. — Towarzysz Przewodniczący chciał cię poznać — mówi wuj Zygmunt, uprze-dzając, tak jakoś przymilnie a z naciskiem. I oto nagle Janusz kojarzy, wie już, kto przed nim siedzi: to Władysław Syruczek, jeden z dziesięciu najpotężniejszych ludzi w Polsce, jeden z naj-wytrwalszych nosicieli władzy, przewodniczący Rady Związków Zawodowych, członek Biura i Sekretariatu.

(Związki Zawodowe nie są wcale żadnymi związkami, lecz instrumentem trzymania robotników za mordę i paraliżowania jakiegokolwiek ich samorządu. Tak było przedtem i tak zostało potem, to znaczy po głośnych rozruchach w stocznich Wybrzeża, kiedy to Oraczyk, objawwszy władzę, mianował Syruczka, bez względu na jego przeszłość, szefem tych związków (oficjalnie na-zywało się to, że nowy szef został wybrany — niewątpliwie, ale przez kogo?!). A przeszłość towarzysza Syruczka była jedno-znaczna i bardzo znana, choć zarazem tajemnicza. „Syn ziemi R...kiej”, jak pisała prasa, wyrastał, podobnie jak poprzedni Szef, Baryłka, z burzliwej, ciemnej i dwuznacznej przeszłości polskiego komunizmu, o czym nie wielkie miał pojęcie wywodzący się z zachodniej emigracji zarobkowej Oraczyk. Na temat przeszło-ści wojennej Syruczka mówiono w oficjalnych informatorach dosyć enigmatycznie: że był w Czerwonej Armii, potem w nie-mieckiej niewoli, z której zbiegł i do końca wojny kierował w R... konspiracyjnym ruchem komunistycznym. Ludzie którzy wrócili czy zbiegli z hitlerowskiej niewoli nie cieszyli się w brat-nim Związku specjalnym uznaniem: po prostu, w najlepszym wypadku, wyłączano ich ze społeczności jako zakazanych. Musiało to być zjawisko powszechne, skoro przedstawione zostało nawet w jednym z nielicznych odwilżowych filmów rosyjskich, jakie widziała Warszawa i jakie w ogóle wyprodukowano — Janusz pamiętał ten film dobrze, choć już po odwilżowym sezonie grano go niewiele i z ostrożną — nazywał się „Czyste niebo”. Na przekór jednak jego pesymistycznym tezom, kariera partyjna to-warzysza Syruczka rozwijała się w polskim stalinizmie jak po maśle. Skakał po całej Polsce z jednego sekretarstwa partyjnego na drugie, wszędzie zdobywając sobie opinię twardej rączki. W roku 1951 jest już sekretarzem wojewódzkim w Poznaniu, potem w rodzinnym R..., wreszcie ląduje na Pomorzu, gdzie

zastaje go tak zwany Październik. I oto dzieje się rzecz niezwykła: zrewoltowani robotnicy i pracownicy pomorskiego Komitetu, sądzący naiwnie, że Baryłkowski przewrót oznacza demokrację i wyzwolenie (kogo od czego?!), wywożą sztywniaka Syruczka na taczkach za bramę. Stało się to dosyć głośne, pisało nawet o tym sławnie wówczas hulające a zamknięte niezadługo przez Baryłkę studenckie pismo „Otwarcie”.

Cacy, cacy, ale i to nie przeszkodziło Mocnej Rączce w dalszej karierze. Baryłka okazał się wcale nie tym, za kogo go brano, nie chciał wyzbywać się doświadczonych funkcjonariuszy, może się ich bał, a może miał słabość do starego krajana, sam przecież pochodził z okolicy R... Toteż zaraz przywrócił go na stanowisko tutaj właśnie. Mnożyły się opinie, że Syruczek w nowych czasach spisuje się tego. Zaczęto go, niemłodego już, zaliczać do nowej fali partyjnych technokratów, pod jego rządami czy dzięki jego stosunkom opustoszałe, niegdyś pożydowskie, prowincjonalne, pół zburzone R... zmieniać się jęło w asfaltowo-betonowo-szklaną metropolię, w południowe centrum chemii i energetyki. Syruczek porastał w rozgłos, odwołano go z czasem znów do Centrali, siedł w górę i siedł, w czym nie przeszkodził mu nawet upadek Baryłki. A teraz...

Janusz skręca się z niechęci, po jakiego diabła tu usiadł, nie mógł to zrezygnować z kolacji? Że też ten Zygmunt zawsze wymyśli coś głupiego! Kelner usłużny nadbiegł od razu, wiedział z kim sprawa, przyjął zamówienie, nalał wódkę. Wuj ma wypieki, przejęty ważnością chwili. — A czemuż to właściwie Pan Przewodniczący chciał mnie poznać? — pyta Janusz zaczepnie, widząc kątem oka zgrozę w wujowskiej twarzy. — Nic nas przecież nie łączy i nic łączyć nie będzie!

Syruczek marszczy się, takiej mowy pewno nie przewidywał. Przeżuwa usłyszane słowa, nie rozumie. — Chyba jednak coś nas łączy — mówi w końcu pojednawczo.

— Chyba tylko to, żeście mi nie dawali w Marcu zdać matury! Janusz chrypi z lekka, jak zawsze, gdy jest nerwowo.

— W marcu?!

— A tak, w Marcu 68. Może Panu Przewodniczącemu nic ta data nie mówi?!

Wuj Zygmunt usiłuje wtrącić coś łagodzącego, lecz Przewodniczący ucisza go ruchem ręki i coraz bardziej zmarszczony wpaduje się w Janusza. Ten jednak, z płonącym wzrokiem i drżącymi ustami, nie ulega, choć wuj mocno trąca go nogą pod stołem.

— Więc wy też w 68 roku daliście się wziąć na prowokację? Na syjonistyczną prowokację?!

— Syjonistyczną? A może to kto inny sprowokował?
— Na przykład kto?
— To Pan Przewodniczący wie chyba lepiej ode mnie. Ja za to wiem, że walczyliśmy wówczas o wolność.
— O wolność? Dla kogo?!
— O wolność słowa, o wolność sumienia. O wolność nauki. Przeciw terrorowi policji i Ormo, przeciw dyktaturze!

Wyj Zygmunt jest spiorunowany, przewodniczący Syruczek długo milczy i stopniowo, o dziwo, twarz jego rozpogadza się. Nagle zaczyna się śmiać. — Ha, ha, ha, hi, hi, hi, — zanosi się chichotem, długo nie cichnącym. Bierze wreszcie kieliszek, wychyla go, wzrokiem nakazuje to samo Januszowi, który odruchowo wypija, choć zaraz tego żałuje. Orkiestra na sali znów rzezi, pary udające się na parkiet przechodzą koło ich łoży nie patrząc. I oto Syruczek zaczyna mówić, modulując głos z niespodziewaną giętkością, od demonicznego szeptu po lwie porykiwania — nagał się jednak na wiecach.

— O wolność? Jaką wolność, dla kogo wolność?! Dla paru zawiedzionych Żydków, którzy chcieli tu rządzić, ale im się nie udało?! Razi Was słowo „Żydki”, nie chcecie o nich słuchać, to posłuchajcie o Waszym duchowym przewodniku. Przecież profesorek Zbyszko Wykołowski to jeden z tych, co tu stalinizm tworzyli. On był z nami, tylko żeśmy go nie chcieli, bo nie potrzeba nam doktrynerów, obcych ludowi, nie potrzeba zakochanych w sobie. To jeden z tych, co kiedyś nasrali, a teraz się przelekli, uciekli i Wam, naiwnym każą zbierać nieczystości. Wolność, dla nich wolność?! A co Wy o nich wiecie, o nich i o tym co robili?! Młodzi jesteście Kolego, bardzo młodzi. A w „marcu” byliście dzieckiem i oni Was nabrali. Ale jak nabrali, jak wykorzystali! Ha, ha, ha, ha, he, he... he...

— Wolność, jeśli łaska? A może tak wolność od orki, od gnoju, od smrodu, wolność dla milionów — to jest nic?! Wolność tylko dla paru pisujących hochsztaplerów, mój paniczu?! Popatrzcie się wkoło — ci ludzie w tym hotelu byliby niewolnikami, gdyby nie my. A teraz jak wyglądają: zamożni, swobodni, z godnością. To ludzie ze wsi, pytajcie ich co myślą, czego chcą dzisiaj? Ja sam taplałem się w błocie i gnoju. A w Rosji myślicie że nie?! Jak Hitler szedł a Stalin nam nie ufał, jak człowiek był ścigany z dwóch stron?! W gnoju i krwi, we własnym gnoju i własnej krwi. A wy...

— Tak, Pan Przewodniczący cierpiał w Rosji, cierpiał i od Stalina i od Hitlera — to wuj terkocze usłużnie, jak dobra maszynka. — Ale jest Polakiem, wrócił tu, nie myśli o sobie, zbudował nowe R... Energetyka, chemia, przyszłość kraju... Nie

za granicą, tu, na polskiej ziemi... Tylko praca, nic innego, tylko praca...

„W gnoju i krwi, we własnym gnoju i własnej krwi... W gnoju i krwi, w gnoju i krwi...”.

Janusz przewraca się na łóżku, w głowie huczy wypita wódka. Z niezastłoniętego okna na siódmym piętrze widać szeroko rozciągnięty betonowo szklany pejzaż, pejzaż z księżycą i dalekie, upiorne szeregi światła. Tamten się szeroko rozgadał, rozczył, wypił dużo, był mimo wszystko, łaskawy. Wuj Zygmunt rad z obrotu sytuacji basował mu, wtórował, podchwytывał każdą myśl. A Janusz szybko zamilkł, nie warto było gadać, nie ma o czym. „W gnoju i krwi, w gnoju i krwi...” Zapatrzone w przeszłość, w swój wycinek przeszłości, jak ojciec, jak matka, jak dziadek, jak oni wszyscy, mijający Polacy, bez względu na klasę, na pochodzenie, na wiek. Trzeba ich odwrócić ku teraźniejszości, zaalarmować, wstrząsnąć... niech wreszcie podniosą głowy... To będzie „wielmi dobre, wielmi dobre!”.

X

„Nie brakło tam i 'Waszej Ekscelencji' i 'noblej troski' i 'patriotycznej wspaniałomyślności' i określeń podobnych. Gdyby się nie znano panów, którzy wzajemnie do siebie tych określeń używali, ani okoliczności sprawy, ani sytuacji w jakiej się znajdują, można by pomyśleć, że to korespondencja między nieposzlakowanymi gentlemanami angielskimi. A tymczasem chodziło tu po prostu o wycofanie się jednego osobnika z pewnej funkcji z obawy przed blamażem na najwyższą skalę i o próbę pocieszenia go przez osobnika drugiego.

Kto zwracał się do 'Ekscelencji'? Niejaki Enrique Urrutia Manzano, przewodniczący 'sądu najwyższego' junty chilijskiej. A kto jest 'Ekscelencją'? Oczywiście szef tejże junty, gen. Antonio Pinochet.

Rzecz ma się w tym, że Pinochet mianował Urrutię Manzano ambasadorem Chile w Paryżu. Miał on nadzieję, że w ten sposób oszuka francuską opinię publiczną, która, być może, da się nabrać na wysokie stanowisko nowego ambasadora. Aliści tak się nie stało. Cieszący się dużym respektem 'Le Monde Diplomatique', napisał w numerze majowym, że Urrutia Manzano to bardzo dziwny przewodniczący 'sądu najwyższego'. Bo zamiast chronić obywateli przed bezprawiem, aresztowaniami, torturami i egzekucjami — wszystko to sankcjonował mocą swego stanowiska.

Złakł się więc pan Urrutia Manzano. I choć początkowo zgodził się przyjąć proponowane stanowisko ('mimo osobistych ofiar', napisał w liście do Pinocheta, myśląc naturalnie nie o ofiarach swego 'orzecznictwa') zmienił później zdanie. Zbyt dobrze wiedział, co go w Paryżu czeka.

Natomiast inny ambasador chilijski — w Szwajcarii — nie miał takich obaw. Albo i też myślał, że neutralni Szwajcarzy jakoś go zaakceptują.

I on pomylił się. Bowiem i przeciwko niemu wystąpiły organizacje i osobistości demokratyczne. Jean Ziegler, deputowany do Szwajcarskiej Rady Narodowej, członek komisji spraw zagranicznych tego ciała i profesor na uniwersytecie genewskim, w liście do 'Le Monde Diplomatique' z lipca 1975 roku stwierdza:

„W Szwajcarii stoimy w obliczu przypadku jeszcze bardziej nieprzyjemnego, niż ten, który redakcja Wasza potępia. Pan Desiderio Garcia Herrera, którego nam junta chilijska przysłała jako ambasadora jest policjantem o wielce obciążonej przeszłości. Będąc generałem policji w Chile zachowywał się tak brutalnie, że przyciągnęło to już uwagę prezydenta Freia (Eduardo Frei rządził Chile przed Salvadorem Allende). Garcia Herrera musiał więc opuścić szeregi policjantów. Został wysłany na emeryturę — i zaczął działać natychmiast, z wielkim oddaniem, w prywatnej faszystowskiej organizacji podziemnej 'Partia y Libertad' ('Ojczyzna i Wolność'). Znany od dawna ze swych hitlerowskich przekonań, wielbiciel Trzeciej Rzeszy, Garcia Herrera pojawił się u boku byłego hitlerowca, Raucha, we wrześniu 1973 roku (tj. po obaleniu Allende). Wprowadził on natychmiast ze swymi kolegami aparat tortur i egzekucji bez sądu jako środki rządzenia krajem.

Takich oto osobników przysyła lub chce przysłać do Europy zachodniej w charakterze ambasadorów — junta chilijska. Ma w tym dobre wzory. Choćby Ribbentropa, czołowego 'dyplomaty' i czołowego zbrodniarza Hitlera”.

Izabella skończyła przepisywać, spięła maszynopis spinaczem i zaniósła do starego adiustatora pana Ignasia, niegdyś nauczyciela języka polskiego, znającego z tej racji arkana nowej pisowni. Był to ostatni międzynarodowy felietonik redaktora Janczyckiego, zatytułowany „Ambasadorzy czy zbrodniarze?”. Pan Ignas przerzuciwszy tekst nie omieszkął zauważyć, że przedstawicielem Związku Radzieckiego przy Organizacji Narodów Zjednoczonych był notoryczny zbrodniarz stalinowski wiceminister Wyszyński, niegdyś prokurator w słynnych moskiewskich procesach, kiedy to zgnojono torturami a potem zamordowano Zinowiewa, Kamieniewa, Piatakowa, Bucharina i wielu innych. — Co prawda — dodaje zgryźliwie pan Ignas — na karę śmierci to oni sobie zasłużyli, bo to byli tacy sami bandyci jak Lenin, Trocki i Stalin, ale pisanie o jakichś czylijskich historiach, podczas gdy łajdak Wyszyński przez całe lata szarogęsił się w ONZ-cie to ze strony tego Żydziaka Janczyckiego szczyty bezczelności. Zwłaszcza, że facet jest stary i o wszystkim doskonale wie. A potem się dziwią, jaki w Polsce panuje antysemityzm!

Izabella westchnęła wewnątrz. Że też ci mężczyźni muszą zawsze powiedzieć coś głupiego, zarazem zresztą tchórzliwie, bo w cztery oczy, przy Janczykim to pan Ignas słowa nie mruknął. I w dodatku przecież pracuje w „Trybunie Socjalizmu” dobrowolnie, zaadiustuje obłudny felieton Janczyckiego oraz każde inne głupstwo czy świństwo bez mrugnienia okiem, jeszcze się będzie podlizywał. Jak taki prawdomówny i kocha prawdę, to niech się poda do dymisji i pójdzie pracować na pocztę. Ale mężczyźni są dziś w Polsce bez honoru, może to reakcja na absurdy honoru, jakie wyczyniali kiedyś, podczas Powstania?

Właściwie jeden, co się honorowo zachował to Marian. Miał już dość krycia swoją osobą tchórzliwości i niedołęstwa jednych oraz nieuczciwości drugich. Zapraǳiał pożyć jeszcze jednoznacznie, na własną odpowiedzialność, jako człowiek uczciwy i normalny. I to właśnie jego wszyscy teraz oskarżają, opluskwiają jak mówiono w Warszawie, podczas gdy taki Janczycki łąze sobie perfidnie i bez przeszkód, a Krzysztof, tkwiąc po uszy w warszawskim bagnie, leje krokodyły łzy nad nieprawościami kapitalizmu. Jakżeż okropny jest w Polsce ten męski świat, może jednak za dużo zaryzykowała nie jadąc z Marianem — to w końcu jedyny dżentelmen, jakiego znała.

Do Krzysztofa Glebowicza zraziła się mocno, w gruncie rzeczy zostawił ją własnemu losowi, domagając się jeszcze, żeby mu to wybaczyła, bo chce mieć dobre samopoczucie, czyste sumienie. Mięksiz a w istocie łobuz, nie mniejszy wcale od Janczyckiego. Ten ostatni obmacywał ją dziś swoim mysim, uważnym wzrokiem — oczy rozsądnej myszy, bez żadnego poza owym rozsądkiem wyrazu. Pisała jego chilijskie brednie z nieruchomą twarzą, parę razy jeszcze zająrzył do pokoju, jakby chcą coś po niej poznać. Jedną mu trzeba oddać sprawiedliwość: jest dyskretny i o ucieczce Mariana nie wspomina. Inni za to się nie krępują, gadają bez żenady, choć żadnej przecież wiadomości dotąd nie ogłoszono, nawet rzekoma przyjaciółka Irka sobie nie żałuje. Nikt jeszcze dotąd nie każe Izabelli odciąć się oficjalnie od męża i potępić go, ale stary, obrzydliwy Rajkowski na pewno tego nie zaniedba. Poradzi mu to oczywiście Kafarski z zemsty za to, że spała z Glebowiczem. Wprawdzie Kafarski od paru lat już nie jest jej kochankiem, ale mężczyźni bywają zazdrośni także o to, czego nie posiadają. Sam nie zje i drugiemu nie da.

Izabella spieszy się, chce wyjść z pracy punktualnie, żeby zdążyć trochę pospać przed powrotem Mamy i mieć czas na przebranie się do Szwajcarów. Ach, jeszcze i ta Mama, to też jest kara Boża! Matka dowiedziała się wreszcie na dobre i wszystkiego o sprawie Mariana, nie wiadomo zresztą od kogo i w jakiej

formie ta wiadomość do niej przysłała, tak czy owak scenom nie ma końca: że to Iza jest winna, bo go zaniedbywała czy nawet zdradzała. A to, że Mama zatruchiła Marianowi życie swym despotyzmem i wtrącaniem się we wszystko, że właściwie zepsuła ich małżeństwo, że ją buntowała i podszczywała przeciw mężowi, to się nie liczy, to zostało nagle zapomniane. A zapomniane nie istnieje, nigdy nie istniało. Przynajmniej dla mamy.

Nie chce dzisiaj dyskusji z Mamą, bo musi u Szwajcarów ładnie wyglądać. Ten Bürckelman, kto wie? Krzysztof to, okazało się, żaden spadochron, jego znane „miłości” to sztuczne, zimne ogniki, a bajdurzenia o okropnościach zachodniej demokracji nie okazały się dostateczną osłoną — na pewno Rajkowski zażąda więcej i to również od niej. Tymczasem Bürckelman...

Ten młody sekretarz szwajcarskiej ambasady ogromnie się do Izabelli zalecał, czego ona oczywiście skrupulatnie unikała. Oczywiście, bo wiadomo, co z tego może wyjść: albo strasza awantura i wylanie z posady, albo przeciwnie, uprzejmie zaproszenie do Urzędu Ochrony i propozycja współpracy czyli donoszenia. Innych przeszkód nie stwierdzono, sekretarz był ogromnie miły, mówił nawet zabawnie po polsku, a żonę miał dziwacznie filuterną i dużo pijącą, która na wszystko wokół zapatrywała się żartobliwie oraz pobłażliwie.

Zapraszano zawsze do tej ambasady „prezesa Mariana Waczkowicza wraz z Małżonką”, a dzisiaj właśnie i to na szwajcarskie święto narodowe, przysły dwa osobne zaproszenia, dla prezesa Waczkowicza i dla pani Izabelli Waczkowicz. Poczciwy Bürckelman oczywiście wiedział już wszystko, ale chciał ją zobaczyć, chciał jej ułatwić sytuację. I tu Izabelli błysnęła myśl: zacząć z nim flirt. Ostentacyjny flirt na oczach ludzi, a przede wszystkim na oczach występujących w charakterze kelnerów, Ochrońiarzy. Może to właśnie będzie ratunek? Wiadomo, że Oracyk niczego tak się nie boi, jak międzynarodowych skandali, takich, co mogłyby dojść do wiadomości Rosjan. A więc...

Właśnie oto pod swoim czerwonym parasolem Izabella wędruje w stronę szwajcarskiej ambasady — jest to pałacyk na rogu Pięknej i Alei Ujazdowskich, obok Amerykanów, którzy zbudowali sobie siedzibę nowocześnie szklaną i bez stylu, choć z okazałym frontem i zajazdem dla samochodów. Ta ambasada amerykańska miała być znacznie wyższa, wtedy prezentowałaby się o wiele lepiej. Na takie jednak jej wywyższenie nie zgodził się Szef Baryłka — nie mogła wszakże amerykańska budowla górować tak ostentacyjnie nad dookolną polskością, a zwłaszcza nad Sejmem, byłaby to ujma dla stołecznego prestiżu. Ten Baryłka to był wyjątkowy idiota, nawet jak na przestraszonego

komunistę, przez swoje wtrącanie się zepsuł mnóstwo rzeczy w odbudowującej się Warszawie. Warszawska anegdota mówi, że ponieważ jest to człowiek bardzo skromny, więc na swym przyszytym grobie zalecił umieścić napis również nader skromny: „Józef Baryłka — ekonomista”.

Za to obecny Sekretarz Oraczyk, to człowiek wcale rozsądny, przy tym wywodzi się z Zachodu, więc zna duszę ludu i jego potrzeby: na Zachodzie masę robi się dla prostych ludzi, podczas gdy na Wschodzie wbrew nazwie i oficjalnej idei, przystosowuje się wszystko do potrzeb i pojęć rządzącej elity, od ludu dawno oderwanej. Ale Oraczyk był ze Śląska, długo żył ze swoimi górnikami w Polsce, Francji, Belgii, wiedział czego im brakuje. Zamek Królewski, fenomenalne Wesołe Miasteczko w Chorzowie, wille wypoczynkowe, parki, aleje, baseny — to był ów jednostronny lecz efektowny luksus jego rządów. Nowoczesna Trasa Mostowa, Warszawa w zieleni, samochody wspinające się po kilkupoziomowych napowietrznych estakadach, to też niezły Oraczykowy numer, tyle, że zasługę usiłował sobie również przypisać ambitny i stosunkowo młody warszawski sekretarz opozycjonista — Trawa. Tłumy wycieczek z prowincji pilnie oglądają wszystko, mają zajęcie — turystykę. Tylko gastronomii, systemu obrzydłego żarcia w knajpach nie udało się dotąd nikomu poprawić — ale to już kwestia socjalizmu.

Ów socjalizm to też jeden z męskich obłędów nie do wyperswadowania. Idąc teraz wśród sierpniowej mżawki pod swą czerwoną parasolką, Izabella próbuje wprowadzić się duchowo w stan odprężenia i spokoju, właściwy akredytowanym w Warszawie przy różnych ambasadach, konsulatach czy misjach cudzoziemcom z Zachodu — Izabella знаła ich wielu przez Mariana, który miał u nich opinię zwolennika reform gospodarczych w stylu zachodnim czy przynajmniej jugosłowiańskim. Jakżeż ci cudzoziemcy dobrze tu sobie żyli, jak u Pana Boga za piecem, lepiej, niż w swoich własnych krajach, bo otoczeni sztucznym luksusem i niewidzialną opieką władz. Kupowali najświeższe wiejskie produkty na jednym z niewielu pozostawionych prywatnych warszawskich zieleniaków, ceny, przy dziwacznych, socjalistycznych przeliczeniach a także przy chętnie w tym wypadku tolerowanym czarnym rynku nie grały dla nich roli, niczego z dookolnego życia nie rozumieli, niewiele pracowali i — czuli się doskonale. Spokojni, rozluźnieni, ufni, jakże planowo sobie żyją, obmyślając wakacje w Grecji czy na Sycylii, wychowując dzieci, kształcone w specjalnych szkołach dla cudzoziemców. Czasem łudzili się, że robią jakąś politykę, zbierając plotki bez znaczenia lub oglądając mylące fasady spraw, przeważnie jednak

zajmowali się formalnościami konsularnymi, udzielając lub nie udzielając wjazdu do swoich uprzywilejowanych krajów. Nie brakło wśród nich ludzi „postępowych”, marksizujących nawet, nie żalowali wówczas krajowcom dobrych rad, że mają przecież w Polsce życie wcale niezłe, więc żeby się nie buntowali. Sekretarz Oraczyk, jako reemigrant z Belgii, mówiący po francusku budził w nich nieopisany entuzjazm, za to jedno gotowi byli udzielić mu pełnego zaufania, toć to Europejczyk. A iluż przybywało tu z Zachodu pewnych siebie kompletnych osłów, zwanych dziennikarzami, nie znających wschodnich języków i powtarzających komunały za polską prasą, a dających się wodzić na pasku przez dobrodusznego poliglota, „ministra” Jana Gnatka. Mój Boże!

Zaś obok tych spokojnych pewnych siebie ludzi tłoczyli się na dyplomatycznych *cocktail*’ach polscy neurastenicy, literaci, profesorowie, aktorzy, pożał się Boże elita ludzi bezradnych, żądnych otarcia się o cudzoziemski, reprezentacyjny spokój, wyrobienia sobie stosunków czy załatwienia czegoś, względnie po prostu darmowego popicia whisky. Kłębki nerwów i niepojętych dla Zachodu kłopotów oraz intryg. A wszystko to mrowi się i przepycha po ambadorskich salonach, skrycie obserwowane przez przebranych w kelnerskie kitle, dobrodusznym na oko agentów Ochrony, przetkane z rzadka polskimi dostojnikami, ministrami, sekretarzami czy czasem nawet członkami Biura. Ci ostatni zresztą zazwyczaj nie wiele mówią, nawet wówczas a zwłaszcza wówczas gdy tysiącgębna plotka głosi, że w Warszawie czy w Kraju dzieje się coś wstydliwego. Bo, jak twierdzi wiejskoświatowy Metternich ewentualnie Talleyrand Jan Gnatek „politycy nigdy nie mówią rzeczy wstydliwych, to dla nich żadna frajda — oni frajdę czerpią z przemilczania”. Oczywiście mówił to prywatnie, gdy uderzał w konkury do Irki i chciał się popisać, z czego jednak nic nie wyszło.

Nikt więc nie żywi żadnych złudzeń co do dyplomatycznych, zachodnich przyjęć, nie ma też tu i dzisiaj żadnych niespodzianek, choć święto szwajcarskie przypada w sierpniu, miesiącu nie typowym, poza sezonem. Sympatyczny Bürckelman stoi przy wejściu wraz z ambasadorem i jego żoną, wita przybywających i przedstawia swemu szefowi, popisując się przy tym zabawną polszczyzną. Przed otwartymi drzwiami pałacu ustawili się długi ogonek wytwornych pań i panów, Izabella samotna też staje w kolejce, Bürckelmanowi na jej widok z daleka roziskrzają się oczy, choć, nieszczęśnik, nie wie jeszcze, że jego godzina w końcu nadeszła. Ale może i on się cofnie, boć dyplomaci też mają swoje zakazy, zachodnie rządy nie lubią skandali erotyczno-spiegowskich (na jedno to w końcu wychodzi) w komunistycznych stolicach.

Wszyscy mężczyźni są dziś ostrożni w tym ostrożnym mieście — tylko za Hitlera lecieli do przodu po wariacku. Widać się na tym wyczerpali, mimo zmiany pokoleń.

Szwajcarski sekretarz gorąco ucałował koniuszki jej palców i skierował ją do również znajomego Ambasadora, wobec którego skleciła parę grzecznościowych zdań po niemiecku. Nikt oczywiście nie pyta o męża — delikatni ludzie ci dyplomaci.

Bürckelman jest na razie zajęty, więc Izabella sama wchodzi po schodach na salę. Wie, że wygląda ładnie w paryskiej spódniczce i niebieskim wdzianku, chce zrobić wrażenie, dobrą minę do złej gry. Chce i musi, jej sytuacja może się każdej chwili okazać fatalna: mieszkanie, posada, matka, opinia, agenci ochroniarscy, śledztwo, zawracanie głowy. Mechanicznie numeruje sobie w myśli nudne etapy swej ewentualnej męki, najgorsze właśnie, że nudne, czyż nie ma już niczego niespodziewanego w tym warszawskim akwarium?

Wejście jej przeszło niezauważone, choć ten co trzeba na pewno zauważył. Starszy oberkelner pospieszył do niej z sokiem pomidorowym na tacy, pamięta, że ona nie pije alkoholu. Ludzi jest sporo. Izabella przygląda się nie patrząc, wyłuskuje parę znajomych twarzy, czuje, jak ukłucie, czyjeś zdziwione spojrzenie. Acha, to Podkowiak, niewydarzony zastępca Rajkowskiego, były naczelny, tępy mięczak ludzki, za tępy nawet dla komunistów! Rozmawia z jakimiś młodymi zagranicznymi dziewczynami, bardzo wydekoltowanymi, jedna ma na bluzce francuski napis „*Fait l'amour, pas la guerre!*”. Oto kwintesencja zachodniego idiotyzmu i egoizmu — nie chcą się bić, nie wiedzą o co mieliby się bić, skoro w tej chwili jest im dobrze. Logika wieprza. Ileż już nieszczęść ściągnęli na świat tą logiką, choć i na siebie samych w czasach Hitlera. Tyle, że za mało przecierpieli, grubo za mało. Izabella przypomina sobie pobyty w Niemczech Zachodnich, dnie, jakie tam spędziła z Marianem. Ależ sobie tam żyli ci sprawcy nieszczęścia! Właściwie należy życzyć zwycięstwa Rosjanom, tak czy owak to są poważni ludzie. I bić się będą na pewno, nie „robić miłość”. A jak już wszystkich stłuką na kość, to może i ich idiotycznie kamienny system złagodnieje. Tylko kiedy to się wreszcie stanie? I co wtedy będzie z tego miała uwięziona w warszawskim akwarium, w duchowym warszawskim akwarium Izabella? Uwięziona w dodatku wraz z podenerwowaną, nieszczęsną matką.

Te myśli ogólne po trochu ją zajęły, ani się obejrzała, jak upłynęło sporo czasu a ona wciąż stoi sama ze szklaneczką pomidorowego soku w ręku. Więc to tak? Ano — łatwo było przewidzieć. Bürckelman zajęty przy drzwiach a ona dalej stoi

sama. Po prostu symboliczne. W oddali zamachało do niej rękami znajome niemieckie małżeństwo, przyzywają ją uśmiechem, trzeba się do nich przepchnąć, to będzie towarzyski ratunek. Na sali już tłoczno, Izabella rozpoczyna swój manewr i oto staje twarzą w twarz — z Krzysztofem.

Zaskoczenie zupełne, coś takiego wcale nie przyszło jej do głowy — zdarzają się więc jednak niespodzianki. Krzysztof w dodatku nie jest sam: obok stoi jakiś chłopak niezwykle, młodziutki, poważny, wzrok ma skoncentrowany, w twarzy coś ujmującego nieśmiałego a zarazem przecież zuchwałego. Czyżby to...

— Co za niezwykle spotkanie — mówi Izabella głosem całkiem nieswoim. Widzi, że Krzysztof robi się czerwony aż po uszy. Ale nie ma wyjścia. — Mój syn, Janusz — przedstawia. — Pani Izabella Wacz... — coś mu się tam zmeło w ustach przy tym nazwisku.

— Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, ale jakież to drogi sprowadziły dziś obu panów do szwajcarskiej ambasady? — próbuje żartować Izabella, ale głos jej się łamie, bo oto w ciemnych oczach tego chłopca błyska niechęć, wyraźna, ostra niechęć. On coś o niej wie, coś w związku z ojcem. A więc, po prostu — wie wszystko.

Istotnie, dzisiejsze drogi Janusza do szwajcarskiej ambasady nie były proste — wiele się na tę wizytę musiało złożyć. Ojciec zaniepokoił się o niego, rzadka rzecz — zapisać węglem w kominie! Musiał po prostu zadzwonić wuj Zygmunt, a raczej nie, w takich sprawach się nie dzwoni, w każdym razie ten skrupulatny, nerwowy zając nigdy by tego nie zrobił. Pewno przyszedł do Ojca (oczywiście nie do redakcji), albo się umówili na mieście, no i poskarżył się — od serca. Że Janusz obraził w R... jednego z wielkorządców Polski, Władysława Syruczka, z którym wuj Zygmunt miał właśnie załatwiać ogromnie ważne sprawy swojego resortu. Szczęściem w nieszczęściu towarzysz Syruczek jakoś się nie obraził, pewno dzięki wódce, ale na drugi dzień mógł sobie niejedno pomyśleć, a może także przygadał coś wujowi. Janusz z bólem głowy poszedł wtedy rano do tamtejszego etnograficznego muzeum i potem już swoich osobliwych wczorajszych rozmówców nie widział, ale sprawa nadal musiała się toczyć, rezultat — telefon ojca.

Stary zaprosił go do siebie na Mirów, co już dawno się nie zdarzyło — widać sumienie mocno go ruszyło albo się przestraszył — prędzej to drugie. Coś tam sobie upitrasili na obiad, ojciec był trochę zmieszany, ale nawet miły, bolał pewno nad tym, że syna zaniedbał i znów będzie pasztet, jak w 68-mym.

Potem zaproponował *cocktail* u Szwajcarów, miał dwuosobowe zaproszenie (czemu?!). Janusz chyba nigdy takiego zagranicznego cyrku nie widział, zgodził się, poszli nawet pieszo, mimo ciepłej mżawki. No i w drodze nastąpiła nieunikniona, światopoglądowa pogaduszka — ojciec w domu, z wiadomych względów, na poważne tematy nie rozmawia.

Zacząli oczywiście od sprawy Syruczka, obrażonego rzekomo Przewodniczącego Związków Zawodowych. — To nie są żadne związki ani też on nie jest żadnym przewodniczącym — sarka Janusz. — Wszystko nazywa się tutaj nieprawdziwie, przeciwnie do swojej treści. Po co temu ulegać, po co przejmować ich język — jeśli się nie musi?!

To była wyraźna aluzja do ojcowego pisania. Stary jednak nie daje się sprowokować, zaczyna od wielkiego dzwonu, że cały wielki świat dziś, w epoce techniki się emancypuje, że na porządek dzienny weszły problemy globalne, a Polska to maleńki fragmencik, który wcale a wcale nie jest pępkiem świata. — Posłużyć się Chinami, Ameryką, Afryką aby rozstrzygnąć sprawę polską — czy to nie za wielka bzdura, czy nie nazbyt już obłądne uroszczenie?! Cały świat ma służyć sprawie polskiej, czy to nie żądanie cudu? Megalomania narodowa, prowincjonalny egocentryzm, podniesione do rangi nowego mesjanizmu? I żebyż jeszcze były jakieś szanse, ale w dzisiejszym świecie... Zastanów się Januszu.

— A właśnie w dzisiejszym świecie maleńki i częściowo sztucznie przez paru fanatyków i rozrabiaczy wymyślony naród palestyński zrobił ze swojej sprawy problem światowy i spędza sen z powiek największym politykom. Izraelczycy zaś nie zawahają się w obronie swego „egocentryzmu” rzucić bomby atomowej. O roszczenia narodowe Greków i Turków na maleńkim Cyprze wybuchnąć może globowa zawierucha, tak samo o Serbów w Jugosławii lub Kurdów w Syrii czy tam Iraku. Burzą się nieznane nikomu dawniej małe szczepy, Baskowie, Korsykanie, Bretończycy, Wallonowie i Flamandowie tłuką się w samym sercu Brukseli. Przyszła epoka emancypacji najmniejszych choćby narodów, nikt z tych nowych patriotów nie myśli globalnie, właśnie prowincja, samodzielna prowincja staje się najważniejsza, fragment silniejszy jest niż całość, bo upór małej grupki ludzi spowodować dziś może światowy kataklizm. Tak było w 39-tym, kiedy Beck się uparł i wbrew zachodnim rzekomym potęgom sam wystąpił przeciw Hitlerowi, rozpętując wojnę światową właśnie o sprawę polską. Jeszcze bardziej aktualne staje się to dziś, w epoce, jak mówisz, uniwersalizmu technicznego, kiedy paru prywatnych, nieznanym facetów z tanią bombą atomową w pu-

dełku, zatrząść może globem. To nie fantazja, to już najbliższa przyszłość...

— To jest czysta fantazja — i nieznajomość historii. Prawda, Beck zaczął wojnę bez sojuszników bliskich, a z sojusznikami dalekimi, „egzotycznymi”, z Anglią i Francją, wcale nie gotowymi do wojny i nie przekonanymi co do jej konieczności. Wojna z najbliższymi sąsiadami i bez bezpośrednich sojuszników skończyła się dla Polski tragicznie — coś chyba o tym wiesz. A dziś już w tej części Europy żaden Beck o żadną Polskę nie sprowokowałby światowej zawieruchy. Tutaj trwa pokój zawarty kiedyś przez wielkie mocarstwa, rozgraniczenie stref wpływów — punkty zapalne przeniosły się gdzie indziej, teraz prędeż o małą Malte czy Cypr wybuchnie wojna niż o ustabilizowaną Polskę. Czy się kto na Zachodzie ruszył gdy w 56-tym roku walczono w Budapeszcie? A Praga 1968 nic ci nie mówi?!

— Więc wielomilionowe narody wschodniej Europy skazane są na marazm i niewolę, podczas gdy śmieszne szczepy Basków czy Korsykanów domagają się niepodległości? A patrioci irlandzcy, bijący się sami przeciw całej potędze angielskiej i to gdzie się bijący?! W sercu Londynu, na ulicach, w lokalach publicznych, w prywatnych mieszkaniach nawet: porywania, bomby, sabotaże. Tylko takiego śmiertelnego szantażu ze strony małych, nieuchwytnych grupiek zleknać się mogą moiżni tego świata, ci, co nie wiadomo w jaki sposób dorwali się do aparatu władzy. Na wschodzie Europy nikt dotąd na to nie wpadł, ale wpadnie — możesz być spokojny. Skoro każde głosowanie jest tu fikcją i oszustwem, choć dyktatura zbiera sobie z reguły ponad 98 procent głosów, to trzeba przerwać ten cykl anarchią. Inaczej...

— Jak to, ty chcesz anarchii i zamachów, walk bratobójczych po wszystkich dramatach, jakie tu były za Hitlera i później?! W tym skrwawionym, tragicznym kraju?! Nie masz krzty sumienia i odpowiedzialności narodowej! I jakim prawem chcesz narzucać ludziom nieszczęście, nie pytając ich o zdanie? Przecież w ich imieniu nie występujesz, oni chcą żyć normalnie i spokojnie pracować. Więc co — w imieniu własnych fantazji i kompleksów? W imieniu własnej, inteligenckiej nudy?!

— Nikt tu nie żyje normalnie, choć może o tym nie wiedzieć. Trzeba mu to więc uświadomić. A co do odpowiedzialności, to każde pokolenie ma odmienną, ma własną... I z nikim nie może się nią dzielić. Taka a nie inna jest dialektyka historii — o której lubisz mówić...

Trwało to aż do samej ambasady — weszli tam zmoczeni, roztargnieni, zdenerwowani. I nagle oto Janusz stoi naprzeciw tej czarnuszki, o której wiedział, że jest ostatnią flamą ojca.

Wydaje się zmieszana, lat ze trzydzieści, ciemne oczy patrzą w Janusza ni to przepraszająco ni to znacząco. Na dziwkę nie wygląda, jakaś taka poważna... I ojciec też zmieszany. Cóż za głupia sytuacja, idiotyczna. Niepotrzebnie też wdał się z ojcem w zasadnicze rozmowy. To do niczego nie prowadzi, tak jak owe alkoholowe bełkotanie z Władysławem Syruczkiem w R... Wiedzieć swoje, robić swoje — oto jedyne zadanie. A biedny ojciec uwiązał w swojej czasowej przegródce, uwiązał bardziej niż Stary Józio.

I w ogóle trzeba się stąd zmyć, opuścić ten mały gaj, kawałek głupiej zachodniej Europy, umizgającej się do wschodniego despoty. Ominąć wgapiające się w niego ciemne oczy, zmylić uwagę ojca, którego przed konfuzją uratowali jacyś szwargoczący zżywieniem cudzoziemcy. Pobyć znów tylko ze sobą, odczepić się od namolnych ludzi z akwarium.

Janusz idzie Alejami, prawą stroną, w kierunku Belwederu. Na drugim rogu Pięknej ciemnieje niezamieszkały pałacyk, o którym mówi się, że straszą w nim duchy. Potem ulica Szopena z rumuńską ambasadą i Doliną Szwajcarską, wreszcie Aleja Róż i ambasada Anglików. Janusz idzie swobodnie, bez płaszcza i kapelusza, nastawiając z rozkoszą twarz na ciepłą, rozpyloną w mnogości niewidocznych kropelek przedwieczorną mżawkę. Z tyłu ściga go jakieś pospieszne stukanie obcasów, coraz bliżej i bliżej. Mimowoli ogląda się i zastyga w niemym zdumieniu. To biegnie za nim ta... dziewczyna czy pani, biegnie energicznie, wymachując nie otwartym, czerwonym parasolikiem. Zrównała się z nim, zadyszana lecz uśmiechnięta, z kroplami mgły w czarnych włosach.

— Ach proszę pana — mówi Izabella — ledwo pana dogoniłam! Nie wiedziałam, w którą stronę pan poszedł!

Janusz wciąż nie wierzy, teraz z kolei swym uszom.

— Ale po co pani mnie goni? Nie wystarczy pani ojciec, jeszcze syn potrzebny?! — Janusz mówi z zamierzoną brutalnością, gorzej to nawet wyszło, niż chciał. Może się obrazi, da mu po pysku? Tymczasem ona z uśmiechem, wcale niezrażona, próbuje go wziąć pod rękę. Zwariowała do reszty czy co?

— Nie mam czasu, muszę pojechać autobusem — mówi, wyszarpując rękę. Są już na przystanku blisko Trasy, akurat zajeżdża dosyć luźny autobus. Janusz wsiada do niego, lecz kątem oka widzi, że ona robi to samo. Czuje ją wciąż koło siebie, ją i ten uśmiech ni to przepraszający ni to wybaczący (co właściwie ma do wybaczenia?!). I oczy ciemne, natrętne penetrujące.

Autobus jedzie w dół Belwederską, skręca w Chełmską, potem w nową Wisłostradę w kierunku Sadyby, gdzie ani Janusz

ani Izabella nie mają nic do załatwienia, żadnego interesu, żadnej sprawy czy pretekstu. Mimo to jadą w pustym już niemal wozie, milcząco pogodzeni z dziwaczną sytuacją, tkwią obok siebie bez słowa na przedniej platformie. Autobus jedzie w coraz gęstniejącym zmierzchu i deszczu. „O pociągu jesienny, jadący w szarugę...” przypomina sobie nagle Janusz strofę z Gałczyńskiego. I, mimowiednie a skrycie obserwować zaczyna Izabellę, odkrywając znowu, że ona nie spuszcza zeń oczu. Cóż za heca, coś za absurdalna historia!

XI

Sierpień trwa, niby to miesiąc urlopowy, ale wszyscy zainteresowani siedzą w Warszawie, trochę sennej, trochę opuszczonej, gdzie na ulice wylegli teraz starzy ludzie, kobiety w chustkach, z żylakami na zmęczonych nogach, mężczyźni zgarbieni, coś tam wciąż bezzębnie żujący, a dla kontrastu wędrujące parami, świergotliwe wycieczki dzieci z prowincji. Pogoda się poprawiła, jest słonecznie choć rankiem i wieczorem mgliście. Taka oto sceneria dla wibrującego gdzieś w ukryciu podniecenia.

Jednym z katalizatorów czy przewodników (elektrycznych) tego podniecenia jest dwudziestolatek Bogdan, elektromonter właśnie, pracujący w Sejmie i innych państwowych gmachach. Sejm na Wiejskiej, architektoniczne dziwactwo, stoi w miejscu, które wielokrotnie zmieniał przeznaczenie, choć i przed wojną mieścił się tu parlament. Sierpień to miesiąc remontów, Bogdan ma teraz w ogrodzonym rusztowaniami sejmowym budynku (do którego przylega kancelaria Rady Państwa) dużo do roboty, a przy okazji zawsze znajdzie chwilę czasu, żeby wpaść po drodze do Janusza, swego duchowego przewodnika. Tak jakoś się stało: Janusz zawdzięcza edukację Marcowcom, a sam z kolei uczy Bogdana. Szkolenie polityczno-wychowawcze, nic innego.

Bogdan to uczeń pojętny — od pewnego momentu. Tęgi, szerokokościsty, z głęboką bruzdą na czole, poznał Janusza dwa lata temu, z okazji jakiejś reperacji w ich mieszkaniu. Rodziny żadnej nie miał, wychowywał się w Domu Dziecka i od razu po szkole technicznej poszedł do pracy. Był posępny, małowówny, nad wiek nieufny, dopiero Janusz, niecałe cztery lata starszy, wzbudził w nim zaufanie — Bogdan zaczął przychodzić i przychodzić, potem znikali gdzieś razem na długie godziny. Janusz zabrał go kiedyś na zebranie wiadomej trójki Marcowców i to okazało się przełomem. Wzmianka o pakcie Ribbentrop-Mołotow, o którym nigdy nie słyszał, poruszyła go głęboko. Zaczął się roz-

pytywać, dociekać, szukać książek i materiałów. Jak mógł o tym nie wiedzieć, w szkole nie uczono o Czwartym Rozbiorze Polski, a więc spisek, zmowa milczenia? Jeśli w ten sposób można ukryć i zafałszować historię, to ileż fałszerstw otacza nas w tej chwili? I kto to wszystko robi, kim są odpowiedzialni, kim są kierownicy spisku?! Co na przykład znaczy ów Sejm, gdzie Bogdan teraz pracuje, Sejm dostojny, majestatyczny, marmurowy, o którym wszyscy wokół mówią, że nie ma żadnej władzy, że nic nie znaczy. Jeżeli jednak nic nie znaczy, to czemu jest taki uroczysty i wspaniały, czemu pracuje tutaj tylu ludzi, trudno się dostać bez przepustki, zwłaszcza na imponującą plenarną salę z zielonymi fotelami, tutaj właśnie Bogdan instalował niedawno nową sygnalizację elektryczną dla człowieka, zasiadającego najwyżej i zwanego Marszałkiem Sejmu. Kto zacz ten człowiek taki ogromnie ważny, przecież o nim naprawdę w Warszawie nikt nie wie, nawet nazwiska jego się nie pamięta, ludzie nie poznaliby go na ulicy. Jak może w centrum miasta funkcjonować nieznana nikomu potęga, o której w dodatku się mówi, że nic nie znaczy i do niczego nie służy? Czyż nie kryje się tu jądro owego spisku, który działa na różnych frontach, ukrywając między innymi przed narodem taką niesłychaną sprawę sprzed lat trzydziestu paru jak wspólny napad Niemiec i Rosji na Polskę? Polska zawsze była ofiarą spisków, okazuje się, że spisek nadal trwa. Jak go ujawnić, jak zaalarmować społeczeństwo?!

Oto problemy Bogdana, oto jego myśli, gdy z bruzdą na czole, długowłosey, w niebieskiej robotniczej bluzie przebiega jak lunatyk ulicę Wiejską, aby wpaść do Janusza i wyciągnąć go na tajemniczą przechadzkę. Oto problemy Bogdana, tak jak je widzą członkowie „towarzystwa z Wiejskiej”, to znaczy użytkownicy, mówiąc stylem państwowym, wiadomego mieszkania ze staroświeckim hallem i nieczynnym choć ozdobnym kominkiem. Anna, Teresa, Stary Józio mają czasem wyrwykowo, mimochodem do czynienia z tym dziwnym chłopcem, gdy wpada, trafia się, że i parę razy na dzień, poszukując Janusza. W uprzykrzonym mieszkaniu nic się nie da ukryć, cienie na mleczno szklanych drzwiach rysują się wyraźnie, a hall z telefonem jest, mimo nawet animozji, takich na przykład, jaką żywi Anna wobec aroganckiej pani Teresy, terenem obrad prywatnego parlamentu, do którego czasem dołączają ludzie z zewnątrz: minister ambasador Jan Gnatek, czy zajęty bez przerwy swoją pracą i opowiadaniem o niej brat Anny Zygmunt. Wszyscy oni, chcąc nie chcąc, zetknęli się nie raz i nie dwa z młodym Bogdanem, który, choć tajemniczy i mało mówny, dał się po trochu odcyfrować Ludziom z Mieszkania, jako owładnięty obsesją dookólnego spisku, niewidzial-

nego a wszechobecnego. O, bo Ludzie z Mieszkania są też Ludźmi z Akwarium, a przebywanie w akwariu wyczuła i zaostrza zmysły, nerwy, spostrzegawczość. Ambasador Gnatek powiedział nawet kiedyś bez nacisku, iż ten młody człowiek zdradza cechy patologiczne, warto by właściwie zainteresować nim jakiegoś lekarza. Zainterpelowany o to Janusz wzburzył się ogromnie, wołał coś nawet, że to zapowiedź sowieckiej metody zamykania przeciwników politycznych do domu wariatów. Gnatek przeląkł się, w tym mieszkaniu nie chciał być politykiem, za bardzo szanował Annę, córkę dawnych dziedziców a także bał się języka Teresy. Poza tym wiadomo, że Janusz a nawet i Bogdan mają swe związki z Marcowcami, wobec tych młodych ludzi, jak sądził Ambasador, popełniono w swoim czasie duże błędy, nie należało tego wznowiać, zwłaszcza że i w Partii zdania są na ten temat do dziś podzielone. Wobec czego Bogdan trwał przy swoim, nieporuszony. Najgłębiej jeszcze sondował go i prześwietlał Józef Glebowicz czyli Stary Józio: młody człowiek szanuje go specjalnie, jako uczestnika i pogrobowca owych dawnych wydarzeń, które przed dzisiejszymi ludźmi ukryto. Raz nawet Józio wciągnął młodzieńca do swego gabinetu i odbyli poufną, dwugodzinną konferencję. Co było jej przedmiotem, tego i wścibska pani Teresa wykryć nie zdołała. Anna natomiast pewna jest, że wpływ zakamieniałego powstańca na zbuntowanego, upartego chłopca nie może się okazać dobry. Obiecała sobie nawet porozmawiać na ten temat z Krzysztofem, gdy pomiędzy jedną a drugą dziwką znajdzie chwilę czasu, aby tu wpaść. Zresztą prawie się to już teraz nie zdarza, ostatnia dziwka, której mąż uciekł za granicę, dała mu widać porządnie w kość. Ano cóż, ten człowiek całe życie szuka sobie biedy. A szkoda, bo zdolny i w grucie rzeczy przyzwoity. Tyle że słaby, jakież on słaby!

Swoją zaś drogą z Bogdanem rzecz jest niecodzienna, co do tego zgodni się okazywali Ludzie z Mieszkania, tak na ogół wobec siebie kontrowersyjni. Ten chłopak zawdzięczał wszystko Polsce Ludowej, proletariusz z krwi i kości, sierota, szkoły ukończył za darmo, pracę miał państwową i dobrą, a przecież nienawidził swych dobroczyńców jak mało kto, był „wyalienowany” niczym najczystszej krwi inteligent. I nie jest to wszakże ani zawiedziony marksista, ani wyrzucony Żyd, ani reakcjonista, żyjący przedwojennymi wspomnieniami. Człowiek z ludu — i taki właśnie zajadle nieprzejednany! Widocznie Nowe Czasy wyłaniają jednak nową kontestację, Ludzie z Mieszkania próbują godzić się z rzeczywistością, bo znają różne jej wersje i możliwości, za to ten tutaj jest chemicznie czysty, Neandertalczyk, wychowany tylko i wyłącznie na jednej strawie duchowej, inter-

pretacyjno-informacyjnej, choćby na artykułach Krzysztofa Glebowicza w „Trybunie Socjalizmu”. Straszna to broń, obosieczna broń te bezbłędne artykuły, skoro przez przypadkowo w nich otwartą lukę runęła podobnie potężna fala sprzeciwu i gniewu. Taki Bogdan, gdy się już raz zbuntuje, to już na całego: kiedy pryśnie mit bezbłędnej jednolitości, wzburzona, skoncentrowana nienawiść zaleje w nim wszystko. Czy to jest reakcja ludu, awansowanego lecz oszukanego ludu? Jakże nie podobna ona do wersji ludu nowocześnie spragmatyzowanego i nieuchronnie sfilistrzałego, którą to wersję lansuje naznaczona swym kilkuletnim pobytom we Francji pani Teresa. — Lud chce tu mieć jakie takie, spokojne życie aż do śmierci — powtarza Teresa. — Pierwszy był do tego lud francuski, co nie chciał walczyć z Hitlerem. Dlatego też dzisiaj na Zachodzie nikt się nie chce bić z Rosjanami — ci zaś mają jednak resztkę czy choćby pozór idei, mają swój lud nieszczęsny lecz wierzący, no i mają wiele milionów wojska, które nie żartuje. Kto tu ma się na kogo porywać?

Pani Teresie wtóruje ambasador Gnatek, człowiek przecież z ludu, w dzieciństwie pasający krowy, autentycznie, na przestąpieniu jednego życia, przez ustrój awansowany. Wtóruje, odpowiadając na ironicznie pogardliwe rekryminacje Janusza, domagającego się, by Partia bardziej dbała o suwerenność kraju, którym rządzi, by stawiała się i opierała zachłannie imperialistycznej Rosji.

→ Oraczyk nie może się stawiać Rosji, bo go wtedy towarzysze z Biura i Sekretariatu, choćby w strachu o siebie samych, zaszantażują i wykończą. I o cóż właściwe miałby się siepać? O samodzielną politykę zagraniczną?! Toć nonsens kompletny i nikt tego nie chce. Samodzielną politykę zagraniczną miała Polska przedwojenna, skutek wiadomy: starcie państwa na pył przez dwa puszczane w ruch młyńskie kamienie, niemiecki i rosyjski. Samodzielność Polski jednoczy automatycznie przeciw niej sąsiadów. Trzeba więc trwać w rozsądnym sojuszu, z Niemcami się nie daje, zatem z Rosją. Targować się z nią można, ale nie o żadną politykę, tylko o forszę. (Polacy zdegenerowali się, zeskurwysynieli — komentuje tę wypowiedź Janusz — chodzi im tylko i wyłącznie o forszę). — Oraczyk dba o poziom życia, dba o nową Warszawę, dba o dopływ dewiz — tyle, że stołeczny sekretarz Trawa stara się go w tym przechytrzyć, a Rosji, która chce nas wysysać, wykorzystywać nasze stosunki zagraniczne, taki konflikt między dwoma Sekretarzami bardzo jest na rękę. To pokazuje, że nie stać nas na luksus polityki konfliktowej, trzeba się zjednoczyć wokół wspólnych, narodowych celów dnia dzisiejszego. Powstać tu musi nowoczesne, jednolite społec-

czeństwo, wolne od obaw i podziałów, które trzęsą światem kapitalistycznym. Że to społeczeństwo chamskie? To się zmieni — Amerykanie też byli kiedyś chamscy. Pierwsze przykazanie na dzisiaj: zjednoczyć się, zaniechać konfliktów na pozór politycznych a w istocie rzeczy czysto personalnych!

Gnatek tak mówi, bo jest utajonym zwolennikiem sekretarza Trawy, tak jak wszyscy karierowicze, którzy twierdzą, że Oracyk skazany jest na klęskę — zresztą dosyć już zrobił — a Trawa tak czy owak będzie sobie rosła. Janusza oburza ta postawa chłopskiego Ambasadora, Bogdan podobnych rzeczy w ogóle nie słyszy, zresztą nie do niego są one zazwyczaj wygłaszane, choć może i w nadziei, że coś tam doń dotrze. Ale Bogdan to ostry zawodnik, jak mówiono w Warszawie. Słucha jedynie Janusza, albo Marcowców, gdy go zaproszą. A właśnie ostatnio odbyła się walna rozprawa Wielkiej Trójki w obecności zaproszonych lecz milczących świadków. Chodziło tym razem o politykę zagraniczną, ba, politykę światową, Polski. Jakiej Polski? Oczywiście nie tej urzędowej, państwowej, wypowiadającej się ze szpalt „Trybuny Socjalizmu”, lecz Polski prawdziwej, bez względu na to czy i gdzie ona istnieje, gdzie — choćby tylko w imaginacji i życzeniach dyskutujących przedstawicieli „środowiska”. Choć i to idealne środowisko ma swoich realistów, swoje, jak określa Henryk, skrzydło oportunistyczne. Ono to właśnie, w osobie coraz bardziej zbuntowanego przeciw kolegom Edwarda, Edzia znad morza, który wybrał i polubił dzisiejsze formy życia, przypuszcza teraz generalny atak.

— Hitler chciał podbić świat, a myśmy się mu przeciwstawili, my, Polacy — i Polska upadła. Teraz z kolei bolszewicy chcą podbić świat, z większymi na to danymi niż Hitler, a my jesteśmy w ich obozie, jako jego pełnoprawny choć na pewno nie najważniejszy członek. Więc co zrobimy?! Czy zbuntujemy się jeszcze raz, powtarzając nasze arcymoralne samobójstwo, po którym świat się znów od nas z lekceważeniem odwróci. Czy też...

— Czy też co?!

— Czy też weźmiemy udział w unifikowaniu świata przez narzucenie mu pewnych kryteriów, i form rządzenia, które znamy tutaj z nie najlepszej strony, ale które na szerokich kontynentach mogą ulec przekształceniu, napełnić się nową treścią? Już zachodnie partie komunistyczne to co innego niż Rosja, ze spotkania mogą wynikać rzeczy niespodziewane. Historia ma swoje drogi i sposoby...

— Więc chcesz na spółkę z Rosją podbić świat, pomóc Rosjanom w tym zbożnym dziele? — Henryk ostatnio w rozmowach

z Edkiem nie umie zachować spokoju, po twarzy znów latają mu nerwowe skurcze. — Ale Rosjanie, mój Edku, do tego interesu nie potrzebują współpracowników, oni chcą sami rządzić, a wszyscy inni będą ich niewolnikami. Zachodni komuniści też się podporządkują, albo znikną. My również będziemy niewolnikami. Chcesz tego? Chcesz się do tego przyczynić własnymi rękami?!

— Więc co proponujesz?

— Nie muszę niczego proponować, mogę na przykład tylko stwierdzić lub przypomnieć. Że choćby pozostawienie Rosji samej sobie w czasie rewolucji było największą hańbą i zbrodnią świata zachodniego, a raczej w ogóle świata. To było jeszcze gorsze niż pozostawienie Hitlera samemu sobie i pozwolenie mu, aby się zbroił. Na Hitlera znalazła się siła, na tego giganta izolacji, neurastenii, obłędu, siły nie ma. Chcesz im pomagać, owszem, pojedziesz na front chiński, tyle, że, jak widzę, pojedziesz z radością, z satysfakcją moralną dobrze spełnionego obowiązku.

— Bzdurzysz! I niczego nie proponujesz.

— Bo nie muszę. To szantaż i zniewolenie mózgu, że trzeba zawsze coś proponować...

— A co się stało, już się nie odstanie. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Jest już za późno!

— Nigdy nie jest za późno, historia to nie zegar, dochodzący raz do określonej godziny, historia ma swój czas wciąż się odradzający — mówi sentencjonalnie Witold, brodaty senior grupy, przecinając dyskusję.

Nigdy nie jest za późno, nigdy nie jest za późno, historia to nie zegar, nigdy nie jest za późno! Oto dzwoniące w uszach, w mózgu, w sercu motto, jakie wyniósł z rozmowy Janusz. Motto Witolda, motto marcowców, jego motto!

Ale gdzie właściwie podziewa się ten Janusz?! Już druga połowa sierpnia, a jego coraz mniej widać. W domu pojawia się rzadko, wraca późno, unika zwłaszcza Teresy i seansów w jej pokoju. Podobno wczesnym rankiem widuje się go z Bogdanem w ogrodzie Sejмовym a potem gdzieś znika i nie ma go nigdzie. Brakować go zaczyna, aż solidarnie niepokoją się o niego Ludzie z Mieszkania: skłopotana Anna, zamyślony Józio, agresywna Teresa.

Gdzie jest Janusz? Aby go odszukać, najlepiej wziąć w Alejach Ujazdowskich autobus zdążający ku Sadybie. Jechać Alejami, Belwederską, Chełmską i Wiślostradą, wysiąść przy małym kościółku z zieloną kopułą, taką samą, jaką ma niedaleki jego bliźniak w Wilanowie. Stąd zaś, z przedkościelnego placu ruszyć na ukos starą, kamienisto-trawiastą drogą, wśród dREW-

nianych domków działkowych, wśród zrujnowanych bud i zapuszczonych, osamotnionych ogrodów ku Czerniakowskiemu Jeziorku.

To tutaj, nad marszczącą się wodą, wśród krzaków, płataniny ścieżek i zarośli, u stóp polskich, nadwiślańskich topoli, lecz także w cieniu ogromnych kominów siekierkowskiej elektrociepłowni znajduje się to przedziwne, wiejsko-miejskie miejsce, gdzie w leniwie palącym sierpniowym słońcu tak oszałamiająco pachną zioła. Zioła, trawy, szuwały, wiklina — a w jasnoblękitnej głębi nieba wisi gdzieś jak nieruchoma biała ważka samolot. I łagodnie szumi daleki, zagubiony gwar miasta.

Janusz leży na wznak z rękami pod głową, wpatrzony w pochyloną nad nim twarz Izabelli. — Skąd wtedy wiedziałś od razu, że to właśnie ja? — pyta po raz setny.

— Od razu wiedziałam że to ty — mówi Izabella. — I od razu wiedziałam, że to jesteśmy MY. I że nic innego nie istnieje. W ogóle nigdy nie istniało.

— Ale przecież to nie miało sensu...

— Tylko to ma sens. Cała reszta jest bez sensu, to co nas otacza. Sens ma się w sobie — albo nie ma go wcale. Ja go mam od tygodnia. Rozumiesz: odzyskać sens i spokój, odzyskać życie — od tygodnia? A właściwie — zacząć dopiero życie. I pomyśleć, że jestem od ciebie o sześć lat starsza!

— Chyba przesada.

— Nie, obliczyłam sobie dokładnie. Ale wiek się dla mnie nie liczy — od teraz. Zaczynam na nowo. A właściwie w ogóle dopiero zaczynam.

— Zdążyłaś już przeżyć dużo...

— Tak, wiesz o tym. Spałam z niejednym. I z twoim ojcem... Miałam też męża. Ale to wszystko w ogóle się nie liczy, nie ma żadnego znaczenia. Czas liczy się od tygodnia. Rozumiesz?

Janusz kiwa głową, że rozumie. On wie, że tamto wszystko się nie liczy. Wtedy, w deszczową, ciepłą szarugę wysiedli z autobusu koło kościoła i, bez słowa, trzymając się za ręce, poszli w stronę jeziorka. W pachnących, wilgotnych krzakach długo się całowali, objęci, przytuleni, drżący, stojąc jak dwa zrosnione ze sobą drzewa. Nie wziął jej wtedy i nie wziął po dziś dzień, to za ważne. Weźmie ją, gdy już stanie się tamto, osiągnie wtedy pełnię, niespodziewaną pełnię życia.

Co dzień, na długie godziny, aż po chłodny, sierpniowy zmierzch spotykają się teraz nad jeziorkiem. Każda chwila jest emocją, każda chwila rozstania czy oczekiwania opłynięta jest wzruszeniem, magicznym, nieuchwytnym wzruszeniem bez nazwy. I osłepiającym zdumieniem: że to właśnie to. I że parę jeszcze dni temu mogło tego nie być.

— Ja też myślę, że w ogóle dotąd nie żyłem. Wszystko było takie nudne... Takie... jakieś bez smaku. Musiałem coś zrobić, żeby życie nabrało smaku. I w ogóle sensu.

— No i zrobiłeś?

— Tak, prawie.

— Co to znaczy prawie?!

— Przekonaś się.

Izabella przypada do niego, przytula się, tknięta nagłym niepokojem. Te jego aluzje przestraszają ją, wie, że jest stanowczy, zdeterminowany, jakże różny od ojca. Na myśl o jego ojcu powraca zdziwienie, bezgraniczne zdziwienie. Jak to było, kiedy to było, gdzie to było? Niepojęte!

Uścisk Janusza uspokaja ją, leżą objęci wśród kołysanych teraz wiatrem traw. I pomyśleć, że to jest Sadyba, ta legendarna Sadyba gdzie przed Powstaniem mieszkali rodzice, gdzie matka została sama, aby potem, niosąc w sobie Izabellę, przedzierać się do Natolina, Jeziorny, Piaseczna. Biedna matka, biedny nieznaný ojciec, a potem jakież życie! Ale nie będzie w tej chwili o tym myśleć, choć jest na tej samej, przeistoczonej Sadybie, dziś Sadybie egzotycznej, rozkołysanej słońcem i wiatrem, gdzie nie strzyżona nigdy trawa starczy za dywan a zapach babki, szczawiu i mleczka za najpiękniejsze perfumy. Silnie ją obejmująca młodzińcza ręka to jest życie. I pomyśleć, że jeszcze przed tygodniem wcale nie znała życia. Jego prawdziwego smaku, zapachu, koloru...

Izabella od tygodnia jest na urlopie. Stary Rajkowski wreszcie ją wezwał, długo kręcił, zanim w końcu wyciągnął swoje szydło z worka. Chodzi o to, aby zajęła stanowisko wobec ucieczki męża, aby zrobiła to na wspólnym zebraniu pracowników Redakcji i Administracji. Nie jest wprowadzić partyjna, ale wszystkich pracowników obowiązuje lojalność; wie wszakże, czym jest „Trybuna Socjalizmu”. On nie nalega, nie przymusza, nie pali się przecież — ale trzeba... Nie chce się wyrzec wzorowej pracownicy... Od niej samej zależy forma...

Był wyraźnie zakłopotany, pewnie, jemu też nie łatwo, a Krzysztof w niczym nie pomógł. Poprosiła o dziesięciodniowy urlop celem namyslenia się, a w istocie dla całkiem innych celów... Stary wyraźnie się ucieszył, rozprężył, może ma nadzieję, że ona już do pracy nie wróci? Jeszcze niedawno przejęłaby się na śmierć, a teraz nic, zupełnie nic. Jakże lekkie stało się życie — jak po różach, naprawdę jak po różach. Wdychając zapachy róż z balkonu Izabella usypia wieczorami, wyobrażając sobie, że już jest słoneczny poranek i że jedzie na Sadybę. Co też każdego ranka się sprawdza z oślepiającą akuratanością.

Matka wreszcie przymilkła, myśli, że ona się martwi Marianem. Żebyż wiedziała wszystko, to by dopiero było! Że też można żyć obok siebie, nic o sobie nie wiedząc. Ale tak jest lepiej.

Układa się wygodniej w objęciach Janusza, chłonąc jego dotyk z zamkniętymi oczami. Chłopiec łaskocze ją po nosie żdźbłem trawy, Izabella leniwie otwiera oczy.

— Trzeba już iść — mówi Janusz.

— Przecież jeszcze wcześnie.

— Tak, ale dzisiaj mam coś do załatwienia.

— Coś ważnego?

— Chyba tak.

— Czy istnieje coś ważnego?

— Właściwie nie istnieje, ale to jedno będzie może ważne.

A potem urządzimy sobie życie, prawda?

— Życie to MY — już jest urządzone. Ale zresztą dobrze, urządzimy. Tylko po czym?!

— Zobaczysz.

Cień jakiś przeleciał nad jeziorkiem. Izabella widzi nagle, jak trudno będzie opuścić to zielone miejsce nad wodą, ich cudowny azyl, aby wejść z powrotem w świat niczego nie rozumiejący. Januszowi zwiduje się zmarszczona wysiłkiem twarz Bogdana, tam, w Sejmowym Ogrodzie, poniżej skarpy. Chwila obawy, chwila cienia i — znów są ze sobą, szczęśliwi nową z kolei chwilą, chwilą niepamięci, a to jest jedyne szczęście istot, uwieczonych w czasie, poddanych jego prawu nieustającego, nieustępliwego mijania, samozagłady, samospalania.

— Więc jutro o dziesiątej.

— Jak zwykle, jutro o dziesiątej.

XII

Krzysztof skończył rozmowę, odłożył telefon na widełki i znów wpatrzył się w rozległy, pasiasty pejzaż za oknami. Jak daleko sięga wzrok wszędzie pasy: zielono-białe, żółto-białe, czarno-białe. Pasy podłużnych balkonów na szarym tle wysokościowców, widok niby znany a przecież dopiero od tygodnia Glebowicz obcuje z nim w takim skupieniu, tak bezpośrednio, intymnie niemal. Pejzaż dzielnicy pasiastych wysokościowców stał się jego jedynym towarzyszem, jako że redaktor Glebowicz od tygodnia nie wychodzi prawie na miasto, najwyżej aby sprokurować sobie coś do jedzenia, nie jest to zresztą łatwe w nowej dzielnicy, gdzie sklepy właściwie należą do rzadkości. Nadenerwowawszy się w ogonku po jakąś iluzoryczną raczej kiełbasę, Krzysztof z ulgą wracał na swoje piętnaste piętro, aby znowu kontemplować niebo i pasiasty pejzaż pod tym niebem. Polubił go właściwie i to od niedawna — najtańszy, warszawski luksus, najtańsza przyjemność.

Ciszę dzisiejszego przedpołudnia przerwał właśnie przed chwilą telefon. Dzwonił Chrapiec z „Trybuny Socjalizmu” zamówić u niego pilny artykuł. Dziwne! Tego się już Krzysztof nie spodziewał.

Przeszło dziesięć dni minęło od aresztowania Janusza. I Bogdana oczywiście. Bogdana aresztowano wczesnym rankiem w ogrodzie Sejmowym, potem zaraz przyszli na Wiejską po Janusza. Zresztą dom był na pewno pod obserwacją od świtu, wiedzieli, że Janusz jest u siebie. Rewizję robili krótką, tylko w jego pokoju, jakby z góry poinformowani, gdzie co znajdują. Wynieśli niewiele, jakieś papiery i kilka książek. Teresa wyszła do nich w szlafroku, próbowała się stawiać, żądać wyjaśnień, nakazu prokuratora, ale szybko przywrócili ją do przytomności. Zresztą Janusz wcale jej nie poparł, przyglądał się całej awanturze z uśmiechem wyższości. W końcu Teresa wróciła do siebie,

zatrzasnęła szklane drzwi, aż wszystko wokół zadygotało. Tylko Ojciec i Anna czatowali w hallu i widzieli, jak Janusza wyprowadzano, było tam czterech, cywilów, piąty stał na schodach. Janusz cały czas się uśmiechał, nic nie mówił, matkę i Starego Józia pożegnał skinieniem ręki. Tyle go widzieli, a czy i kiedy go jeszcze zobaczą?

Krzysztof strawił dużo czasu na wyjaśnienie sprawy — oczywiście w żadnej prasie nic się na ten temat nie pojawiło. Do „Trybuny Socjalizmu” niemal już nie chodził, nie było chyba po co — przecież po czymś takim już go tam nie zechcą, Rajkowski umiera ze strachu, choćby nawet nie dostał jeszcze żadnych zarządzeń. Niedawno sprawa Waczkowicza, teraz znowuż to! Ale jednak zadzwonili, Chrapiec jak gdyby nigdy nic zamówił artykuł, ani słówkiem czy aluzją nie dał do zrozumienia, że dzieje się coś anormalnego. Może to konsekwencja znanej taktyki Oraczyka, aby nigdy o niczym ważnym czy konfliktowym publicznie nie mówić, aby panowała cisza, kojąca cisza, „sowiecka cisza” według określenia pewnego dawno zapomnianego literata. Milczeć jak grób, „grób, trup i spółka”, to też było warszawskie powiedzonko. Tyle, że w tym grobie jest właśnie Janusz, Janusz, co znikł bez śladu i bez echa, jak kamień rzucony w wodę. Chociaż nie, kamień zostawia a raczej budzi na wodzie jakieś refleksy, koła, fale, przez chwilę to trwa, przez długą chwilę. A tutaj nic, zupełnie nic!

Najosobliwsze, że właściwie nikt się na Wiejskiej specjalnie nie zdziwił, jakby wszyscy coś wiedzieli, coś przeczuwali. Najbardziej chyba zaskoczona jest ta wścibska Teresa, którą podobno coś tam z Januszem łączyło. Zaskoczona, a przecież wydawałoby się, że ona powinna wiedzieć najwięcej. Anna zrozpaczona, tak, ale też wcale nie zdziwiona. No a już ojciec, ten ma zupełnie spokój filozofa, czy to skleroza czy po prostu zawczasu wiedział? Zresztą oni wszyscy coś wiedzieli, tylko przed Krzysztofem rzecz ukrywano. Co prawda teraz przypomina sobie różne dziwne aluzje, powiedzonka Janusza, całą dyskusję o anarchii i zamachach, no tak, trzeba było słuchać uważnie i kojarzyć. I ta jego reakcyjna agresywność, rosnąca z dnia na dzień, choćby oburzająca scena z sekretarzem Syruczkiem w R..., o której opowiadał brat Anny. Tak, teraz dopiero układa się to wszystko w całość, jak niby tajemnicza na początku, a w istocie prosta łamigłówka. Prosta i konsekwentna, wszak trwa to wszystko i narasta od czasów marca 1968, od czasów utrudnionej matury Janusza. Teraz wszystko wydaje się tak wyraźne i oczywiste, teraz gdy człowiek zniknął. Czy zniknął na długo?

Ten dziwaczny Bogdan instalował w sali sejmowej, pod estradą prezydią i fotelem Marszałka jakąś bombę, podobno bardzo niebezpieczną, choć prymitywnie robioną. Miała swój zapalnik, drut, przewód elektryczny, prowadzący daleko, do sejmowego ogrodu — stamtąd, z odległości można ją było uruchomić, „nadać” wybuch. Bogdan działał pod inspiracją Janusza, podobno papiery na Wiejskiej znalezione miały o tym świadczyć. Wybuch, marszałek Sejmu?! Krzysztof nie może sobie nawet przypomnieć jego nazwiska, jakiś szary działacz bez twarzy ze Stronnictwa Ludowego, czyli partii posłusznych chłopów. Cóż to za pomysł absurdalny, jaki jego cel, cel ideowy, jeśli już tak się można wyrazić?!

Ano właśnie. Józef Glebowicz, okazuje się, wie na ten temat najwięcej. Wybuch w Sejmie miał być demonstracją polityczną, miał być odpowiedzią na twierdzenie ministra Ochrony Jakubczyka, który powiedział niedawno, że nie ma już w dzisiejszej Polsce przestępstw politycznych, popełnianych z pobudek ideowych. Wysadzenie Sejmu, który do niczego wszakże nie służy musi być uznane za zamach polityczny — nikt nie mógłby przecież mieć w tym jakiegokolwiek interesu, rzecz jest abstrakcyjna a więc — wyłącznie polityczna, ideowa. No i demonstracyjna: że Sejm właśnie do niczego nie służy, jest tylko Wielkim Pozorem, gigantyczną a kosztowną fikcją, więc zburzyć go, niech ludzie zobaczą, niech sobie przypomną, jak ich przez długie lata oszukiwano. Tak!

Rzeczywiście, ojciec wiedział najwięcej, ci młodzi mieli doń największe zaufanie. Ale dlaczego nic nie mówi, zaczął mówić dopiero teraz, kiedy jest już za późno? Solidarność konspiratorów?! Przecież ojciec terroru nie popierał, powiedział to kiedyś na swoim procesie, potem, po latach napisał. Mój Boże, proces ojca, jakież zamierzchłe czasy! Czyż za ich rodziną musi się ciągnąć jakaś nić czarna, nić więzienia i utajonej grozy, choć Krzysztof sił dokłada, aby ten naród zrozumiał nowe czasy, nową sytuację, nowy Dzień Dzisiejszy?!

Ojciec nie tylko wie najwięcej, ale okazał się najprzystojniejszy, najużyteczniejszy — może zagrała tu rutyna starego więźnia... Wyszukał adwokata, zebrał informacje, ma jakieś stosunki. Bo wszyscy inni zwiedli, umyli ręce, przede wszystkim ci partyjni. Ambasador Gnatek gdzieś się dokładnie zmył, podobnie jak brat Anny, Zygmunt — boją się, można w końcu ich zrozumieć, nawet ta wygadana Teresa nabrała wody w usta, też wszakże partyjna. Siedzi w swoim pokoju zamknięta, skończyły się rozmówki i ploteczki w hallu, skończyły się wizytki i złośliwe pogaduszki. Mieszkanie czyli akwarium trwa w ciszy i opuszczeniu,

parę razy próbował zajrzeć Henryk, ten demagogiczny Marco-wiec, znajomy Janusza, ale Anna bez litości wyrzuca go za drzwi.

Krzysztof naturalnie nie próbował uruchomić swych stosun-ków redakcyjnych, byłoby to zbyt skomplikowane i niebezpiecz-ne, aż do dzisiejszego, rewelacyjnego telefonu Chrapca. Wszyst-ko, czego się dowiedzieli dotąd, zawdzięczają właściwie ojcu i adwokatowi — rutyniarzowi, takiemu co to go już nic nie zdziwi. Adwokat na razie niewiele ma do zrobienia, ale coś nie coś wywęszył. Bogdana z jego instalacjami wypatrzyła Straż Marszałkowska, już od dawna mieli go na oku, podobno robił wszystko ogromnie naiwnie, wręcz nieprzytomnie. A trop pro-wadzący do Janusza nader był widoczny, zawsze widywano ich razem, ostentacyjnie razem. Jest nadzieja, że Bogdan pójdzie na badania psychiatryczne, bo zdradza wyraźne objawy patologiczno-maniakalne. Natomiast Janusz przyznał się do wszystkiego i bę-dzie odpowiadał. Kiedy? Nie wiadomo, nieprędko. Czy będzie wzmianka w prasie? Raczej nie, choć cały Sejm huczy od plo-tek. Tak więc Janusz ma szansę zostać Opozycjonistą Niezna-nym. Co do wyroku, to wymiar jego zależeć będzie, czy prze-wód wykaże, że oskarżeni przestępcy chcieli wysadzić salę sej-mową w czasie posiedzenia, wraz z owym Marszałkiem i całym Prezydium, czy też tylko dla demonstracji salę pustą. Oczywiście, powoła się świadków, rodzinę także. Kara może być wysoka — Krzysztof nie odważa się spytać jak wysoka — Pan Mecenasa sędzi jednak, że chyba Kary Najwyższej nie będzie. Chyba...

Krzysztof z napięciem i skupieniem wpatruje się w swój pa-siasty, rozległy pejzaż. Z natężeniem — jakby go widział po raz pierwszy w życiu. Nagły dzwonek do drzwi targa nim nieprzy-jemnie — coś to znów takiego, czyżby... Ale nie, w drzwiach stoi Izabella, blada, zdyszana, z roziskrzonymi oczami. Izabella, mój Boże, zapomniał w ogóle o jej istnieniu!

Krzysztof wskazuje jej fotel, ale ona nie ma zamiaru siadać. Jest wzburzona, usta jej drżą, nie może wykrztusić słowa.

— Gdzie ty się chowasz?! — syczy wreszcie. — Szukam cię od tygodnia!

— Wcale się nie chowam — Krzysztof mówi cicho, ale do-bitnie, widzi jej stan — po prostu siedzę w domu.

— Siedzisz w domu. A tam...

— Co, tam?!

— A tam twój syn... A tam Janusz...

Nagle zanosi się gwałtownym szlochem. Redaktor Glebowicz nic z tego nie rozumie. Chce ją pocieszyć (on ją?!), pogłaskać po włosach, ale Izabella z niespodziewaną gwałtownością strąca

jego rękę, opanowuje szloch i zaczyna mówić, coraz szybciej, coraz głośniejsze.

— Słuchaj, musisz coś zrobić, musisz go ratować. Zamiast siedzieć w domu idź tam, gdzie trzeba iść, już ty wiesz gdzie. Zrób wszystko, co można zrobić, powiedz im wszystko, wytłumacz, niech go wypuszczą za granicę choćby, ja pomogę, mam tam pieniądze... Ja...

— Ty?!

— Ja go kocham, rozumiesz, pierwszy raz w życiu kogoś kocham. A jak nie pójdziesz, jak ci się nie uda, to znaczy, że...

— Że co?

— Że całe twoje pisanie, te wszystkie bzdury i wazelina, to kłamstwo, które płodzisz od rana do nocy, nie przydało się na nic, rozumiesz, na nic?! Nawet do tego, żeby oni się z tobą liczyli. Uważają cię za zwyczajną dziwkę, która idzie do łóżka za pieniądze i nic więcej. Wiedzą, że nie masz honoru, a teraz jeszcze się dowiedzą, że nie masz serca i sumienia, bo cię nie obchodzi los własnego syna, jedyne go syna... Bezдушny aparat do fabrykowania kłamstw, najemny kłamca, bez ambicji, bez uczuć. Jeżeli go nie wyciągniesz, jeśli pozwolisz go zniszczyć... Najemny kłamca... Bez honoru... bez krzty honoru...

Krzysztof Glebowicz bardziej jest zdumiony niż oburzony. Ta Izabella zwariowała chyba. Ona i Janusz?! Coś mu się teraz majaczy, że zapoznał ich ze sobą w ambasadzie szwajcarskiej, że Janusz gdzieś zniknął, a i Izabelli też więcej tam nie widział. Więc tak? I to jeszcze musiało go spotkać?! Ale to już nie jest istotne. Zresztą biedna ona, wpadła w histerię. Ale to już nie jest istotne.

Siedzi teraz w fotelu i patrzy przez okno, po pokoju tłuką się jeszcze echa załamującego się głosu Izabelli. Poszła wreszcie, naobrażawszy go ile się dało. Próbował jej perswadować, ale ona nie jest w stanie zrozumieć rzeczy najprostszej. Że on prędzej ocali Janusza niż nie robiąc, niczego się nie domagając, o nic nie prosząc, lecz będąc pożyteczny przez swe pióro, niezbędny przez swe pióro. Gdy podda się decyzji Partii, będzie w spokoju robił swoje, czekał i ufał — wtedy może... To przecież wytrawni ludzie, niejedno przeszli, wiele rozumieją. Tak, to jest jedyna droga. Do niedawna wydawało się, że i tej drogi nie ma, ale telefon Chrapca pokazał co innego...

— A czy on, Krzysztof, jest bez honoru?! Biedna, głupia Izabella niczego nie rozumie, nie wie, że to on właśnie, on jeden ma tutaj honor. Wyższy honor, wymagający wyrzeczeń, heroizmu, zaparcia się siebie. W służbie dla społeczeństwa, dla

ogółu, tego ogółu podatnego na demagogię a tak mało rozumiejącego z rzeczywistej grozy narodowej sytuacji.

Komuniści rozumieją, oni jedni rozumieją, są blisko źródła strachu, dlatego boją się naprawdę, we dnie i w nocy. Oraczyk boi się bardziej niż Baryłka, ale wie czego. Jesteśmy w gruncie rzeczy pod inwazją rosyjską, choć dobrze utajoną, cały problem, całe zadanie polega na tym, aby utrzymać władzę w naszych, polskich rękach. Resztki władzy, pozór władzy, niech będzie — tak choćby jak robili Duńczycy czy Norwegowie podczas okupacji za czasów Hitlera. Na tym polega dzisiaj instynkt narodu, polityka polska, jej ukryty heroizm tkwi w zaparciu się siebie. A żeby ją robić, trzeba mówić językiem Historii, językiem umownym tej strony świata. Ktoś to musi robić, więc... Ojciec usiłował przeprowadzić to samo na procesie przed laty — odwieczny polski problem...

Krzysztof nigdy nie wyraził Ojcu uznania za jego procesową dialektykę, ojciec pewno nawet myśli, że on tej sprawy nie zrozumiał. Tymczasem on rozumiał doskonale, tylko milczał z jakiejś wstydlivości, którą odczuwamy, gdy wstecz, po latach wykrywamy w rodzicach nasze własne cechy. A tymczasem Krzysztof dokładnie sobie zapamiętał i za motto przyjął słowa ojca, zawarte w jednym z jego, już po Październiku napisanych szkiców:

„Polityk jest nie po to, żeby był sławną, historyczną postacią, ale po to, żeby nawet za cenę swojej osobistej zdrady czy hańby ułatwić życie społeczeństwu. Polityk musi bardziej kochać swój naród, niż siebie samego i niż swój obraz na tle historii”.

Ano tak, ano tak właśnie. Ojciec rozumiał „co jest grane”, jak mówiono w Warszawie — nie rozumiał natomiast że Krzysztof realizuje właśnie to samo, tylko teraz jemu, „Staremu Józiowi” wydaje się ono odrażające, bo nie dostrzegł że to jest to samo, chociaż w innych formach. Że się kłamie identycznie, jak i on postanowił kłamać na swym procesie, czy wcześniej, w czasie okupacji — zmienia się jedynie skala, metoda, postać, kolor. Ale to jest to samo, ta sama polityka, nic innego na świecie nie wymyślono.

A honor? Stary Józio wojował kiedyś z Ludźmi z Londynu, którzy siedzieli tam na swoich wysokich stolcach i tytułach tak długo, aż zapomnieli, że zawdzięczają je Krajowi, i że skoro tego Kraju, takim, jakim go znali, już nie ma, to i oni już nie istnieją. Oni i ich honor. Gdy pierwszy sowiecki żołnierz postawił nogę na dawnej granicy w Baranowiczach, ich psim obowiązkiem, ich, prezydentów, premierów, ministrów, generałów, było zjechać tam samolotem na niebezpieczne wiejskie lotnisko i powiedzieć: jesteśmy! Jesteśmy u siebie. Zamknięto by ich, rozstrzelano, wy-

wieziono na Sybir?! Możliwe, ale byli jeszcze świata znani jako Polska, wywołałoby wstrząs. Od tego w końcu siedzieli w Londynie, za to im płacono, to był ich elementarny obowiązek — wyrzucić ostatnim nabojem. A oni co?! Wysłali na niemieckie kule bezbronnym warszawskim kilkunastolatkom, potem zaś zasłonił się ową małą światu znaną konspiracyjną Szesnastką, która męczyła się tak strasznie w haniebnym, zapomnianym, moskiewskim procesie. I do tego wszystkiego jeszcze przeżyli i do dziś dnia żyją, obnosząc się po dalekim Londynie ze swymi nieistniejącymi nigdzie tytułami, mundurami, orderami, obwieszającymi starcze, zangliczane, zakonserwowane ciała. To oni mają decydować o cudzym honorze, o honorze ludzi z kraju?! Wolne żarty!

Zastąpili ich inni Polacy, nowi, prostacy, prymitywni, ale mądrzy, bo wiedzą „co jest teraz grane”. Anna skarży się na rządy Prostacków, a nie rozumie, że oni dziś, przy całym swym prostactwie czy chamstwie, przejęli wartość, polską wartość czyli polską rację stanu dnia dzisiejszego. Robią jak umieją, ale robią — nikt inny nic już nie robi, innej Polski nie ma. Chłopska, proletariacka ostrożność ponad wszystko — oto co w nich cenne, oto co wciela dziś i zawiera w sobie aktualną polskość, POLSKOŚĆ KTÓRA MA PRZETRWAĆ. A przetrwać może tylko tutaj, nie gdzie indziej, w dalekich, nierealnych krajach. Tej polskości służy Krzysztof, tej polskości po drugiej stronie służy także pewien człowiek, który zrozumiał, który pojął na czym polega relatywny światłocień słów, działań, rzeczy — ostatni polski Książę Kościoła.

Kłamać? Tak. Z dnia na dzień na przykład szlachetne hasło zjednoczenia demokratycznych Niemiec zmienia się w mądre hasło podziału Niemiec, Izrael dobry i skrzywdzony przeistacza się nagle w Izrael zły i drapieżny, cudowne, socjalistyczne Chiny jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przemieniają się w kraj rządzony przez zbrodniczych socjal-zdrajców i sługusów imperializmu. Z dnia na dzień, bezwstydnie trzeba zmieniać pogląd, nie przypominając, broń Boże, poglądu wczorajszego, bo w odbiorze milionowej trzody czytelników pozostać ma wrażenie monolitu, nieugiętej wierności i niezmienności, żadnego błędzenia tylko pewność i od pół wieku z górą ta sama droga. Janczycki to lubi, nawet kocha, zrobił sobie z tego sport, wirtuozerię, huśtawkę, która go w życiu kołysze. Redaktor Krzysztof Glebowicz natomiast wcale tego nie lubi: wie, to jest wynik rosyjskiego braku wyobraźni, Ruscy nie mogą pojąć, że lud nad Wisłą jest od nich inny, że nie wszystko gładko strawione nad Wołą gładko przejdzie nad tąże Wisłą. Wie też redaktor Glebowicz dużo o niezręczności i braku zrozumienia dla drugorzę-

nych skrupułów u Prostacków a także o łajdackim tchórzostwie sterroryzowanych neofitów w rodzaju Rajkowskiego. Wie to wszystko, a jednak jest po ich stronie — nie po stronie tamtych, czystych, za nic nieodpowiedzialnych, nie podległych polskiemu prawom ciężenia, polskiemu prawom przyciągania ziemi. Redaktor Glebowicz wie dużo i rozumie dużo — tym większy jego heroizm i zaparcie się siebie, wyrzeczenie się wiedzy bezużytecznej. I tylko w ten sposób ocalić może Janusza, tak jak jego ocalił kiedyś stary gruby redaktor Boruta. Janusza, którego doskonale rozumie, choć tamten jego nie rozumie wcale. Podobnie zresztą jest z Ojcem: Krzysztof rozumie ich obu, choć nigdy nie próbował im tego wytłumaczyć. Tym ci większa ciężar nad nim odpowiedzialność.

Telefon Chrapca, wizyta Izabelli otworzyły mu oczy, które miał zmacone przez ostatni zły, samotny tydzień. Trzeba się wciąć do pracy, to jedyna droga. Krzysztof wie, że nie ma co teraz liczyć na halę maszyn „Trybuny Socjalizmu”, zwłaszcza wobec sytuacji z Izabellą. Wyjmuje więc i ustawia maszynę swoją, czeską z polskimi znakami, którą udało mu się dostać przez Związek Dziennikarzy. Nie lubi tego, lubi pisać ręcznie, ale trudno. Rzuca ostatnie spojrzenie na dziwny, pasiasty kraj-obraz stolicy, po czym zaczyna stukać pospiesznie, niemal bez namysłu. Chrapiec zamówił wszakże rzecz konkretną, dokładnie określoną.

„Cena, jaką zapłaciły narody Europy za uwolnienie się od faszystowskiego barbarzyństwa, była straszliwa: ponad 50 milionów istnień ludzkich, w tym 20 milionów obywateli Związku Radzieckiego. Procentowo największe straty poniósł Polska — 6 milionów osób, czyli 1/5 swej ludności. Cena ta zobowiązuje tych co przeżyli i pokolenia, które nadejdą. Zwycięstwo nad faszystowskim państwem niemieckim jest i musi pozostać na wieki zwycięstwem o s t a t e c z n y m.

Wkład, jaki wnieśliśmy w zwycięstwo, dał nam moralne i polityczne prawo do współdecydowania o wygraniu pokoju. Wysiłki nasze oparliśmy o sojusz, przyjaźń i współpracę z państwem, które przesądziło o drodze do zwycięstwa i jego charakterze. Podstawą do tego stał się nasz układ ze Związkiem Radzieckim z 21 kwietnia 1945 roku, przypieczętowany wspólną walką naszych żołnierzy i zdobyciem Berlina. Sojusz ten zwielokrotnił możliwości naszego politycznego działania.

Ze zwycięstwem wiąże się integralnie nasza decyzja ustrojowa. Wyzwolenie Polski przez żołnierzy pierwszego socjalistycznego państwa na świecie stworzyło szansę, którą Polska Partia

Robotnicza przewidziała i którą umiała wykorzystać. Wprowadzenie Polski na drogi budownictwa socjalistycznego było też jednym z głównych wniosków, jakie wyciągnęliśmy z tego dramatycznego okresu naszych dziejów.

Historia potwierdziła słuszność dokonanego wyboru. Świadczy o tym również oblicze współczesnej Polski, kraju szybko i dynamicznie rozwijającego się. W socjalistycznej ojczyźnie ludziom żyje się coraz lepiej i dostatniej. Każdy znalazł swoje miejsce w odrodzonym kraju...”

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 9 AVRIL 1976
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)**

Dépôt légal : 2^e trim. 1976

Imprimé en France.

Alma
don't. Wagon col,

Cena F 25,00